Codzienność w **przedwojennej** Warszawie • **Synagogi** pełne **tajemnic**
Czytanie architektury • **Praskie fabryki** po transformacji • **Bryll** o poezji i cenzurze

ISSN 0039-1689 INDEKS 22622X

STOLICA

NR 9-10 (2340-2341) WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK 2020 • 9,90 zł w tym 8% VAT

KROK PO KROKU W DRODZE DO GETTA

Okładka: Anna Skowrońska

10 >
ISSN 0039-1689
9 770039 168200

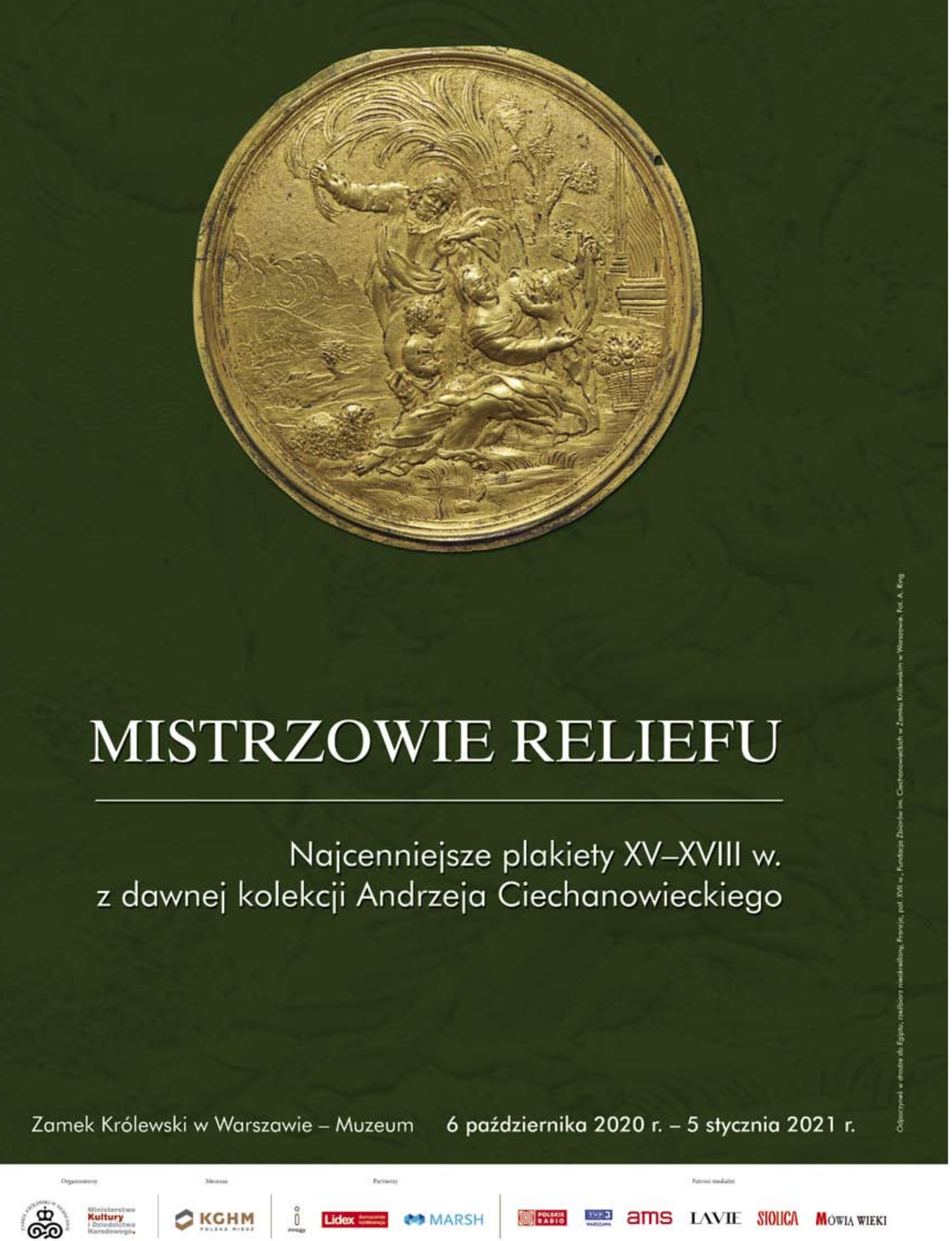

W NUMERZE:

4 Kronika miesiąca

CODZIENNOŚĆ DAWNEJ WARSZAWY

6 Różne oblicza przedwojennej stolicy prezentuje Jerzy S. Majewski
10 Artyści fryzur – o dawnych salonach fryzjerskich – Adrian Sobieszczański
14 Do kogo po buty – Monika Wesołowska
18 Nowoczesność w kuchni i salonie – Adrian Sobieszczański

80. ROCZNICA UTWORZENIA WARSZAWSKIEGO GETTA

22 Krok po kroku do getta – Jerzy S. Majewski
32 Muzeum dla przyszłych pokoleń – z Albertem Stankowskim rozmawia Ewa Kielak Ciemniewska
34 Wyjątkowy świadek historii – Miłka Skalska
36 Warszawskie synagogi – na tropach tajemnic – Jarosław Zieliński

HISTORIA I ARCHITEKTURA

40 Czytanie architektury – Jadwiga Roguska

A TYMCZASEM NA PRADZE

47 Fabryki po transformacji – Adam Lisiecki
50 Jest *PRA*!
51 Szkoła niezwykła

KULTURA

52 Międzynarodowy Festiwal I.J. Paderewskiego coraz bliżej
53 Geniusz Paderewskiego w Paso Robles – Rafael Akopdżanian (Hakobjanyan) (San Fracisco) tłumaczenie Barbara Kowalska
56 Poezja musi być prawdziwkiem. Z Ernestem Bryllem rozmawia Magdalena Reczko
63 Notatnik warszawski
67 Raport: Re(animacja) kultury w okresie pandemii
68 *Dybuk* żydowski i bardzo polski – Tomasz Miłkowski
70 Wojna i detektywi – Paweł Dunin-Wąsowicz
72 Niegdysiejszy szyk – Maria Terlecka
73 Ach, bo przed wojną... – Jacek Fedorowicz
74 Grochoturystyka – Przemysław Śmiech
76 Uwaga, małe sarny! – Arkadiusz Szaraniec
77 Ukwiecona po raz 37.!
78 Smolna na rewersie – Jarosław Zieliński

6

22

40

47

56

Elektroniczna wersja STOLICY: www.egazety.pl, www.warszawa-stolica.pl Partnerzy: Narodowe Archiwum Cyfrowe, www.nac.gov.pl, fotopolska.eu

STOLICA

Poprzednie numery Warszawskiego Magazynu Ilustrowanego STOLICA można nabyć m.in. w Domu Spotkań z Historią przy ul. Karowej 20, w księgarni im. Bolesława Prusa przy Krakowskim Przedmieściu 7 i Księgarni Naukowej przy al. „Solidarności" 83/89

Adres redakcji:
ul. Wersalska 7, lok. 1, 03-955 Warszawa, tel. 22 741-01-30
Wydawca: EKBIN
ISSN 0039-1689
www.warszawa-stolica.pl, redakcja@warszawa-stolica.pl
Zespół:
Ewa Kielak Ciemniewska (redaktor naczelna)
ewa.stolica@gmail.com
Jarosław Zieliński (zastępca redaktor naczelnej)
Jerzy S. Majewski
Katarzyna Komar-Michalczyk (sekretarz redakcji)
info@warszawa-stolica.pl
Anna Skowrońska (opracowanie graficzne)
Promocja: Paweł Ciemniewski, miesiecznik.stolica@gmail.com

Stale współpracują: Grzegorz A. Buczek, Elżbieta Ciborska, Rafał Dajbor, Paweł Dunin-Wąsowicz, Jacek Fedorowicz, prof. Kwiryna Handke, Tatiana Hardej, Michał Krasucki, Małgorzata Kubicka, prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska, Jan Tomasz Lipski, Tomasz Markiewicz, Ryszard Mączewski, Tomasz Miłkowski, Marcin Mierzejewski, Artur Mościcki, Jacek Olecki, Bogumił Paszkiewicz, Sebastian Pawlina, Michał Pilich, Norbert Piwowarczyk, dr hab. Mateusz Rodak, Adrian Sobieszczański, Paweł Stala, Arkadiusz Szaraniec, Przemysław Śmiech, Maria Terlecka, dr hab. Michał Wardzyński
Zdjęcia: Magdalena Hajnosz, Andrzej Kałuszko, Paweł Ciemniewski, Norbert Piwowarczyk, Jacek Sielski, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Warszawy, NAC, Fotopolska, Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, archiwum STOLICY
Teksty do druku przyjmujemy tylko w formie elektronicznej.

© Copyright STOLICA / Wszelkie prawa zastrzeżone; wykorzystywanie tekstów, ich fragmentów i zdjęć, zarówno w druku, jak i w Internecie – bez zgody redakcji jest niedozwolone.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, wprowadzania śródtytułów i zmian tytułów.

Zamówienia na prenumeratę STOLICY w wersji papierowej i elektronicznej – realizowaną przez RUCH SA – można składać bezpośrednio na stronie: www.prenumerata.ruch.com.pl

Rada m.st. Warszawy zadecydowała o nadaniu tytułu Honorowego Obywatela m.st. Warszawy kolejnym pięciu osobom: Oldze Tokarczuk, Władysławowi Findeisenowi, Wojciechowi Noszczykowi, Andrzejowi Rottermundowi i Wiesławowi Janowi Wysockiemu. Do tej pory ten zaszczytny tytuł otrzymało 88 osób.

Na placu Zbawiciela od sierpnia jest więcej miejsca dla pieszych, poszerzono też strefę ogródków gastronomicznych. Ta zmiana organizacji ruchu ma posłużyć zwiększeniu dystansu między użytkownikami przestrzeni podczas pandemii. Ze zlikwidowania jednego pasa ruchu niezadowoleni są kierowcy.

Przy ul. Twardej 8/12 otworzono Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla Dzieci Słabosłyszących nr 15 im. Ottona Lipkowskiego. Dzieci z niedosłuchem i afazją, które dotąd uczyły się w pałacu Sapiehów przy ul. Zakroczymskiej 6, będą miały w nowym miejscu bardzo dobre warunki do pozyskiwania wiedzy oraz do zabawy.

Powstanie druga referencyjna stacja monitorowania, zgodna ze standardami Państwowego Monitoringu Środowiska. Pierwsza, przy Grochowskiej, bada stężenia zanieczyszczeń już od końca lipca. Druga ustawiona zostanie do końca roku przy alei „Solidarności", nieopodal placu Bankowego.

Za kadencji prezydenta Rafała Trzaskowskiego oddano 14 przedszkoli, 7 szkół podstawowych oraz szkołę zawodową. Tylko w tym roku na ten cel zostało przeznaczone ponad pół miliarda złotych (w tym 90 mln zł na remonty i modernizacje).

Oprócz szkoły na Białołęce oddano do użytku nowe obiekty na Targówku – przy ul. Rembrandta 8 (szkoła podstawowa) i ul. Wysockiego 51 (szkoła zawodowa), przy ul. Cyklamenów 28 (szkoła podstawowa) w Wawrze oraz przy al. Rzeczypospolitej 23b w Wilanowie (szkoła podstawowa), a także przedszkola przy ul. Parowcowej 53 we Włochach i ul. Cyklamenów 28 w Wawrze.

Tablice ku pamięci

Warszawa włączyła się w ogólnopolskie obchody stulecia Cudu nad Wisłą. W budynku przy Krakowskim Przedmieściu 64 odsłonięto tablicę upamiętniającą działanie pod tym adresem Wojskowego Gubernatorstwa Warszawy oraz osobę gen. ppor. Franciszka Latinika – wojskowego gubernatora Warszawy, dowódcy 1 Armii Wojska Polskiego broniącej przedpola stolicy. Gubernatorstwo było odpowiedzialne za przygotowywanie obrony, ale też za organizację codziennego życia miasta. Funkcjonowało do chwili oficjalnego zniesienia stanu oblężenia, tj. do 28 września 1920 r.

Nadaniem nazwy skweru i tablicą – przy ul. J.K. Ordona, na wysokości ulic Jana Kazimierza i Wschowskiej – upamiętniono także gen. Marka Bezruczkę, generała Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, który m.in. dowodził obroną Zamościa 29-31 sierpnia 1920 r. przed wojskami 1 Armii Konnej Siemiona Budionnego. Z kolei w Emilianowie, przy trasie S8, odsłonięto głaz upamiętniający bohaterów Cudu nad Wisłą, a samej trasie nadano nazwę Bohaterów Bitwy Warszawskiej 1920. Trwają także prace przygotowawcze do budowy opóźnionego (bo miał być gotowy na 100-lecie) pomnika Bitwy Warszawskiej 1920 na placu Na Rozdrożu. Na skraju okrągłego, z 12 promieniami, elementu wodnego – fontanny – stanie pionowa, skręcona wokół swej osi odwrotnie do ruchu wskazówek zegara strzelista forma, obelisk-gnomon. Autorem projektu jest Mirosław Nizio z zespołem. Mimo że projekt nie wszystkim warszawiakom przypadł do gustu, dyskutuje się możliwości szerszego zakresu robót i zwiększenia pomnika. Obiekt ma stanąć w 2021 r.

R. Motyl

Bogata Warszawa coraz biedniejsza

Rada m.st. Warszawy przyjęła zmiany w budżecie na 2020 r. i prognozie finansowej na 2020-2025. U podstaw zmian stoją przede wszystkim: rozregulowanie gospodarki odpadami, zmiany w PIT i ZUS, dodatkowe tegoroczne wydatki na oświatę i pandemia COVID-19 oraz spowodowany nią wzrost bieżących wydatków i spadek dochodów (m.in. 202 mln zł mniej ze sprzedaży biletów komunikacji miejskiej, 233 mln zł mniej z podatku PIT, 126 mln zł mniej z podatku CIT, 80 mln zł mniej z opłat za parkowanie). Rada wyraziła także zgodę na zaciągnięcie dwóch kredytów i emisję obligacji. Podjęte przez Miasto finansowe decyzje mają ograniczyć skutki kryzysu i posłużą wsparciu budżetu. Zgodnie z korektą dochody wyniosą 18 270 543 619 zł, a wydatki – 22 074 140 649 zł. Oznacza to, że dochody Miasta zmniejszą się o 1,5 mld zł w porównaniu z pierwotnie planowanym budżetem, co wskazuje na deficyt na poziomie 3,8 mld zł, czyli o blisko miliard złotych więcej niż zakładano w czasie, kiedy o pandemii nikt jeszcze nie myślał. W latach 2020-2025 spadek dochodów ma wynieść ogółem 2,7 mld zł w stosunku do planów. Zmniejszeniu ulegają nakłady na inwestycje (z 3,5 do 3,04 mld zł) – wśród tych priorytetowych są: II linia metra, nowe centrum, Szpital Bielański i Południowy, 19 nowych szkół i przedszkoli (do 2023 r.) oraz 17 żłobków (do 2023 r.). Odłożone w czasie zostały m.in.: tramwaj na Gocław, tramwaj z Wilanowa do Dworca Zachodniego, budowa Sinfonii Varsovii, kładka przez Wisłę i obwodnica Śródmieścia. Miasto rozszerzyło strefę płatnego parkowania i podwyższyło opłaty w tej strefie. „Weryfikowane" będą też opłaty za wywóz śmieci. Radni nie zgodzili się natomiast na podwyżkę cen biletów ZTM.

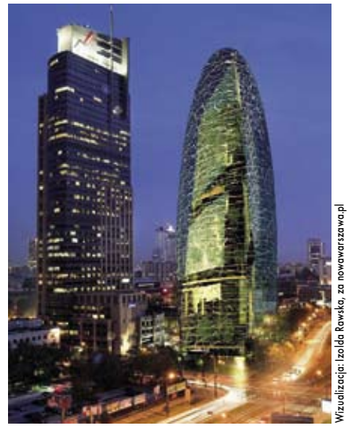
Wizualizacje: Izolda Rawska, za nowewarszawa.pl

Kopernik rośnie

W bezpośrednim sąsiedztwie Wisły, przy wjeździe na most Świętokrzyski, startuje budowa Pracowni Przewrotu Kopernikańskiego. Obiekt stanie się kolejnym, obok budynku głównego, Planetarium i Pawilonu 512, elementem kompleksu Centrum Nauki Kopernik. Będzie to interdyscyplinarne laboratorium badań z zakresu edukacji, psychologii, socjologii, nowych technologii i nauk inżynieryjnych, miejsce tworzenia nowoczesnych narzędzi edukacyjnych, spotkań i debat. Budynek pomieści m.in. laboratoria zajęć biologicznych, chemicznych, fizycznych i mechatronicznych, warsztat konstruktorski i profesjonalne studio nagrań. Na trzech kondygnacjach naziemnych i jednej podziemnej, o całkowitej powierzchni ok. 6000 m², jednorazowo będzie mogło przebywać 600 osób.

Koncepcja architektoniczna budynku powstała we wrocławskiej pracowni Heinle, Wischer und Partner Architekci Sp. z o.o. Wykonawcą jest Unibep SA. Koszt nowej inwestycji to ok. 82 174 000 zł. Środki pochodzą z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego, z budżetu m.st. Warszawy, a także z wkładu własnego Centrum Nauki Kopernik, od konsorcjantów i sponsorów. Planowany termin otwarcia Pracowni Przewrotu Kopernikańskiego to 2022 r.

Centrum Nauki Kopernik obchodzi w tym roku jubileusz 10 lat istnienia. Zainteresowanie nim nie słabnie, co roku odwiedza go około miliona osób, zarówno mieszkańców Warszawy, jak i turystów.

W trakcie budowy jest kolejnych 12 szkół i przedszkoli (budowa szkoły przy ul. Zaruby 7 zakończy się niebawem, podobnie jak pięciu przedszkoli), a 15 placówek jest planowanych.

We wrześniu i październiku do 236 mazowieckich szkół, w tym 62 szkół z Warszawy i gmin podwarszawskich, przekazywany jest sprzęt komputerowy do zajęć online. Wartość sprzętu to 35 mln zł, z czego 28 mln zł stanowią fundusze z UE, ponad 5,2 mln zł pochodzi z budżetu województwa mazowieckiego, a ponad 1,7 mln zł z budżetu państwa.

Uczniom w trudnej sytuacji materialnej przyznawana jest pomoc socjalna. Stolica oferuje też stypendia dla doktorantów i artystyczne. W 2020 r. na stypendia motywacyjne i socjalne przeznaczono ponad 25 mln zł.

Warszawa znalazła się w czołówce miast przyjaznych dla biznesu w rankingu Emerging Europe. Zajęliśmy pozycję za Budapesztem i Pragą. Polską stolicę doceniono także za najlepszą infrastrukturę, uzyskaliśmy też trzecie miejsce w kategoriach *Wsparcie lokalnych władz* i *Marka* oraz piąte w kategorii *Pula talentów*.

Warszawska Strefa Płatnego Parkowania Niestrzeżonego została rozszerzona o nowe obszary na Woli (między Okopową i Towarową a aleją Prymasa Tysiąclecia wraz z ul. Grabowską) i Pradze-Północ (na Starej i Nowej Pradze bez Szmulowizny i okolic placu Hallera).

W Oczyszczalni Ścieków „Czajka" awaria goni awarię. W sierpniu nastąpiła ponowna (poprzednia była rok temu) awaria systemu przesyłającego ścieki do oczyszczalni. Innymi słowy znów rozszczelniły się rury, które doprowadzają ścieki z lewego brzegu do „Czajki". We wrześniu nawaliła pompa. Znowu wykonano most pontonowy i przeprowadzono montaż rur służących do awaryjnego przesyłania nieczystości do oczyszczalni ścieków „Czajka". Z powodu usterki pomp awaryjny układ przesyłowy ścieków na moście pontonowym działa połowicznie. Na modernizację w 2012 r. pechowej „Czajki" wydano 3,2 mld zł.

Różne oblicza **miasta**

Jerzy S. Majewski

W listopadzie 1918 r. było biednie. Brakowało wszystkiego, przed sklepami ustawiały się kolejki po chleb. Dwadzieścia lat później stolica stawała się europejską metropolią, a jej centrum piękniało z dnia na dzień

Śródmieście Warszawy drugiej połowy 30. XX w. zapełniały auta, w niebo pięły się nowoczesne gmachy. Na widzów czekały niezliczone kina, teatry i kabarety. Na ulicy czy dancingu można było spotkać gwiazdy srebrnego ekranu. Ale była też ówczesna Warszawa miastem otoczonym wieńcem bocznych uliczek tonących w błocie, straszących ruderami zamieszkanymi przez biedotę. Miastem zachwycającym i brzydkim zarazem. Błyszczącym nocą setkami neonów, a jednocześnie odstraszającym odrapanymi sklepikami Czerniakowa, Woli i Powiśla, gdzie liche światła odbijały się w rynsztokach i gdzie obcy „frajer" po zmroku nie powinien się zapuszczać. Warszawa w porównaniu z kolorowym Lwowem była szara, w zestawieniu z wymuskanym Poznaniem – bałaganiarska, inna też niż „starożytny" Kraków, bo pozbawiona patyny i boleśnie pragmatyczna, bez aury melancholijnego romantyzmu, jaki ogarniał odwiedzających Wilno. Nie była też Warszawa drugim Paryżem, pełnym czaru, ani – jak sugerowały ówcześnie władze sanacyjne – metropolią na miarę mocarstwa. Daleko jej było do uwodzicielskiego Budapesztu czy radosnej Pragi czeskiej.

Stolica Polski przy całej swojej szarzyźnie stanowiła jednak serce kulturalne, artystyczne, intelektualne i polityczne kraju. Była odbiciem ówczesnej Rzeczypospolitej – własnej, wywalczonej, choć dalekiej od ideału – miastem, które potrafiło na początku zniechęcić i rozzłościć, by po jakimś czasie porwać i rozkochać w sobie. „Mówi się dużo o lekkomyślności warszawskiej, nazywa stolicę Warszawką, ale to nieprawda. Warszawa jest siedliskiem wszystkich muz. A jeżeli jedna z nich jest nieco podkasana, tym lepiej, bo może dzięki temu Warszawa nigdy nie jest nudna" – twierdził przed wrześniem 1939 r. w jednym z wywiadów prasowych Jan Marcin Szancer, świetny grafik i ilustrator książek, krakowianin z urodzenia i warszawski patriota z wyboru.

Warszawa roku 1939 miała 1 304 200 mieszkańców, z czego jedną czwartą stanowiła ludność żydowska. W stolicy działały 84 hotele, z których do luksusowych zaliczyć można było tylko cztery, ponadto swe usługi oferowało 60 „przedsiębiorstw noclegowych" w rodzaju pokojów umeblowanych i pensjonatów. Muzeów publicznych było 29. W 1938 r. otwarty został gmach Muzeum Narodowego i już w pierwszym roku nową placówkę kulturalną odwiedziło 966 tys. osób. Blisko 110 tys. gości zwiedziło w 1938 r. wystawy w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, w Muzeum Wojska – 86 800, w Muzeum Techniki i Przemysłu – 38 tys., zaś w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa – 16 tys. W sezonie 1938/1939 działało w stolicy 20 teatrów i teatrzyków, w tym trzy żydowskie i jeden rosyjski, stojący na bardzo wysokim poziomie, były też trzy teatry dla dzieci. Kin było ponad 70, choć ich liczba stale się zmieniała. Najbardziej luksusowym było otwarte w marcu 1939 r. kino Napoleon, przy placu Trzech Krzyży.

Tłumy w kawiarni George przy ul. Kredytowej 9, róg placu Dąbrowskiego, 1927 r.

Bez liku było lokali gastronomicznych. Restauracje, bary, kawiarnie, jak też zwykłe speluny oferowały wy-

Międzywojenna Warszawa była miastem bardzo zróżnicowanym; u góry po lewej: pokaz mody w kawiarni Sztuka i Moda przy ul. Królewskiej 11, 1938 r.; u góry po prawej: kawa w kawiarni George przy ul. Kredytowej 9, 1932 r.; obok: Karol Wilhelm Albert w swojej kawiarni Mała Ziemiańska, 1918-1939; u dołu: Tydzień Kobiety w kawiarni Sztuka i Moda, 1937 r.

Zdjęcia: NAC

szynk na każdy gust i każdą kieszeń. Ówczesna Warszawa była istną potęgą gastronomiczną, z którą nie mogło się równać żadne inne miasto w Polsce. Najliczniej lokale te skupione były wzdłuż Marszałkowskiej, Alej Jerozolimskich, Nowego Światu, Krakowskiego Przedmieścia, Mazowieckiej, Wierzbowej czy Senatorskiej. Stolica miała tylko jeden dom towarowy z prawdziwego zdarzenia – Bracia Jabłkowscy przy Brackiej. Za to sklepy przy głównych ulicach handlowych tworzyły nieprzerwane ciągi. Wystarczy wspomnieć, że sama Marszałkowska to były trzy kilometry sklepów i lokali z każdej strony ulicy. Ponad sklepami, zakładami fryzjerskimi, restauracjami i kawiarniami świeciły neony, a klientów kusiły witryny. Sklepy ulegały ciągłej przebudowie i w końcu lat 30. nawet na Nalewkach nie brakowało nowocześnie urządzonych lokali z witrynami o modernistycznej architekturze, błyszczącymi szkłem, chromowanym metalem i marmurem. Największe księgarnie działały przy Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu i Świętokrzyskiej, która była ulicą antykwariatów. Nie brakowało żydowskich księgarń na Nalewkach i Nowolipkach.

Podstawę komunikacji publicznej stanowiły tramwaje. Zarządzająca nimi firma była największym przedsiębiorstwem miejskim i zatrudniała 6770 pracowników stałych oraz ok. 1000 robotników do prac sezonowych. W mieście pojawiało się coraz więcej linii autobusowych, autobusy oznaczone literami A, B, C itd. kursowały od godz. 7 rano do 23.30.

Aż do ostatnich dni II Rzeczypospolitej nie brakowało w Warszawie stref biedy. Tysiące bezrobotnych wegetowało w barakach Annopola czy Żoliborza w rejonie ulicy Zajączka. Pomimo dużego ruchu budowlanego wciąż panował głód mieszkaniowy. Normą były jednopokojowe

Od lewej: ruch uliczny na Muranowskiej; lokal firmy Luxus But – jeden ze składów okupowanych przez strajkujących szewców, 5 marca 1937 r.

Od lewej: w Warszawie w 1939 r. działały 84 hotele, na zdj.: Hotel Litewski przy Chmielnej; Powiśle, tu widziane spod mostu Poniatowskiego, należało do biedniejszych rejonów miasta

W Warszawie schyłku dwudziestolecia między wojnami były dzielnice luksusowe i ubogie, dzielnice spółdzielcze i baraki dla bezrobotnych, tworzące zamknięte getta, z których trudno się było wydobyć. Była wreszcie Warszawa żydowska, stanowiąca w północno-zachodniej części Śródmieścia odrębny, niezwykle zróżnicowany świat, jedno ze światowych centrów kultury języka jidysz

mieszkania bez wygód, w oficynie, zamieszkiwane przez wieloosobowe rodziny. Nie przynosiły miastu chwały setki chylących się ku ziemi parterowych ruder na Targówku, wzdłuż Wolskiej czy na Sielcach. Te ostatnie należały do najbiedniejszych zakątków ówczesnej Warszawy, choć wzdłuż takich ulic jak Belwederska, Nabielaka, Bończa czy Podchorążych pomiędzy rudery wciskały się nowoczesne, funkcjonalistyczne kamienice.

Podobnie było na innych przedmieściach. W części najbiedniejszych stołecznych domów aż do 1939 r. brakowało prądu, a po zmroku ludzie siedzieli przy lampach naftowych. Trzeba jednak przyznać, że władze miasta robiły niemało, aby tę sytuację zmienić. Przejęta przez magistrat elektrownia na Powiślu z każdym rokiem produkowała coraz więcej energii elektrycznej, a ceny za nią były obniżane.

Z drugiej strony w Śródmieściu, na Mokotowie, Ochocie, Żoliborzu, Powiślu, ale też wzdłuż alei Waszyngtona, na Saskiej Kępie i w wielu rejonach Nowej Pragi od połowy lat 30. na potęgę budowano nowe domy. Ceny tych mieszkań były różne w zależności od dzielnicy. Kamienice na Pradze były bez porównania skromniejsze od luksusowych domów w alei Przyjaciół, na Dynasach czy przy Bartoszewicza, jednak w niemal wszystkie mieszkaniach były już łazienki, kuchnie gazowe lub elektryczne, a czasem centralne ogrzewanie. W luksusowych domach nie brakowało wind elektrycznych, zsypów na śmieci w kuchniach oraz lodówek podłączonych niekiedy do agregatów ukrytych w piwnicach. W końcu dekady w niektórych kamienicach budowano garaże dla aut oraz... podziemne schrony. Sytuacja międzynarodowa stawała się coraz bardziej napięta, a w razie wybuchu konfliktu obawiano się lotniczych ataków gazowych na miasto.

Nowe domy lat 30., wznoszone zwykle bez oficyn, miały zazwyczaj szerokie okna, przez które do wnętrza wpadało dużo światła. Dla tych, którzy wyprowadzali się z oficyn starych kamienic, rajem wydawały się nawet niewielkie, półtoraizbowe mieszkanka w nowoczesnych, otoczonych zadbaną zielenią blokach Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, Towarzystwa Osiedli Robotniczych, Funduszu Kwaterunku Wojskowego czy Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, nie mówiąc o domach rozmaitych małych spółdzielni.

Wśród tłumu przechodniów na warszawskich ulicach łatwo było odróżnić inteligentów od robotników. Ci pierwsi nie rozstawali się poza domem z kapeluszami, robotnicy powszechnie nosili czapki. Własne czapki mieli uczniowie szkół oraz studenci wyższych uczelni. Na Sielcach, Powiślu, Woli, na Starej i Nowej Pradze powszednim nakryciem głowy męskiej części proletariatu była cyklistówka. Na Pradze koniecznie kraciasta. Prascy chojracy bardzo często uzbrojeni byli w lagę, czyli grubą tonkinową laskę. Jednym służyła do noszenia zawiniątka z wałówką, innym do zadawania szyku. Nad brzegiem Wisły, wsadzona w ziemię, służyła za wieszak. W razie towarzyskiego nieporozumienia – zamieniała się w groźną broń.

Eleganccy panowie w latach 30., tak jak i wcześniej, nosili garnitury. Ale im bliżej 1939 r., tym bardziej zauważalna była przesada w poszerzaniu ramion. Mężczyzna miał być męski, szeroki w barach. Wyrocznią nieodmiennie był Londyn.

Mieszkanki stolicy z różnych środowisk starały się prezentować elegancko i z szykiem. Patrzyły w stronę Paryża, ale w latach 30. stworzyły własny, oryginalny styl. Przywiązywano dużą wagę do materiału. Władze preferowały jedwab produkowany w podwarszawskim Milanówku. To Warszawa dyktowała całej ówczesnej Polsce, co jest modne, a co nie. Dużą rolę odgrywali nie tylko dyktatorzy mody, lecz także aktorzy prezentujący się na srebrnym ekranie. W mieście nie brakowało luksusowych domów mody na różne gusta.

Lata 20. XX w. to moda na chłopczyce. Kobiety porzuciły wtedy gorsety, zrzucały staniki. W końcu lat 30. wróciła moda na kobiecość, sylwetka przyjmowała kształt klepsydry. Eksponowano zaokrąglenia, wciętą talię i biust, z nieco podobną jak w modzie męskiej przesadą w poszerzanych ramionach i bufiastych rękawach. Wiosną i latem 1939 r. młode elegantki nosiły krótkie i lekko kloszowe spódniczki. Na pokazach mody propagowano m.in. komplety z białego jedwabiu, z małym toczkiem, dodatkiem białej torebki i takimiż bucikami. Latem modne były kokieteryjne sandałki, ale pod warunkiem, że stopa była odpowiednio szczupła, a rzemyki nie wpijały się w nogę. Młodzieńcze i szalenie na czasie były też jasne kapelusiki z rondem. Nad nakryciami głowy pracowała cała armia modystek, głównie skoncentrowanych wzdłuż „dorzecza" ulicy Kruczej, a także tańszych – wzdłuż Żabiej.

Dziewczęta na Pradze czy Powiślu bez względu na tuszę wciskały na siebie bajecznie kwieciste i ciasne sukienki lub spódniczki i bluzki. Na nóżki zakładały spiczaste prunelki lub giemzowe pantofelki. Czasem, zwłaszcza na Pradze, ich strój uzupełniała kolorowa chustka z kaszmiru lub jedwabiu, wyciągnięta z maminej skrzyni, a może kupiona u Samuela Herca na Ząbkowskiej, gdzie można było dostać wszystko, co kobiecie niezbyt zasobnej, za to eleganckiej wydawało się niezbędne.

W przedrozbiorowej Polsce mawiano, że najlepsze w Polsce są „gdańska wódka, toruński piernik, krakowska panna i warszawski trzewik". W latach międzywojennych Warszawa nadal słynęła z obuwia najwyższej klasy. Takie firmy jak Kielman, Struś czy Hiszpański stanowiły gwarancję najwyższej jakości. Ale nie brakowało tańszych sklepów i zakładów szewskich. Koncerny w rodzaju czeskiej Baty, choć usiłowały wedrzeć się przebojem na warszawski rynek, były na przegranej pozycji. Warszawscy szewcy tworzyli hierarchię. Obok mistrzów kreujących obuwnicze arcydzieła nie brakowało ubogich szewców wynajmujących suterenę gdzieś na przedmieściach i nieustannie przymierających głodem.

Można było wybierać wśród całej gamy zakładów fryzjerskich, od skromnych po eleganckie. Te ostatnie w reklamach przekonywały, że są prowadzone w amerykańskim stylu. I tak, zakład fryzjerski w Alejach Jerozolimskich, zmodernizowany w 1936 r., wyposażony był w specjalne wałki do robienia trwałej ondulacji za pomocą powietrza. W zakładzie panował ruch jak na dworcu. Na stołach leżały kolorowe czasopisma, katalogi z propozycjami fryzur. Rok 1938 r. przyniósł modę na długie włosy układane w loczki na czubku głowy, spływające na kark i czoło. Ta fryzura wymagała odczesania wszystkich włosów od karku i uszu ku szczytowi głowy. Warszawianki chętnie farbowały włosy, najczęściej używając do tego farb firmy Inecto Rapid Insulax, preparowanej w kilkunastu odcieniach i – jak przekonywano – niepłowiejącej na słońcu, pozwalającej na trwałą ondulację. Jak z tym było w rzeczywistości, trudno powiedzieć. W końcu lat 30. fryzjerzy przestrzegali panów przez robieniem sobie przedziałków na środku głowy. Mężczyźni starszej daty dbali o wąsy, młodsi coraz rzadziej uważali je za nieodłączną ozdobę męskiej twarzy.

W bieżącym numerze STOLICY zapraszam do lektury artykułów o życiu codziennym przedwojennej Warszawy. Cykl ten będziemy kontynuować w następnych numerach.

Codzienność biedniejszych rejonów miasta, tu – Powiśle

Zdjęcia: NAC

Artyści fryzur

Adrian Sobieszczański

W dwudziestoleciu międzywojennym warszawiacy mogli korzystać z licznych zakładów fryzjerskich rozsianych po całym mieście. Oczywiście nie każdy mógł sobie pozwolić na usługi w wykonaniu znanych i drogich mistrzów nożyc i brzytwy. Na najbogatszych, a zarazem najbardziej wymagających, czekały zakłady fryzjerskie połączone z salonami urody, w których skorzystać można było z szerokiej gamy zabiegów kosmetycznych

„Świat", 1912, nr 21

Józef Bagnowski

W Śródmieściu działał cały szereg pierwszorzędnych zakładów, wśród których był salon Bolesława Mazurkiewicza przy Nowym Świecie. Pisano, że czesze się tam cała elita stolicy. Mazurkiewicz oferował zabiegi poprawiające kondycję włosów oraz fryzury według najnowszych trendów. Przy Marszałkowskiej funkcjonował zakład AS, posiadający nowoczesne aparaty do trwałej ondulacji. Zlokalizowany przy Przechodniej, blisko ruchliwego placu Żelaznej Bramy, zakład Aleksander reklamował się nie tylko usługami fryzjerskimi, lecz także zabiegami manicure i pedicure. Mężczyźni z chęcią odwiedzali założone w 1895 r. zakład i perfumerię Ewaryst, Ewarysta Zdzienickiego. Ten luksusowy salon mieścił się w centrum Warszawy, w kamienicy na rogu Marszałkowskiej i Złotej. Do pierwszorzędnych zakładów fryzjerskich należał również lokal w hotelu Bristol, prowadzony przez braci Białobłockich, znanych bywalców wyścigów konnych. W Śródmieściu Południowym, przy ul. Marszałkowskiej 39, na klientów czekał zakład Komol. Na sezon wiosenny polecał trwałe ondulacje.

Witryna Salonu de Beauté Józefa Bagnowskiego przy ul. Marszałkowskiej 75

„Nasz Dom", 1913, nr 19

Nie oznacza to, że poza Śródmieściem nie można było skorzystać z profesjonalnych usług fryzjerskich. Rozsiani po mieście rzemieślnicy świadczyli równie dobre usługi. Jedyną różnicę mogły stanowić gorzej wyposażone salony i brak nowinek technicznych. Sporą grupę rzemieślników spod znaku nożyczek i brzytwy można było odnaleźć także w dzielnicy żydowskiej. Przykładem jest zakład Salomon, który działał w bramie domu przy ul. Franciszkańskiej 21 i reklamował się czystą bielizną. Golenie kosztowało tu 30 gr, strzyżenie męskie 40, a damskie 60 gr. Skoro czysta bielizna mogła być atutem zakładu, najwidoczniej nie każdy golibroda taką oferował. W niektórych miastach w dwudziestoleciu funkcjonowały wypożyczalnie bielizny fryzjerskiej. Zapewne o klientów nie musiał martwić się Fidelman, prowadzący zakład na Nowolipkach 58. Podstawowe usługi fryzjerskie, jak golenie czy strzyżenie, kosztowały u niego 20 gr. Podobne ceny miał Rozenbaum przy Dzielnej. Dla porównania, w zakładzie Hygiena przy ul. Wolskiej 16 strzyżenie męskie kosztowało 60 gr, a kobiece 70. Panie, chcące zadawać szyku modnym uczesaniem, musiały liczyć się z wydatkiem rzędu 1 zł 50 gr. Męskie strzyżenie przy ulicy Długiej znaczyło koszt ok. 90 gr. „Wykwintna robota" było hasłem zakładu Natan przy Belgijskiej, róg Puławskiej. Salon był komfortowo urządzony i oprócz podstawowych zabiegów, oferował manicure oraz masaż twarzy.

„Świat", 1912, nr 21

Poczekalnia w salonie Bagnowskiego

Najprawdopodobniej najsłynniejszym polskim fryzjerem wszech czasów jest Antoni Cierplikowski. „Król fryzjerów, fryzjer królów", jak o nim mówiono, przeszedł do historii jako dyktator fryzjerskich trendów i autor popularnej w latach 20. XX w. fryzury „na chłopczycę", która szturmem zdobyła świat. W okresie swojej największej aktywności, oprócz centrali w Paryżu, swoje zakłady prowadził Cierplikowski w Londynie, Berlinie, Nicei i Nowym Yorku. Antoine de Paris, jak brzmiał jego pseudonim, salon fryzjerski miał oczywiście i w Warszawie. Na początku lat 30. salon ten radził sobie coraz lepiej, toteż niepomierne było zdziwienie mieszkańców i mieszkanek Warszawy, gdy po przylocie do

Salon damski u Bagnowskiego

„Nasz Dom", 1913, nr 19

Warszawy w styczniu 1933 r. Cierplikowski zdecydował się na jego zamknięcie. Powodem, jak sam mówił, była niemożność osobistego dopilnowania zakładu. Uważał ponadto, że Warszawy nie stać jeszcze na luksusowy zakład, działający na szeroką skalę.

Jednak to nie zakład Cierplikowskiego, a Salon de Beauté Józefa Bagnowskiego stał się synonimem fryzjerskiego salonu piękna przedwojennej Warszawy. Bagnowski swój pierwszy zakład fryzjerski w Warszawie założył ok 1892 r. W 1912 r., kiedy firma miała już ugruntowaną pozycję na rynku, zdecydował się na otwarcie nowego luksusowego salonu w reprezentacyjnej kamienicy należącej do Jana Fruzińskiego. Narożna kamienica pod adresem ul. Marszałkowska 75, róg Wilczej, została zaprojektowana przez Juliusza Nagórskiego. Budynek wyposażony był w oświetlenie elektryczne, ogrzewanie wodne oraz centralny odkurzacz. Na parterze od strony Marszałkowskiej ulokowano salon degustacyjny firmy cukierniczej Fruzińskiego, a pozostałą część parteru od strony Wilczej oraz antresolę zajął właśnie salon i sklep kosmetyczno-fryzjerski. W eliptycznych okienkach nad wejściami umieszczono witraże z inicjałami Fruzińskiego i Bagnowskiego.

Salon i sklep fryzjerski były luksusowe, urządzone z gustem. Zakład nie miał sobie równych w ówczesnej Warszawie. Zadbano w nim o najmniejszy szczegół, aby każdy klient czuł się wyjątkowo. Wejście prowadziło z ulicy, od strony której znajdowały się też obszerne witryny z wystawami. Wnętrze sklepu urządzono w stylu Ludwika XV, co korespondowało z wystrojem całej kamienicy. W sklepie działała perfumeria, w której można było kupić perfumy światowych marek, oferowano też galanterię toaletową i liczne produkty kosmetyczne. Powodzeniem cieszyły się farby do włosów, w tym te produkowane przez fabrykę L. Royera w Paryżu. Można tu było nabyć także grzebienie, spinki czy egrety, czyli czaple pióra do ozdoby włosów. Produkty oferowane w sklepie firmowym znajdowały uznanie w oczach lekarzy i kosmetologów. W artykuły fryzjerskie i kosmetyczne zaopatrywali się tu koledzy Bagnowskiego po fachu, co powodowało ożywiony ruch w interesie. Atutem była nie tylko jakość, lecz także konkurencyjne ceny.

W sklepie przyjmowano również zamówienia na peruki czy loki. Wszystkie wyroby powstawały w oparciu o najnowsze trendy. Pracownia znajdowała się w głębi lokalu i sąsiadowała z salonem dla panów, utrzymanym w stylu angielskim. Wzdłuż ściany salonu znajdowały się stanowiska dla gości. Przed każdym z foteli stało ogromne lustro i umywalka. Każde stanowisko było wyposażone w elektryczną suszarkę do włosów, zwaną wówczas osuszaczem. Wygodnymi schodami można było przejść na antresolę, gdzie znajdowała się część damska salonu. Był też salonik do mycia i farbowania włosów. Przed wielkimi lustrami zwinni pracownicy zakładu dwoili się i troili w celu sprostania życzeniom wymagających klientek. Te zaś mogły liczyć na najmodniejsze fryzury i uczesania. Poczekalnia także była utrzymana w stylu Ludwika XV. Po wcześniejszym kontakcie telefonicznym można było się umówić na konkretną godzinę w salonie bądź zamówić usługę czesania czy strzyżenia w domu.

Sam Salon de Beauté podzielono na mniejsze boksy ze stanowiskami. Tutaj też umieszczono gabinet lekarza służącego poradami kosmetycznymi. Do jego dyspozycji pozostawało nawet małe laboratorium. Z pomocy eksperta można było skorzystać między godz. 16 a 18. W salonie piękności Bagnowskiego proponowano też usługę masażu oraz kąpieli parowych. W ofercie było usuwanie piegów, zmarszczek, znamion i przebarwień. Na chętnych czekały zabiegi mające na celu pozbycie się łupieżu, przeciwdziałające łamliwości i rozdwajaniu się włosów. Panie poddające się zabiegom manicure'u opierały dłonie na aksamitnych podpórkach. W salonie bardzo dbano o higienę, wszystkie narzędzia były sterylizowane przed kolejnym użyciem.

Właściciel starał się, aby fryzury korespondowały z urodą klientek. Jego najważniejszym zadaniem było podkreślenie wdzięku kobiety poprzez odpowiednio dobrane uczesanie, uczynienie każdej z pań subtelną, a zarazem wyrazistą. Tak panie, jak i panowie mogli liczyć na mycie głowy środkami sprzyjającymi wzrostowi włosów.

Zakład Bagnowskiego nie stronił od nowinek technicznych. Już ok. 1914 r. można tu było skorzystać z... fotela odtłuszczającego, wynalezionego w Paryżu. Działanie fotela nie było skomplikowane. Opierało się na wysyłaniu impulsu elektrycznego wywołującego skurcz mięśni, którego celem miało być przyspieszenie przemiany materii i zużywanie nagromadzonej energii. Efektem dodatkowym miało być też rozruszanie zastałych mięśni. Już 120 skurczy miało pozwolić na szybsze spalanie materii. Aparat Bergonie był reklamowany jako jedyny pozwalający na pozbycie się nadmiernej tkanki tłuszczowej w organizmie. Miał też znaleźć zastosowanie przy wzmacnianiu mięśni brzucha po operacjach czy połogu. Prasa rozpływała się w zachwytach nad wynalazkiem, jednak nie mamy żadnych informacji o wynikach kuracji. Jeśli byłyby tak oszałamiające, jak obiecywano w reklamach, zapewne kuracja ta dzisiaj święciłaby tryumfy. W okresie międzywojennym Salon de Beauté Bagnowskiego reklamował się jako „oddział Zakładu Instytutu Physcoplastique w Paryżu".

W Warszawie fryzjerzy i perukarze skupieni byli w cechu. Jeszcze w 1916 r. Cech Fryzjerów i Perukarzy liczył 89 majstrów, 285 czeladników i 115 uczniów. Józef Bagnowski był człowiekiem cenionym w fachowym środowisku. Wiedzę zdobywał we Francji i Niemczech. Swoje doświadczanie wykorzystywał, nie tylko prowadząc zakład, lecz także pełniąc funkcje starszego Cechu Fryzjerów i Perukarzy m.st. Warszawy i zastępcy prezesa Okręgu Warszawskiego Związku Polskich Cechów Fryzjerskich. Dzięki jego staraniom cech zyskał siedzibę przy ulicy Polnej, a następnie przy ul. Nowy Świat 19, w lokalu Związku Rzemieślników Chrześcijan. Jako praktyk Bagnowski zwracał uwagę na potrzebę kształcenia przyszłych pokoleń fachowców, czego efektem było założenie przez niego fryzjerskiej szkoły zawodowej. Placówka ta, jako pierwsza tego typu w Polsce, stanowiła kontynuację kursów organizowanych od 1898 r. Funkcjonowała przy siedzibie cechu na Nowym Świecie. Cieszyła się ogromnym powodzeniem. Jej pierwszym kierownikiem był Antoni Zubrzycki.

W 1927 r. ukoronowaniem działań Józefa Bagnowskiego stało się nadanie mu godności członka honorowego cechu. Było to dowodem wielkiego uznania i uhonorowaniem wybitnych zasług położonych tak dla cechu, jak i całego zawodu, a przede wszystkim dla setek zadowolonych klientów.

Adrian Sobieszczański – historyk, licencjonowany przewodnik miejski, pasjonat polskiej wojskowości i architektury, współtwórca projektu *Warszawy historia ukryta*

Propozycje fryzur modnych w 1926 r. (po lewej) i dwa lata później, w 1928 r. (po prawej)

Zdjęcia: „Powszechna Gazeta Fryzjerska", 1926 i 1928 r., NAC

Helena Grossówna, Jadwiga Andrzejewska i Jadwiga Smosarska – trendy fryzjerskie często dyktowane były przez znane aktorki

Do kogo po **buty**

Monika Wesołowska

Dzisiaj szewc kojarzy się przede wszystkim z kimś, kto naprawia buty. Dawniej szewcy zajmowali się w dużym stopniu również wytwarzaniem obuwia. Ręczne szycie butów zastąpiła ich masowa produkcja w fabrykach, a zawód tradycyjnego szewca dziś uważa się za zanikający

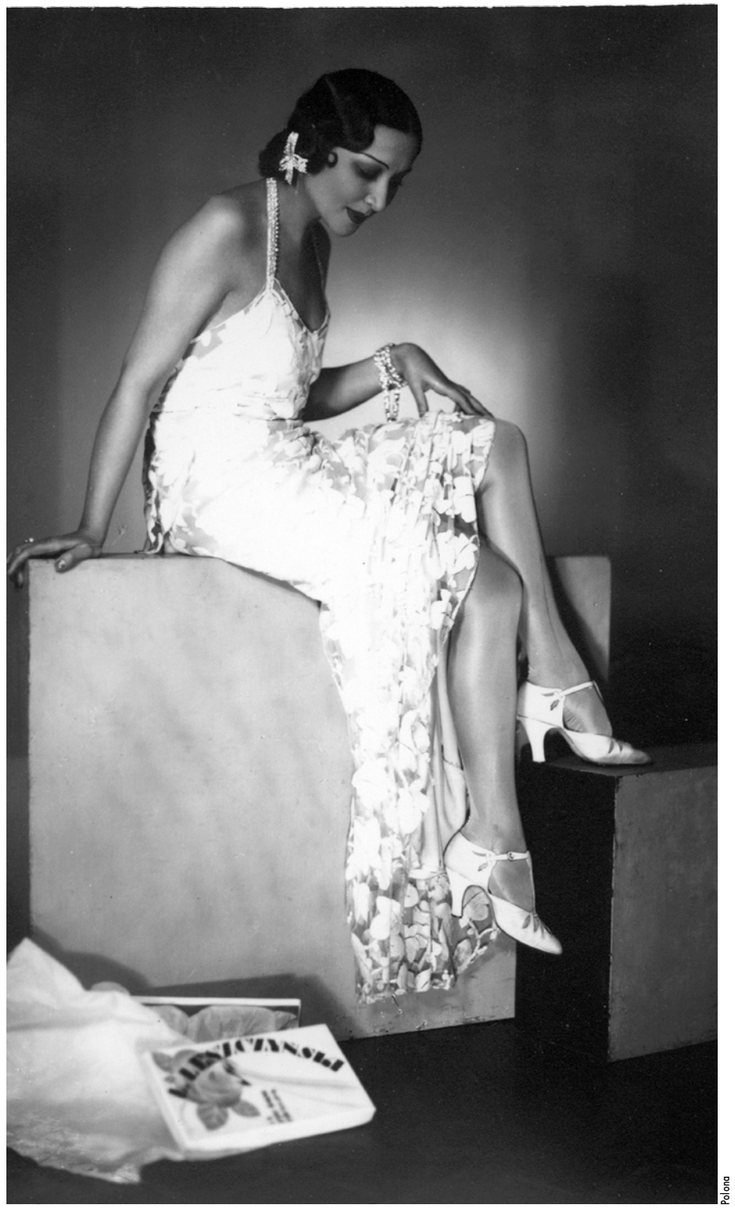

Polona

Nina Grudzińska reklamuje magazyn obuwia Lucjana Leszczyńskiego, 1933 r., fot. J.B. Dorys

Przeglądając prasę, księgi adresowe, książki telefoniczne, druki ulotne z XIX i XX w., można znaleźć wiele ogłoszeń reklamowych szewców i spółdzielni wytwórczych. Stanowią one nie tylko informację o adresach, pod którymi świadczone były usługi szewskie, lecz także pozwalają na prześledzenie panującej ówcześnie mody. Niektórzy szewcy mieli swoje specjalizacje i wykonywali buty dla określonej grupy klientów. Czyje buty cieszyły się popularnością w przedwojennej Warszawie, u kogo składały zamówienia sławne osobistości tamtych czasów?

„Tygodnik Illustrowany", 1925, nr 51

Reklama butów od Hiszpańskiego

Buty do wyboru, do koloru

Wybór szewców i majstrów szewskich, u których można było zamówić lub naprawić obuwie, był szeroki. Swoją działalność prowadzili na terenie lewo- i prawobrzeżnej Warszawy. Niektórzy z nich, oprócz warsztatów, mieli magazyny i składy obuwia, gdzie zamawiano gotowe buty. Rzemiosło szewskie osiągnęło w stolicy bardzo wysoki poziom i wytwarzane tutaj buty cieszyły się uznaniem również poza granicami kraju. Bywały okresy, w których największy udział w produkcji rocznej rzemiosła mieli szewcy. Ci mieszkańcy Warszawy, którzy cenili sobie doskonałą jakość obuwia i byli bardziej zamożni, mogli udać się m.in. do pracowni Jana Kielmana czy warsztatu lub sklepu Stanisława Hiszpańskiego. Wyrabiali oni ekskluzywne buty, cieszące się uznaniem niemal na całym świecie. Warszawianie o mniejszej zasobności portfela wyczekiwali na promocje i wyprzedaże lub wybierali warsztaty o słabszej renomie, a tych nie brakowało. Nie oznaczało to, że szewc mniej znany był szewcem złym. Jak w przypadku innych rzemiosł, kandydat do zawodu szewskiego przebywał drogę od ucznia do czeladnika i od czeladnika do majstra/mistrza. Często był to zawód, który przechodził na następne pokolenie.

Chcący kupić buty sportowe udawali się np. do Nordona Szoela na ul. Chłodną 39, z kolei potrzebujący specjalistycznego obuwia ortopedycznego – do Abrama Zewelewa na ul. Dzielną 38 lub do Mendla Lipskiego na ul. Nowolipki 36. Panowie mogli zamówić buty u szewca męskiego Antoniego Idzikowskiego na ul. Mokotowskiej 73 albo kupić u Antoniego Chytrzyńskiego w Gościnnym Dworze. Chytrzyński handlował też obuwiem damskim i dziecięcym. Buty dla pań, panów i najmłodszych oferowała również pracownia Wincentego Drewnika na ul. Leszno 49. Jak głosiła reklama w *Adresach Warszawy 1913/1914*, Drewnik „poleca obuwie gotowe w różnych fasonach z najlepszych krajowych i zagranicznych materiałów". Pod adresem Al. Jerozolimskie 51 swój sklep o prostej nazwie Szewc prowadziła Spółka Szewców Robotników Chrześcijańskich, która, jak podaje ogłoszenie w *Adresach Warszawy* na te same lata, „poleca wszelkie obuwie damskie, męzkie [sic] i dziecinne od najskromniejszych do najbardziej wykwintnych. Ceny bardzo przystępne. Obstalunki i reperacje wykonywa się w możliwie najkrótszym czasie". Dostosowywano się do rozmaitych potrzeb klientów i oferowano buty na niemalże każdą kieszeń.

Obuwie od Kielmana

Pracownia obuwia Jana Kielmana mieściła się i, co interesujące, nadal funkcjonuje przy ulicy Chmielnej. Po osiągnięciu pełnoletności Jan opuścił rodzinny dom w Szczepankowie, by udać się do Warszawy i tam usamodzielnić. Początkowo myślał o zupełnie innym zawodzie i zaczął uczyć się na cukiernika, jednak szybko zmienił decyzję. Po trzech latach został majstrem szewskim i w 1883 r. otworzył przy ul. Chmielnej 1/3 warsztat. Ożenił się z Marianną Doley, która pochodziła z zamożnej rodziny przedsiębiorców – jej rodzicami byli Leon i Antonina Doley, dzisiaj kojarzeni przede wszystkim jako właściciele charakterystycznej kamienicy z gloriettą przy ul. Chodakowskiej 22. Posag wniesiony przez Mariannę pozwolił rozwinąć pracownię obuwniczą. *Kalendarz Handlowy na Rok zwyczajny 1911* pod hasłem *Skóry* wymienia Towarzystwo Współdzielcze Handlu Skórami w Królestwie Polskim, działające pod adresem ul. Foksal 18. Jego prezesem był Leon Doley, zaś do Towarzystwa należał m.in. Jan Kielman. Sam Doley również był majstrem szewskim warszawskiego cechu szewskiego, i to dość zasłużonym – za damskie obuwie otrzymał na wystawie przemysłowo-artystycznej w Petersburgu srebrny medal („Słowo", 1907, nr 308). Firma Kielmana prosperowała świetnie, a na chłonny rynek rosyjski kierowała niemalże połowę swej rocznej produkcji. Ich eksport do Rosji został przerwany dopiero przez wybuch I wojny światowej. Poza sklepem od ulicy przedsiębiorstwo zajmowało pomieszczenia w oficynie, w których ulokowane były warsztaty i magazyny ze skórą oraz gotowymi wyrobami. W 1927 r. do spółki przystąpił syn Jana – Wacław.

Buty szyte na miarę u Kielmanów cieszyły się uznaniem elit, były też modne wśród artystów. Do klientów firmy należeli m.in. Charles de Gaulle, Ignacy Mościcki, Jan Kiepura, Adolf Dymsza, Mieczysława Ćwiklińska, Stefan Wiechecki (Wiech) czy Hanka Bielicka. Trudności pojawiły się wraz z wybuchem II wojny światowej. Chociaż firma Kielmanów mogła dalej prowadzić działalność, to rodzina została wysie-

Reklama fabryki i magazynu Krystiana Ajassa

dlona z luksusowego apartamentu przy ulicy Konopczyńskiego. W trakcie Powstania Warszawskiego zniszczeniu uległa kamienica, w której znajdował się sklep. Wraz z pracownią został on całkowicie zniszczony. Zawartość magazynów przejęli powstańcy. Po wojnie zaczął się nowy, inny czas. Wacław Kielman postanowił odbudować firmę, ponownie przy ulicy Chmielnej, ale już pod numerem 6. W gruzach poprzedniej siedziby udało się odnaleźć niektóre narzędzia, kilka kopyt i trochę skóry, jednak tej ostatniej stale brakowało. Pomimo trudności z zaopatrzeniem w podstawowy materiał oraz przy braku przychylności ze strony nowej władzy firma przetrwała do dziś. W 1982 r. dołączył do niej wnuk Jana, również Jan, zaś w 1993 r. jego syn, Maciej. Firma Jan Kielman pozostała wierna XIX-wiecznym tradycjom szewskim. W 2000 r. angielski almanach „Europe's Elite 1000" umieścił ją na liście tysiąca najbardziej ekskluzywnych marek w Europie.

A może od Hiszpańskiego?

Czy był przed wojną w Warszawie ktoś, kto nie słyszał o szewcu Stanisławie Feliksie Hiszpańskim? Chyba nie. Jego firma, nazwana po prostu Hiszpański, oferowała standard usług szewskich na najwyższym światowym poziomie. Dziadkiem Stanisława Feliksa był Stanisław Eugeniusz (1815-1890), który majstrem szewskim został z pewnym trudem. Swój warsztat szewski otworzył przy Tłomackiem, a po pewnym czasie dorobił się również sklepu przy ul. Bielańskiej 6. Pod ten drugi adres przeniósł się 1 października 1885 r. z ul. Długiej 37 (już wtedy firmą kierował jego syn Stanisław Antoni). Jak głosiła reklama firmy: „Utrzymując specyalność w wykonywaniu obówia podług miary oświadczam: że moich wyrobów nikomu do sprzedaży nie dostarczam" (*Józefa Ungra Kalendarz Warszawski Popularno-Naukowy Illustrowany na rok przestępny 1888*, s. 312). Ta sama reklama opublikowana jest w wielu źródłach.

Warto wspomnieć, że obok działalności szewskiej Stanisław Eugeniusz oddawał się aktywnościom oświatowym i społecznym. Należał do tzw. millenerów, czyli grupy warszawskich inteligentów, którzy w swoim programie umieścili m.in. starania o przyznanie autonomii Królestwu Polskiemu, walkę o prawa polityczne dla mieszczan i uwłaszczenie chłopów. Stanisław Eugeniusz był starszym Zgromadzenia Szewców w Warszawie. Współzakładał Towarzystwo Pomocy Naukowej. Był aktywny polityczne i za swoje działania został ostatecznie zesłany do Wiatki. Po powrocie do Warszawy nie włączał się już w politykę i do końca swych dni pracował jako nauczyciel szewskiego rzemiosła w przytułku dla sierot im. Stanisława Jachowicza przy ulicy Freta (*Album Powązek*, cz. 1, Warszawa 1915).

Synem Stanisława Eugeniusza i Zofii Wróblewskiej był Stanisław Antoni (1844-1899). Zanim podjął pracę w warsztacie ojca, był uczniem Jana Lindemanna. Kierował firmą, kiedy ojciec przebywał na zesłaniu. Podróżował przy tym sporo po świecie. Ojcowskie przedsiębiorstwo przejął w 1873 r. z założeniem, by prowadzony przez niego zakład szewski wyróżniał się najlepszymi materiałami krajowymi i zagranicznymi. Zatrudniał najzdolniejszych w szewskim fachu. Stawiał na doskonałe reprezentowanie szewstwa za granicą (*Józefa Ungra Kalendarz Warszawski Popularno-Naukowy Illustrowany na rok 1886*, s. 218). W 1878 r. został starszym Zgromadzenia Szewców w Warszawie.

Reklamy firm obuwniczych w *Kalendarzu Warszawskim Naukowo-Popularnym na rok 1885*

Stanisław Feliks (1872-1939), syn Stanisława Antoniego i Zofii Kwiatkowskiej, stał się legendarnym szewcem przedwojennej Warszawy. Był poliglotą, społecznikiem i filantropem, w 1912 r. założył Tajną Naczelną Organizację Skautową, zaś w czasie I wojny światowej wspierał Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół". Przejął firmę po ojcu i, będąc jej właścicielem, nadzorował wszelkie prace wykonywane na jej rzecz, a także przyjmował klientów. Obuwie od Hiszpańskiego cieszyło się uznaniem i było eksportowane do klientów niemal na całym świecie. Zamawiali je ludzie związani z polityką, wojskiem, sportem, artyści, m.in. premier Felicjan Sławoj Składkowski, Jan Kiepura czy zapaśnik „Zbyszko" Cyganewicz. Również ludzie niezamożni mogli nabyć buty u Hiszpańskiego, na specjalnych warunkach. Przedsiębiorstwo działało od 1838 r. i miało kilka siedzib, w tym, w okresie międzywojennym, przy ul. Krakowskie Przedmieście 7, gdzie klientów witał szyld z niedźwiedziem trzymającym w łapach but. Stanisław Feliks zginął podczas bombardowania w 1939 r.

Kopyta szewskie w piwnicy domu przy ul. Targowej 19

Niełatwa codzienność szewców

O problemach, z jakimi borykali się szewcy, można by napisać wiele. Włamania do sklepów, kradzieże w magazynach – były, jak i dzisiaj, niemal na porządku dziennym. Niektóre dość nietypowe. W 1921 r. do magazynu Towarzystwa Akcyjnego „Gramofon" przy ul. Nowy Świat 30 włamali się w nocy złodzieje. Najwidoczniej mało im było łupów, bo postanowili wyciąć w suficie otwór i okraść jeszcze sąsiedni magazyn – obuwia Waleriana Kwiatkowskiego. Ktoś ich jednak spłoszył i musieli obejść się ze smakiem („Robotnik", 1921, nr 46). Kwiatkowscy, jako firma „Wincenty Kwiatkowski syn", wyrabiali buty damskie, bardzo chwalone na łamach prasy kobiecej – obuwie było trwałe, eleganckie i w korzystnej cenie („Mody Paryzkie", 1879, nr 10).

Fabryki obuwia

Niektórzy rzemieślnicy zajmujący się szewstwem decydowali się na przejście z wykonawstwa tradycyjnego, czyli ręcznego szycia obuwia, na zmechanizowane. Takie rozwiązanie wymuszał rosnący popyt na tańsze buty, a sprostać masowości ich produkcji mogły tylko fabryki. W książkach telefonicznych i ogłoszeniach w prasie i kalendarzach można znaleźć adresy i reklamy wielu warszawskich fabryk obuwia, już od końca XIX w. Są wśród nich np. fabryka i magazyn na rogu ulic Bielańskiej i Długiej (Krystian Ajass) czy fabryki przy ul. Pawiej 30 i ul. Solec 93 (Brochis i Synowie), przy ul. Muranowskiej 30 i ul. Miłej 42 (Dawid Bauflek). Na początku XX w. zaczęły się pojawiać większe fabryki produkujące buty, jak ta przy ul. Gocławskiej 9 (Manufaktura Obuwia Francuskiego, Towarzystwo Akcyjne na Pradze). Fabryki obuwia działały też przy ul. Waliców 15 (H. Obremski i Synowie, i była to dobrze znana ówczesnym warszawiakom firma obuwnicza), ul. Chłodnej 43 („Ka Pe O" Krajowy Przemysł Obuwiany, Mechaniczna Fabryka Obuwia) czy przy ul. Sapieżyńskiej 17 (Stefan Karcz i Spółka, Mechaniczna Wytwórnia Obuwia).

Otwarcie niektórych fabryk zapowiadano szumnie, jednak trudna sytuacja i kryzys odmieniły karty ich historii. Mechaniczna Fabryka Obuwia „Polus" SA przy ul. Lubelskiej 30/32 miała być w latach 20. tym, czym była czeska Bata. Do otwarcia fabryki jednak nie doszło, a budynek przeznaczono na schronisko dla ludzi w kryzysie bezdomności. Cieszyło się ono fatalną renomą i niejednokrotnie musieli w nim interweniować uzbrojeni w broń stróże prawa.

Buty męskie w dwóch fasonach

Okres powojenny był ciężki dla wszystkich branż, również dla obuwniczej. Pojawił się już wcześniej wspomniany problem z zaopatrzeniem w podstawowe materiały, z których wykonywane były buty, czyli skóry. Upaństwowiony przemysł skórzany nie pokrywał 100% zapotrzebowania. Obuwia brakowało, więc zaczęło być przydzielane. Rosło niezadowolenie oczekujących na ich przydział. Kronika Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych (PKF 5/47) z 1947 r. entuzjastycznie obwieszczała: „W fabryce [...] ruszyła produkcja obuwia! Zniecierpliwieni rodacy czekają na przydziały. Buty męskie wyrabia się w dwóch fasonach, damskie nawet w trzech". Film dokumentalny dotyczył produkcji w Warszawskiej Fabryce Obuwia. Produkowane masowo buty nie były jednak dobrej jakości. Ten, kto mógł sobie na to pozwolić, korzystał z usług nielicznych już szewców. Wytwarzanie obuwia na szeroką skalę w fabrykach odbywało się w okresie PRL. W latach 80. buty były towarem reglamentowanym i można było je dostać na kartki, np. w sklepie Warszawskiej Fabryki Obuwia „Syrena" przy ul. Kolskiej 3. Historia zatoczyła koło i po upadku PRL, wraz z wprowadzeniem gospodarki wolnorynkowej, ponownie pojawili się klienci poszukujący ekskluzywnych butów szytych na miarę. Dziś w Warszawie odnaleźć można jeszcze pracownie szewskie, które działają od pokoleń.

Monika Wesołowska – prażanka z urodzenia, filolog klasyczny i archeolog, pracownik Polskiej Akademii Nauk i wychowawca w Środowiskowym Ognisku Wychowawczym TPD na Pradze-Północ, realizuje projekt *Z Pragą za pan brat*, Społeczny Opiekun Zabytków

Zdjęcie: M. Wesołowska, 2015

Nowoczesność w kuchni i salonie

Adrian Sobieszczański

Mieszkańcy przedwojennej Warszawy szeroko korzystali z urządzeń gospodarstwa domowego, które miały służyć usprawnieniu rozmaitych zajęć codziennego życia. Kształt i działanie niektórych z tych urządzeń niewiele różniły się od stosowanych także obecnie, inne wydają się dziś sprzętem z całkiem innej rzeczywistości

Chociaż u progu niepodległości Warszawa była miastem zelektryfikowanym, w korzystaniu z energii elektrycznej mieszkańcy naszego miasta napotykali przeszkody. Wśród przyczyn były m.in. problemy z dostawami węgla do elektrowni. Stan ten zmienił się po uregulowaniu sytuacji na Górnym Śląsku w 1922 r. – sieć abonentów prądu mogła się powiększyć. Chociaż energia elektryczna pojawiła się w Warszawie najpóźniej ze wszystkich mediów, za wodociągami i gazem, to niebawem była już najpowszechniejsza i w przeddzień września 1939 r. w Warszawie 87% nieruchomości mieszkalnych miało podłączenie do prądu. Elektryfikacja budynku nie oznaczała elektryfikacji wszystkich mieszkań. Na tle miast polskich Warszawa ustępowała znacznie Katowicom, zaś zostawiała w tyle np. Lwów. W odniesieniu do metropolii europejskich, jak Wiedeń czy Budapeszt, polska stolica wypadała nader niekorzystnie.

Oczywiście nie można zapominać o ogromnych dysproporcjach między poszczególnymi dzielnicami czy grupami społecznymi. O ile większa część mieszkań warszawskiego Śródmieścia czy nowych kolonii urzędniczych bądź oficerskich była zelektryfikowana, to w mieszkaniach robotniczych było to rzadkością. W drugiej połowie lat 30. nastąpiły radykalne zmiany w ilości zużycia energii. Stanowiło to efekt stymulowania przez państwo i Elektrownię Miejską używania prądu oraz propaganda korzystania z niego w celach innych niż tylko oświetlenie. Jednak elektrycznych sprzętów domowych było wtedy w Warszawie jeszcze mało, w porównaniu np. z Katowicami czy Gdynią. Pierwsza kuchnia elektryczna w Warszawie pojawiła się w 1935 r., a skonstruował ją Kazimierz Szpotański, w dwupokojowym lokalu przy ulicy Mirowskiej, gdzie mieściła się pierwsza siedziba Fabryki Aparatów Elektrycznych K. Szpotański i Spółka.

Władzom Warszawy oraz Elektrowni Miejskiej zależało na upowszechnieniu sprzętu elektrotechnicznego. Efektem prowadzonych zabiegów było podpisanie w grudniu 1936 r. umowy z Alfonsem Hoffmannem, inżynierem elektrykiem, pionierem elektroenergetyki, dyrektorem Pomorskiej Elektrowni Krajowej „Gródek", na uruchomienie w Warszawie sprzedaży urządzeń grzewczych produkowanych w warsztatach PEK „Gródek" oraz organizowanie specjalnych pokazów ich obsługi. Pod okiem fachowców panie uczyły się obsługi elektrycznych kuchenek oraz przygotowywania potraw z ich użyciem. Jednym z elementów promocji energii elektrycznej i wykorzystania jej w gospodarstwie domowym było uruchomienie w Warszawie Salonu Demonstracyjnego Elektrowni Warszawskiej. Warto podkreślić, że prezentowane tam sprzęty były wyłącznie polskiej produkcji. W salonie można było uzyskać informacje na temat kosztów, jak i samych sprzętów.

Salon Elektrowni ulokowano w przebudowanym przez Bohdana Pniewskiego gmachu Domu Mody Bogusław Herse na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Kredytowej. Uroczyste otwarcie funkcjonalistycznego salonu miało miejsce w kwietniu 1937 r. W zaaranżowanych przestrzeniach można było zobaczyć liczne urządzenia elektryczne. W celu prowadzenia pokazów utworzono specjalną salę kursów z 15 kuchenkami elektrycznymi. Wszystkie urządzenia zostały przekazane przez firmę „Gródek". Otworzono także salę odczytów, które dzięki zainstalowaniu specjalnej aparatury były słyszalne w całym Salonie. Do sali odczytowej przylegał sklep firmowy Elektrowni „Gródek", do którego można było wejść również wprost z ulicy. Tu warszawiacy mogli nabywać sprzęt reklamowany i prezentowany w Salonie.

Głównymi korzyściami wynikającymi z użytkowania nowych urządzeń miały być oszczędność czasu i bezpieczeństwo. Była natomiast jedna niemała wada wszystkich sprzętów – wysoka cena. Elektrownia wyciągnęła jednak rękę do potencjalnych nabywców, proponując zakupy rozłożone na 24 dogodne raty. Doliczano je do rachunków za prąd. Na efekty nie trzeba było długo czekać. W latach 1937-1939 w sklepie Salonu Elektrycznego zakupiono 47 522 urządzenia elektryczne.

Pierwsze kuchnie elektryczne były produkowane przez zagraniczne firmy, np. Siemens. W niedługim czasie pojawiła się rodzimej produkcji kuchnia wspomnianej firmy „Gródek". Produkty „Gródka" miały niewielkie rozmiary, toteż nadawały się do każdego pomieszczenia, a ich kształty i design odpowiadały ówczesnemu poczuciu estetyki. Podkreślano, że ustawienie nawet niewielkiej kuchni elektrycznej o estetycznym wyglądzie wpływa korzystnie na odbiór całego pomieszczenia gospodarczego. Kuchnie powstawały w dwóch wariantach kolorystycznych, czarne oraz białe, z emaliowanymi powierzchniami. Miały kilka

W nowoczesnym domu schyłku lat 30. XX w. nie mogło zabraknąć imbryków elektrycznych

„Arkady", 1938, nr 1

Wystawa sprzętu elektrotechnicznego w Salonie Demonstracyjnym przy Marszałkowskiej, 1937 r.

Reklama automatycznych chłodni elektrycznych Frigidaire, 1928 r.

Ilustracje: „Arkady", 1937, nr 7, „Tygodnik Ilustrowany", 1928 r.

fajerek i piecyk. Oprócz większych dostępne były także małe kuchenki jednopalnikowe. Stopień nagrzania mógł być dowolnie regulowany. Paniom domu dopiero rozpoczynającym przygodę z kuchenkami elektrycznymi Elektrownia „Gródek" proponowała magazyn „Kuchnia Elektryczna". W każdym numerze podawano zwięzłe przepisy na potrawy oraz wskazówki pomocne w ich przygotowaniu. Nie zabrakło przepisów na roladę cielęcą, jasny sos wielkanocny, ciasta, a nawet konserwę ze szparagów. Za kuchenkę w opcji z piekarnikiem trzeba było zapłacić ok. 550 zł, a za sam piekarnik 250 zł. Popularne były też piekarniki przenośne. Interesująco prezentował się piekarnik w kształcie tuby. Jego zaletą było równomierne rozprowadzanie ciepła.

Piecyk Mars

W latach 30. bardzo dużym zainteresowaniem cieszyły się elektryczne czajniki zwane imbrykami. Były tanie w użytkowaniu, bo zużycie prądu regulowało się w nich zależnie od wymaganej temperatury wody. Pozwalały na gotowanie małej ilości wody bez obawy o uszkodzenie naczynia. Elektryczne imbryki oferowała warszawska firma Brabork, czyli Zakłady Elektrotechniczne Braci Borkowskich. Najczęściej wykonane były z blachy mosiężnej, niklowanej, wewnątrz polerowanej. Ceny imbryków polskiej produkcji wahały się między 20 a 40 zł.

Siedziba zarządu firmy mieściła się przy ul. Grochowskiej 45, fabryka natomiast zlokalizowana była przy ul. Kamionkowskiej 30. W produkty Braborku można było się zaopatrzyć m.in. w sklepach w Al. Jerozolimskich 6 czy przy ul. Brackiej 12. Przed 1914 r. przedsiębiorstwo znane było z produkcji sprzętu oświetleniowego oraz instalacji elektrotechnicznej. Zatrudniając wysokiej klasy kadrę inżynierską, firma stale rozszerzała swoją ofertę i podnosiła jakość produktów. W 1929 r. zyskała rozgłos, kiedy na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu zdobyła srebrny medal za grzejniki elektryczne. Brabork był też producentem – największym w Polsce – żelazek elektrycznych. Najbardziej popularnym modelem był ten o oznaczeniu 1081. Miał specjalne wyżłobienia w stopie, pozwalające na łatwe prasowanie materiału wokół guzików i pod nimi. Firma proponowała również małe elektryczne żelazka podróżne. Przedsiębiorstwo wykonywało także bakelitowe elementy nawierzchniowe instalacji elektrycznych. Z tego termoutwardzalnego tworzywa powstawały włączniki, obudowy gniazdek czy dzwonki.

W Warszawie popularne były też opiekacze do chleba, pozwalające na wygodne przyrządzanie grzanek. Cena takiego urządzenia nie była mała – ok. 45 zł. W domach pojawiały się także pierwsze suszarki do włosów, zarówno polskich, jak i zagranicznych firm, przy czym polskie produkty w niczym nie ustępowały zagranicznym odpowiednikom, a były tańsze. Niklowana suszarka firmy Brabork, z funkcją ciepłego i zimnego powietrza, kosztowała 52 zł i znajdowała zastosowanie w domu oraz w salonie fryzjerskim.

Miejscowe ogrzewanie lub dogrzewanie – w porze zimowej – mieszkań zapewniały piecyki elektryczne. Miały żelazną obudowę i ekran z niklowanej siatki. Urządzenia te były łatwe w przenoszeniu i pozwalały na regulowanie temperatury. Latem można było natomiast korzystać z przewietrznika, czyli wentylatora, których kilka modeli także oferowali Bracia Borkowscy.

Rewolucja czekała nie tylko kuchnie, lecz także łazienki, nazywane coraz częściej pokojami kąpielowymi. Wstawiano do nich np. łazienkowe warniki elektryczne, służące do podgrzewania wody. W latach 30. w łazienkach zamożniejszych warszawskich domów stosowano piecyki gazowe produkcji stołecznego zakładu MARS – Fabryki Urządzeń Zdrowotnych A. Radłowski i M. Sztos, mieszczącej się przy ul. Dalekiej 1/3. W sprzątaniu pomagały odkurzacze. Te podręczne stały się popularne w dwudziestoleciu. Przed I wojną światową w luksusowych kamienicach warszawskich, jak kamienica Fruzińskiego czy Kacperskich przy ul. Marszałkowskiej 1, instalowano odkurzacze centralne. Odkurzacz, jaki znamy dzisiaj, narodził się w 1921 r., kiedy firma Electrolux wypuściła Model V. Od nazwy producenta jeszcze w czasach powojennych każdy odkurzacz nazywany był electroluxem, nawet jeśli jego wytwórcą była inna firma. Odkurzacz Super-Protos można było kupić w sklepie Polskich Zakładów Siemens SA przy ul. Foksal 18. Firma Siemens była jednym z potentatów na europejskim rynku. W latach 30. salon Siemensa oferował też elektryczne młynki do kawy, żelazka i piekarniki. Odkurzacze Vampyr można było nabyć w sklepie Powszechnego Towarzystwa Elektrycznego AEG przy Krakowskim Przedmieściu 16/18. Odkurzacz był poręczny, a komplet szczotek pozwalał na odkurzanie mebli, zasłon czy ram obrazów.

Choć trudno nam to sobie dziś wyobrazić, najrzadziej spotykanym sprzętem gospodarstwa domowego były elektryczne lodówki, tworzone dopiero od początku lat 20. Robiły karierę za oceanem, a nad Wisłą nie były znane na szerszą skalę. Pierwsza lodówka w Europie została wypuszczona przez niemiecką firmę AEG. Jednak dopiero model Electroluxa z 1922 r. był pierwszym produkowanym na masową skalę sprzętem chłodzącym tego typu. W Warszawie częściej spotykano lodówki gazowe. Automatyczne chłodnie elektryczne amerykańskiej firmy Frigidaire można było zamówić u przedstawiciela w stolicy, firmy Elibor przy ul. Mazowieckiej 11. Nowoczesne lodówki elektryczne domowego użytku, wraz z kosztami utrzymania, były często ogromnym wydatkiem nawet dla lepiej zarobkujących warstw przedwojennej stolicy.

Oferowane w latach 30. sprzęty gospodarstwa domowego miały często aerodynamiczne kształty, którymi odwoływały się do wyglądu spalinowych lokomotyw czy samolotów. Kojarzyły się z nowoczesnością i szybkością. Nierzadko były efektem postępowej myśli technicznej, wpisywały się w ówczesne trendy wzornictwa i sprawiały, że Polska w rozwoju gospodarczym goniła kraje Europy zachodniej. Na co dzień nie tylko usprawniały życie mieszkańców stolicy, lecz także przyczyniały się do modernizacji kraju.

Adrian Sobieszczański – historyk, licencjonowany przewodnik miejski, pasjonat polskiej wojskowości i architektury, współtwórca projektu *Warszawy historia ukryta*

Reklama kuchni elektrycznych Elektrowni „Gródek"

Ilustracje: Muzeum Miasta Gdyni

Ilustracje: Polona

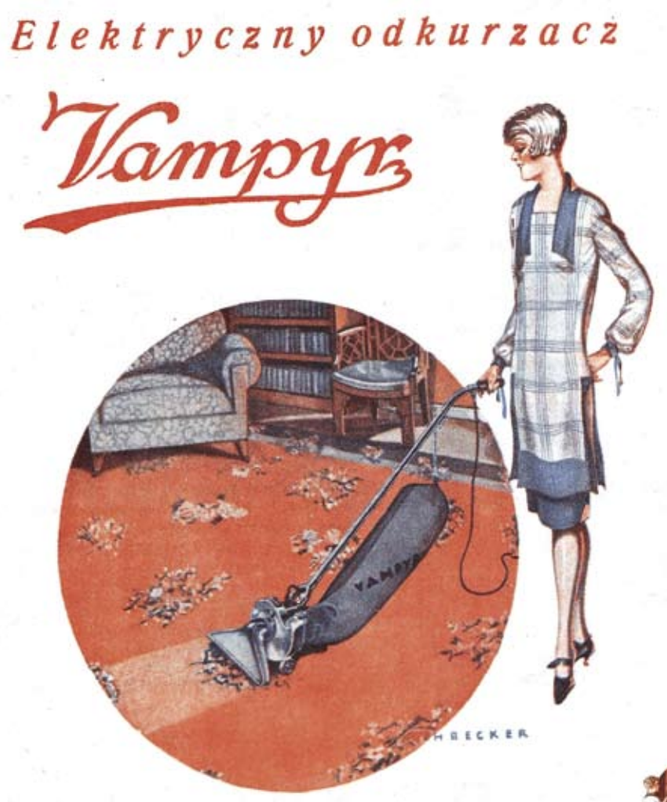

Reklama Protos. Salon Siemens przy Foksal 18. Tygodnik Ilustrowany 1931.JPG

Poręczne odkurzacze Vampyr były szeroko reklamowanym sprzętem

Krok po kroku do getta

Jerzy S. Majewski

W październiku mija 80. rocznica podjętej przez Niemców decyzji o utworzeniu żydowskiego getta w Warszawie. Bramy getta zostały zamknięte 16 listopada 1940 r. Zanim do tego doszło, przez ponad rok warszawscy Żydzi niemal każdego tygodnia dowiadywali się o kolejnych poniżających zakazach, ograniczeniach wolności, rabunkach i zwykłych zbrodniach

Lekarz Henryk Makower w *Pamiętniku z warszawskiego getta* pisał: „Szedłem sam z wizyty u chorego. Byłem zamyślony i nagle, jak spod ziemi, wyrósł przede mną jakiś żołnierz o mocno chamskiej mordzie. Nie było czasu, żeby przejść na drugą stronę ulicy. Wobec tego udawałem, że tego przyjemniaczka nie widzę. Ale on mnie doskonale widział i nie zamierzał przepuścić w spokoju. Pokazał mi kapelusz: «Was is das?». Odparłem naiwnie «Ein Hut». Wobec czego uderzył mnie na płask ręką w czoło w ten sposób, że kapelusz poleciał sobie, a twarda, spracowana ręka pojechała mi boleśnie po głowie. Po czym poszedł w swoją stronę, a ja podniosłem kapelusz i również poszedłem”.

Tego rodzaju wspomnienia były wspólnym doświadczeniem wielu warszawskich Żydów w pierwszych miesiącach okupacji. Także Władysław Szpilman relacjonował w *Pianiście* pierwsze, pełne upokorzeń spotkania z okupantami: „Prywatne samochody jeździły ulicami, zatrzymywały się nieoczekiwanie w pobliżu przechodzących chodnikiem Żydów, przez otwierające się drzwi wychylała się ręka, której zgięty palec wskazywał ich gestem «Komm, komm!». Powracający z takich łapanek opowiadali o pierwszych przypadkach pobić: nie były one jeszcze zbyt groźne – ograniczały się raczej do ciosów wymierzonych w twarz lub paru kopnięć. Zdarzenia te odczuwane były szczególnie dotkliwie przez tych, którzy [...] jeszcze nie zrozumieli, że nie miały one, oceniając je w wymiarze moralnym, innego znaczenia niż uderzenie bądź kopniaki jakiegoś zwierzaka”. Niebawem władze okupacyjne zaczęły wprowadzać niezliczone przepisy i rozporządzenia systematycznie ograniczające wolność osobistą i prawa ludności żydowskiej.

Tramwaj jadący ulicą Graniczną, z lewej wylot ulicy Grzybowskiej, 1939 r.

Zdjęcie: NAC, Wikipedia

Na początek obcinanie bród

Żołnierze niemieccy do pokonanej stolicy wkroczyli 1 października 1939 r. Miasto skapitulowało kilka dni wcześniej, 28 września. Prześladowania ludności żydowskiej w Warszawie zaczęły się już w pierwszych dniach okupacji i postępowały systematycznie, aż do zamknięcia Żydów w getcie i ich ostatecznej eksterminacji w latach 1942-1943.

Żydzi od pierwszych dni nie mogli się czuć bezpieczni na ulicach miasta. Już w październiku i listopadzie byli wyławiani z tłumu przez niemieckich żołnierzy. Na szykany szczególnie narażeni byli ortodoksi i chasydzi w tradycyjnych strojach, z pejsami i długimi brodami. Do ulubionych „zabaw” niektórych żołnierzy psychopatów należało zatrzymywanie ich na ulicach, nakazywanie gimnastyki, tańca, wreszcie obcinanie bród. Te „zabawy” uwieczniane były na fotografiach. Także na tych wykonywanych przez członków niemieckich kompanii propagandowych, jak fotograf Arthur Grimm. Na wykonanych przez niego zdjęciach widzimy rozbawionych niemieckich żołnierzy obcinających zatrzymanym przechodniom brody i pejsy. Trudno powiedzieć, czy były to jedynie zdjęcia pamiątkowe wykonane dla kolegów, uwieczniające tę „wielką, męską przygodę”, czy też takie fotografie miały przekonywać o cywilizowaniu przez nazistów „brudnych” Żydów.

Zarówno mężczyźni o wyglądzie ortodoksów, jak też inteligenci o semickich rysach w październiku czy listopadzie wyłapywani byli przez Niemców do prac przy odgruzowywaniu ulic. Na zdjęciach wykonanych przez niemieckie kompanie propagandowe widzimy ich przy pracy zarówno na zagruzowanych Nalewkach, jak też w innych rejonach tzw. dzielnicy północnej czy Grzybowa.

Adam Czerniaków, prezes warszawskiego Judenratu

Dziennik Adama Czerniakowa

Spis na barkach Rady

Już 10 października Niemcy ukonstytuowali Radę Starszych Gminy Żydowskiej. Powołali do niej 24 osoby pod przewodnictwem Adama Czerniakowa. Jej siedzibą stał się budynek przy ulicy Grzybowskiej. Członkowie Rady niemal natychmiast zmuszeni zostali do włączenia się w niemieckie akcje wymierzone przeciwko ludności żydowskiej. Już 21-22 października okupanci zmusili Radę do doprowadzenia 360 robotników do prac przy odgruzowywaniu ulic pod niemieckim nadzorem. Z każdym kolejnym dniem liczba osób zmuszanych do pracy była przez okupanta zwiększana, a łopaty i kilofy wręczano do ręki nie tylko zdrowym i silnym, lecz także złapanym na ulicy ledwo trzymającym się na nogach starcom.

W tym samym czasie na mieście okupanci rozplakatowali wezwanie zapowiadające ogólny spis ludności żydowskiej. „Celem uregulowania gospodarczych stosunków w Warszawie konieczny jest spis wszystkich osób żydowskich przebywających w Warszawie. W tym celu utworzona została Rada Starszych Gminy Żydowskiej” – głosiło wezwanie. Termin spisu wyznaczono na 28 października. W rezultacie akcji ustalono, że w Warszawie przebywa 360 tys. Żydów. W najbliższych miesiącach ich liczba w mieście znacznie wzrosła – 30 października bowiem szef SS Heinrich Himmler wydał zarządzenie o przesiedleniu do Generalnego Gubernatorstwa ludności polskiej i żydowskiej z ziem włączonych do Rzeszy. Część z nich trafiała do Warszawy po 19 grudnia. W ciągu tylko jednego tygodnia do Warszawy przesiedlonych

zostało 50 tys. kolejnych żydowskich wysiedleńców, wyrzuconych z domów z terenów II Rzeczypospolitej wcielonych teraz do Rzeszy. Adam Czerniaków, który w październiku w swoim dzienniku utyskiwał, że Niemcy zrzucili mu na barki przesiedloną ludność z czterech małych miasteczek, nie przeczuwał, że to dopiero początek, a kolejne fale Żydów będą napływać do Warszawy przez wiele miesięcy.

Oznaczenia w tramwajach warszawskich wskazujące miejsca dla Żydów

Ukryć pieniądze

W połowie października Niemcy zablokowali depozyty i konta należące do Żydów. Tygodniowe wypłaty ograniczono do 250 zł. Ogłoszono też, że żadna żydowska rodzina nie może mieć w domu więcej niż 2 tys. zł – resztę gotówki i przedmioty wartościowe należy zdeponować w banku. To zarządzenie w trzecim tygodniu okupacji wywołało popłoch. „Oczywiście nikt nie był taki naiwny, by oddać cokolwiek dobrowolnie w ręce wroga. Zdecydowaliśmy, że wszystko ukryjemy, mimo iż cały nasz dobytek składał się z kieszonkowego, złotego zegarka ojca oraz 15 tys. zł w gotówce – pisał Władysław Szpilman w *Pianiście*. Rodzina Szpilmana długo zastanawiała się, gdzie ukryć dobytek. Ojciec namawiał do schowania pieniędzy w nodze od stołu. Henryk zaproponował chwyt psychologiczny – położenie pieniędzy i zegarka na widocznym miejscu. „W końcu doszliśmy do porozumienia. Zegarek schowaliśmy pod szafą, łańcuszek od zegarka znalazł schronienie w futerale ze skrzypcami ojca, pieniądze zostały wklejone w okienną ramę" – pisał Szpilman.

Każdy dzień niósł kolejne ograniczenia. Niektóre dotyczyły całej ludności Warszawy, zarówno ludności polskiej, jak i żydowskiej. „Najważniejsze z nich dotyczyło handlu chlebem: każdy, kto będzie sprzedawał lub kupował pieczywo po cenie wyższej niż przed wojną i będzie na tym przyłapany, ma podlegać karze śmierci przez rozstrzelania. Zakaz ten wywarł na nas wstrząsające wrażenie. Przez wiele dni nie jedliśmy chleba, odżywiając się kartoflami i jakimiś mącznymi potrawami. Później Henryk zauważył, że chleb jednak istnieje, jest kupowany, a kupujący nie są natychmiast mordowani" – wspominał Szpilman.

Akcja propagandzistów

Jak pisali Danuta Jackiewicz i Cezary Król w katalogu do wystawy w Domu Spotkań z Historią *W obiektywie wroga* w 2008 r., Żydzi od pierwszych dni okupacji padali ofiarami prowokacji policyjnych: „Oskarżano ich o ukrywanie broni, nielegalny handel żywym towarem, stręczycielstwo, lichwę i spekulację". Wspomniany fotograf Arthur Grimm na potrzeby propagandy stworzył fotoreportaż ukazujący sfingowaną akcję służby bezpieczeństwa SS wymierzoną przeciwko Żydom rzekomo ukrywającym broń. Na zdjęciach widzimy aresztowanie grupy mężczyzn na ulicy Rynkowej w sąsiedztwie ruin Gościnnego Dworu. Mężczyźni są rewidowani, potem wiezieni na plac Trzech Krzyży, gdzie pod jednym z tymczasowych grobów żołnierskich na skwerze przed kościołem św. Aleksandra wskazują miejsce ukrycia broni. Kolejne fotografie ukazują zatrzymanych przed sądem wojskowym.

Pierwsze obwieszczenie o straceniu dwóch osób wyrokiem sądu wojennego Niemcy rozwiesili na ulicach okupowanego miasta już 3 listopada. Były to dwie kobiety, Polki: wdowa Eugenia Włodarz i studentka Elżbieta Zahorska. W październiku niemieckie sądy polowe skazywały na rozstrzelanie osoby, u których odnaleziono broń, i Polaków, i Żydów. W ogrodach sejmowych takich egzekucji dokonywał 301 Batalion Schutzspolizei.

Zbrodnia na mieszkańcach Nalewek

Po 13 listopada miała miejsce pierwsza zbiorowa egzekucja Żydów w Warszawie. Tego dnia w odwecie za zastrzelenie funkcjonariusza granatowej policji przez zwolnionego z więzienia kryminalistę Pinkusa Zylberrynga Niemcy aresztowali wszystkich mężczyzn lokatorów kamienicy przy ul. Nalewki 9. Pełne dramatyzmu wydarzenie relacjonował w dzienniku Adam Czerniaków: „Była u mnie delegacja mieszkańców domu Nalewki 9 w sprawie aresztowania wszystkich mężczyzn z tego domu. Wieczorem interweniowałem w Gestapo. Należy interweniować u polskiej policji wg oświadczenia komisarza" – pisał.

Przez wiele dni przed gabinetem prezesa Czerniakowa wyczekiwała delegacja zrozpaczonych kobiet, których mężowie i synowie zostali zatrzymani. Czerniakowowi wraz z mieszkańcami domu udało się zebrać ogromną sumę 100 tys. zł na łapówki dla esesmanów. Niemcy pieniądze wzięli, chociaż zakładnicy w tym czasie już nie żyli. Rozstrzelano ich 22 listopada na Żeraniu.

Bliscy łudzili się jeszcze przez kilka dni. Dopiero 28 listopada dr Kluge wydał oświadczenie o rozstrzelaniu 53 mieszkańców ul. Nalewki 9. „Bliższych informacji o miejscu pochowania odmówił [...]. Radni namawiają, żeby na jutro odłożyć zawiadomienie rodzin. Nie zgodziłem się na to. Wezwałem ich w obecności jednego radnego (reszta skwapliwie skorzystała z możliwości wyjścia z pokoju). Scena trudna do opisania. Potem na wyrywkę coraz to inna ofiara. Potem złorzeczenia w moim kierunku. O 11.30 wyszedłem z gminy. Ofiary czepiały się dorożki. Co im mogłem pomóc?" – notował Czerniaków. Zwłoki pomordowanych Niemcy wydali dopiero 13 kwietnia 1940 r. Gadzinowy „Nowy Kurier Warszawski" skomentował notatkę o wykonaniu wyroku: „Postępowanie władz jest chyba dla każdego przekonywującym dowodem, że wszelka prób naruszania ładu i bezpieczeństwa będzie zdławiona z całą surowością".

Dodajmy, że fatalnego 13 listopada okupanci swój terror skierowali też w stronę ludności polskiej. Tego dnia w egzekucji w parku w Natolinie zamordowanych zostało 15 innych osób, głównie rolników, ale też student, ziemianin, muzyk, mistrz bokserski i doktor filozofii. Wszyscy oskarżeni o rzekome ukrywanie broni bądź plądrowanie. Na ulicach Warszawy zaczynał się terror, który wkrótce stał się okupacyjną codziennością.

Żydzi w drodze na miejsce przymusowej pracy, ulica Marszałkowska, 1939-1940

Zdjęcia: NAC

Żydzi podczas przymusowej pracy na terenie Warszawy, 1939-1940

Pierwsze plotki o getcie

Kilka dni wcześniej, 8 listopada 1939 r., lotem błyskawicy obiegła miasto wieść o tym, że okupanci dążą do utworzenia w Warszawie dzielnicy żydowskiej. Obawy nie były bezpodstawne. Niemcy faktycznie zaczęli przygotowywać pierwsze plany tworzenia dzielnicy zamkniętej dla Żydów. Nieoczekiwanie przystąpili do grodzenia zachodniej pierzei ulicy Marszałkowskiej w sąsiedztwie wylotu Świętokrzyskiej. Były to jedynie przymiarki, choć już 10 października utworzono pierwsze getto – w Piotrkowie Trybunalskim.

Kilka dni później, 17 listopada, u wylotu niektórych ulic w dzielnicy północnej zamieszkanej głównie przez Żydów pojawiły się zasieki z drutu kolczastego i złowrogie napisy: „Zaraza, wstęp dla żołnierzy zabroniony". Żydzi naznaczeni zostali jako nosiciele tyfusu i innych chorób. Aby rzekomo uwiarygodnić tę informację, okupanci tego dnia wprowadzili przymusowe szczepienie przeciwtyfusowe dla wszystkich mieszkańców miasta.

Patrol policji niemieckiej w getcie

Wielki rabunek

Tego samego dnia gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer podpisał rozporządzenie o „pozbywaniu się i wydzierżawianiu żydowskich przedsiębiorstw w Okręgu Warszawskim". Zakazywało ono pozbywania się sklepów i dzierżawienia przedsiębiorstw oraz sklepów stanowiących własność Żydów bez specjalnego zezwolenia. Równolegle rozpoczął się rabunek własności żydowskiej na wielką skalę, w tym z własnej inicjatywny niektórych „przedsiębiorczych" przedstawicieli aparatu okupacyjnego. Wkrótce zaczął się rabunek bardziej instytucjonalny. Niemcy każdego dnia zamykali inny odcinek ulic Świętojerskiej, Wałowej i innych, po czym dokonywali rewizji w sklepach i mieszkaniach, konfiskując towary. „Na ciężarowe samochody wędrowały bele materiałów, futra, gotowa konfekcja, skóry, obuwie, przedmioty ze srebra, obrazy o dużej wartości artystycznej. Łżejszy łup, głównie w postaci biżuterii i obcej waluty, znikał w kieszeniach oprawców. W ciągu niewielu godzin ludzie byli kompletnie zrujnowani. Właściciele sklepów zmuszeni byli do wynoszenia swoich towarów na własnych barkach. Odbywało się to przy akompaniamencie krzyków, przekleństw, szturchańców, a nieraz katowania ludzi" – wspominał Leon Guz w książce *Targowa 64* i dodawał, że w przypadku odnalezienia u kogoś ukrytych towarów właściciel był zabierany przez niemiecką policję i rzadko kiedy wracał.

Opaska

Wielkim upokorzeniem dla żydowskich mieszkańców Warszawy był nakaz noszenia opasek z niebieską gwiazdą Dawida. Opaski piętnowały. Dokonywały ostatecznego rozdziału ludności żydowskiej i aryjskiej. Dzieląc ludzi, tworzyły getto jeszcze przed wytyczeniem jego granic.

Rozporządzenie podpisał 25 listopada Ludwig Fischer. Od 1 grudnia 1939 r. opaski obowiązywały wszystkich Żydów i osoby pochodzenia żydowskiego powyżej 12 roku życia, bez względu na wyznanie.

Władysław Szpilman wspominał, że zarządzenie o opaskach przekraczało najczarniejsze oczekiwania: „Mieliśmy [...] wyróżnić się z tłumu jako «przeznaczeni do odstrzału». Przekreślano tym samym kilkaset lat postępu ludzkiego humanizmu, który zastąpiono metodami ciemnego średniowiecza".

Niemiecka rewizja w lokalu zamieszkanym przez Żydów, 1939-1940

Zdjęcia: NAC

Także wszystkie sklepy żydowskie miały być oznakowane umieszczonym na widocznym miejscu plakatem z niebieską gwiazdą Dawida na białym tle.

Ludwik Landau, ekonomista i badacz życia społecznego, obserwujący okupację od strony aryjskiej, 1 grudnia 1939 r. notował w swojej kronice: „Wprowadzone zarządzeniem opaski dla Żydów zaczynają się zjawiać. Podobno na całkowitą realizację zarządzenia dano 12-dniowy termin. W naszych warunkach przemieszanej ludności zarządzenie to jest odczuwane jako szczególnie dotkliwa przykrość".

Po wprowadzeniu obowiązku noszenia opasek wiele osób starało się jak najrzadziej wychodzić z domów. Władysław Szpilman pisał, że inteligencja zamykała się teraz na całe tygodnie w dobrowolnym areszcie domowym. Z kolei 27 grudnia 1939 r. Mary Berg zapisała w dzienniku: „Większość czasu spędzamy w domu, dopiero po zmroku decydując się wyjść na krótki spacer przed budynkiem ambasady amerykańskiej [w l. 1939-1940 w Al. Ujazdowskich 29 – red.]. W jego cieniu jakoś czujemy się bezpieczniej". Matka Mary Berg uzyskała obywatelstwo amerykańskie, które przez jakiś czas ją chroniło. Rzecz jasna, sama ambasada amerykańska była w tym czasie już zamknięta.

Praca pod przymusem

Nowy rok 1940 przynosił warszawskim Żydom już tylko fatalne wiadomości. Wymierzone przeciw nim rozporządzenia sypały się teraz niemal z dnia na dzień, a chwilą, w której zarówno Żydzi, jak i Polacy utracili dotychczasową nadzieję na szybkie zmiany i odmianę losu, była klęska Francji w maju 1940 r.

Cofnijmy się jednak w czasie. Mary Berg zanotowała w pamiętniku 10 stycznia 1940 r., że „gadzinowa" prasa podawała nieoficjalne doniesienia o planach stworzenia getta dla warszawskich Żydów. „Artykuł wzbudził wśród nas wielkie rozgoryczenie, bowiem już rozkazano nosić na rękawie białe opaski z gwiazdą Dawida" – pisała. W tym samym czasie wszyscy mieszkańcy miasta cierpieli z powodu mrozów. Wygląd miasta w dramatyczny sposób opisywał wydawany w Paryżu „Głos Polski": „Miasto dosłowne tonęło w śniegu. Miejscami jego pryzmy sięgały pierwszego piętra. Słupek rtęci spadał mocno poniżej 20 stopni Celsjusza". W tysiącach domów wciąż nie było szyb w oknach, wybitych podczas oblężenia miasta we wrześniu 1939 r. Nie sposób było zdobyć węgiel na opał. „W rezultacie cała ludność marznie" – notował 10 stycznia w kronice Ludwik Landau, a 13 stycznia pisał, że w oficjalnej niemieckiej gazecie „Warschauer Zeitung" ogłoszono rozporządzenie o przymusowej pracy dla ludności żydowskiej: „Przymus pracy obejmować ma całą ludność żydowską od ukończenia 14 do ukończonego 60 roku życia – bez względu na płeć, bez względu, czy [osoby] są zatrudnione, czy bezrobotne".

Rejestracja do pracy wszystkich mężczyzn rozpoczęła się 25 lutego i trwała aż do połowy marca 1940 r. Jej wykonanie Niemcy zlecili Gminie Żydowskiej. „Część ludzi skierowano do obozów pracy. Pozostali zobowiązani zostali do stawiennictwa na każde żądanie Gminy Żydowskiej. Z tych ludzi formowano specjalne ekipy, które pracowały w różnych placówkach niemieckich w mieście. Każdy był zobowiązany, oczywiście bezpłatnie, do przepracowania 10 dni w miesiącu. Obowiązkowo należało się stawić o godzinie 5.30 w miejscu zbiórki, skąd partiami Niemcy zabierali Żydów do pracy" – wspominał Leon Guz.

STOLICA nr 9-10/2020

Zakaz za zakazem

W połowie stycznia okupanci wydali kolejne zarządzenie, zakazujące ludności żydowskiej zmiany miejsca zamieszkania bez zezwolenia. Zamykano domy modlitwy i synagogi. Zamieniano je na tzw. azyle dla coraz liczniej przybywających do Warszawy żydowskich przesiedleńców. Ludzie gnieździli się tam w prymitywnych warunkach, śpiąc i mieszkając całymi rodzinami w dużych pomieszczeniach. Azyle coraz częściej zatłoczone były do granic możliwości. Zabroniono zbiorowych modlitw, nawet w prywatnych mieszkaniach.

Niebawem, 5 lutego, wprowadzono kolejny barbarzyński zakaz – podróży Żydom kolejkami dojazdowymi oraz pociągami elektrycznymi (te kursowały m.in. na linii otwockiej). Pozwolenie uzależniano od każdorazowego przedstawienia urzędowego zaświadczenia o odwszeniu. Pretekstem było przeciwdziałanie epidemii tyfusu plamistego. Sporo osób dojeżdżających z Warszawy do miejscowości na linii otwockiej zaczęło się starać o takie zaświadczenia. Na darmo. Już trzy dni później generalny gubernator Hans Frank wydał zakaz podróży Żydom koleją pod groźbą kary więzienia lub ogromnej grzywny.

Niebawem w warszawskich kawiarniach i nielicznych kinach otwieranych po katastrofie września pojawiły się napisy zakazujące wstępu do nich Żydom.

Na Szmulkach, Grochowie czy na Woli?

Wiadomość o planach utworzenia getta zbiegła się w czasie z powołaniem w siedzibie szefa dystryktu warszawskiego wydziału przesiedleń. To tu pracowano nad planami stworzenia zamkniętej dzielnicy żydowskiej. W lutym powstał pierwszy z projektów. Zakładał utworzenie dzielnicy żydowskiej nie w północno-zachodniej części Śródmieścia, lecz na Pradze. Projekt był jednak nie do zrealizowania ze względu na niemożność umieszczenia tak wielkiej liczby ludzi na stosunkowo niewielkim obszarze w domach dużo mniej pojemnych od tych w dzielnicy północnej. Henryk Makower słyszał pogłoski o planach stworzenia getta na terenie skromnie zabudowanych Szmulek i Pelcowizny, w kwietniu 1940 r. doszły informacje o planach utworzenia getta na Woli lub Grochowie. Były to jednak dzielnice pełne zakładów przemysłowych, gęsto zamieszkane przez robotników, i tu wytyczenie granic dzielnicy zamkniętej związane byłoby z ogromnymi trudnościami.

Zrujnowane targowisko na tyłach kamienicy przy ul. Nowy Świat 64, 1939 r.

28

Zdjęcia: NAC

MITTEILUNGSBLATT DER STADT WARSCHAU | DZIENNIK OBWIESZCZEŃ MIASTA WARSZAWY

Nr 38 (55) 18.X.1940. PREIS 20 Gr. | Nr 38 (55) 18.X.1940 R. CENA 20 gr.

BEKANNTMACHUNG
betr.: Bildung eines Juden-Wohnbezirks in der Stadt Warschau.

1) Gemäss Anordnung des Chefs des Distrikts, sind im Gebiet des Distrikts Warschau mit sofortiger Wirkung in sich geschlossene Juden-Wohnbezirke zu bilden, in der Absicht, die Seuchengefahr abzuwenden.

In der Stadt Warschau ist der Juden-Wohnbezirk wie folgt umgrenzt — die Grenzstrassen gehören beiderseitig nicht zum Juden-Wohnviertel:

OBWIESZCZENIE
w sprawie utworzenia dzielnicy żydowskiej na terenie m. Warszawy.

1) Na podstawie zarządzenia Szefa Okręgu należy celem uniknięcia niebezpieczeństwa zarazy utworzyć natychmiast na terenie okręgu warszawskiego zamknięte w sobie dzielnice żydowskie.

Na terenie m. Warszawy biegnie granica dzielnicy żydowskiej, z równoczesnym wyłączeniem z niej obustronnie ulic granicznych, jak następuje:

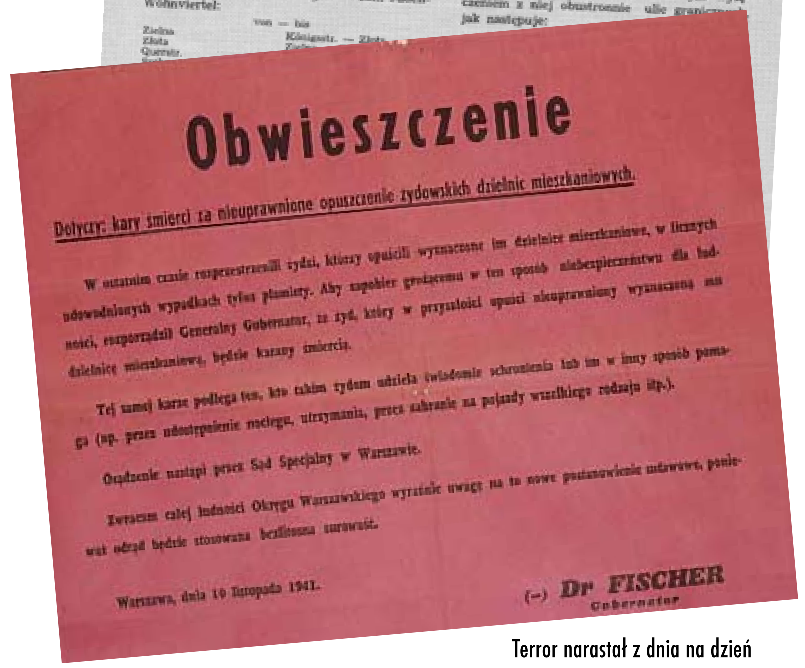
Obwieszczenie

Dotyczy: kary śmierci za nieuprawnione opuszczenie żydowskich dzielnic mieszkaniowych.

W ostatnim czasie rozpowszechnili żydzi, którzy opuścili wyznaczone im dzielnice mieszkaniowe, w licznych udowodnionych wypadkach tyfus plamisty. Aby zapobiec grożącemu w ten sposób niebezpieczeństwu dla ludności, rozporządził Generalny Gubernator, że żyd, który w przyszłości opuści nieuprawniony wyznaczoną mu dzielnicę mieszkaniową, będzie karany śmiercią.

Tej samej karze podlega ten, kto takim żydom udziela świadomie schronienia lub im w inny sposób pomaga (np. przez udostępnienie noclegu, utrzymania, przez zabranie na pojazdy wszelkiego rodzaju itp.).

Osądzenie nastąpi przez Sąd Specjalny w Warszawie.

Zwracam całej ludności Okręgu Warszawskiego wyraźnie uwagę na to nowe postanowienie ustawowe, ponieważ odtąd będzie stosowana bezlitosna surowość.

Warszawa, dnia 10 listopada 1941.

(—) Dr FISCHER
Gubernator

Terror narastał z dnia na dzień

Pogrom wielkanocny

W Wielkanoc ponure wrażenie zarówno na ludności żydowskiej, jak i wielu polskich inteligentach wywarły zamieszki antysemickie. „Święta zaznaczyły się zwiększoną liczbą napadów wyrostków w dzielnicy żydowskiej – napadów połączonych z biciem noszących opaski przechodniów, ale mających jako cel istotny rabunek" – dość lapidarnie notował Landau. Mniej oględna była Mary Berg: „Byłam świadkiem napaści polskich chuliganów na starszą Żydówkę, którą napastnicy pokaleczyli nożami. Liczba takich incydentów rośnie. Ze wszystkich stron słyszy się krzyki bezbronnych Żydów. To niewyobrażalne, że Polacy, niepomni własnych nieszczęść, prześladują jeszcze słabszych od siebie".

Wydarzenia te przeszły do historii jako „pogrom wielkanocny", choć do licznych incydentów doszło już kilka dni wcześniej. Niemcy wykorzystywali polskich wyrostków do napadów na Żydów. Ze szczególnie dużą siłą rozruchy wybuchły w Wielki Piątek. Dla wielu prostych chrześcijan z ludu to tego dnia Żydzi zabili Chrystusa. Rozruchy miały miejsce zarówno w centrum miasta, jak i na ulicach zamieszkanych głównie przez Żydów. Szczególnie aktywni w nich byli nastoletni uczniowie warszawskich szkół rzemieślniczych. Pogrom współorganizowany był przez członków proniemieckiej Narodowej Organizacji Radykalnej. Do dziś historycy nie ustalili ponad wszelką wątpliwość, czy pogrom ten zainicjowany był przez Niemców, czy też działaczy NOR. Wydarzenia zostały jednoznacznie potępione w „Biuletynie Informacyjnym" ZWZ.

Okupanci wykorzystali „pogrom" propagandowo – utworzenie getta miało chronić Żydów przed „polskim motłochem".

Już po ogłoszeniu ostatecznej decyzji o utworzeniu getta Mary Berg notowała: „Krąży uporczywa plotka, że wkrótce dzielnica żydowska zostanie zamknięta. Niektórzy twierdzą, że dla nas to lepiej, gdyż Niemcy nie odważą się tak jawnie popełniać zbrodni, a poza tym będziemy chronieni od napaści polskich chuliganów. Ale inni spośród nas, zwłaszcza ci, którzy uciekli z łódzkiego getta, są przerażeni. Poznali już smak życia w zamkniętej dzielnicy żydowskiej pod niemieckim panowaniem".

30 marca 1940 r. Niemcy zlecili gminie żydowskiej rozpoczęcie wznoszenia muru otaczającego obszar określany jako zagrożony epidemią tyfusu. Powstawał bardzo wolno i w sposób fragmentaryczny.

Tu jest tyfus

Po klęsce Francji Niemcy coraz poważniej myśleli o przekształceniu Warszawy w przyszłe, prowincjonalne miasto niemieckie – „czyste rasowo", wolne zarówno od Żydów, jak i Polaków. Droga do osiągnięcia tego celu była daleka, jednak już w sierpniu okupanci zaczęli wytyczać przyszłą dzielnicę niemiecką w rejonie Alej Ujazdowskich i terenu Łazienek. 7 sierpnia 1940 r. okupanci wydali zarządzenie nakazujące wyprowadzenie się Żydów z tych terenów. Nadal Żydzi mogli mieszkać w dzielnicach polskich, ale nowo przybyli i przesiedlani do Warszawy musieli osiedlać się wyłącznie w dzielnicy północnej.

Dwa tygodnie później, 20 sierpnia, niemiecki wydział przesiedleń powrócił do projektów tworzenia getta. To w tym czasie podjęto decyzję o jego organizacji na terenie określanym pojęciem Seuchensperrgebiet, czyli zagrożonym epidemią. Były to najgęściej zamieszkane rejony Warszawy – głównie przez ludność żydowską, mocno dotknięte bombardowaniami w trakcie oblężenia stolicy w 1939 r., czyli Muranów i Grzybów. Zanim oficjalnie utworzono getto, u wylotów wielu ulic ponownie pojawiły się tablice z napisem w języku polskim i niemieckim informujące o zakazie wstępu do strefy zagrożonej epidemią tyfusu. „Obszar zagrożony tyfusem, dozwolony tylko przejazd" – można było przeczytać.

Fischer ustanawia getto

Czarnym dniem był 2 października 1940 r. Jak pisał Władysław Bartoszewski w książce *1859 dni Warszawy*, Niemcy tego dnia wysiedlali Żydów z kamienic w Śródmieściu usytuowanych wzdłuż Wspólnej, Żurawiej i Nowogrodzkiej. Tymczasem w swojej siedzibie Ludwig Fischer podpisał *Zarządzenie o utworzeniu dzielnicy żydowskiej w mieście Warszawa*. Ustalony wówczas obszar getta był później zmniejszany. Pierwotnie dzielnica żydowska do-

29

chodzić jednak miała aż do ulicy Zakroczymskiej i Freta na Nowym Mieście, placu Kazimierza Wielkiego i Towarowej. Później te ulice znajdą się po stronie aryjskiej. Ważna wylotowa ulica, Chłodna, dzieliła getto na małe (na południu) i duże (na północy). Ostatecznie 16 listopada teren getta obejmował 307 ha. Był zamieszkany przez ok. 400 tys. osób. Na tym obszarze wznosiło się ponad 1,5 tys. domów, zwykle powstałych jeszcze przed 1914 r., o dość niskim standardzie, z ciemnymi podwórkami studniami. Na terenie getta brakowało terenów zielonych, za to pod dostatkiem było ruin domów zniszczonych we wrześniu 1939 r.

Wiadomość o utworzeniu getta ogłoszono dopiero 12 października. Obwieszenia rozplakatowano na murach domów, informacja przekazywana też była przez głośniki rozwieszone w centrum miasta, nazywane przez mieszkańców Warszawy szczekaczkami. Getto zająć miało powierzchnię 2,6 km^2. Mocą zarządzenia do getta mieli przenieść się wszyscy Żydzi mieszkający w Warszawie oraz ci, którzy przybyli do miasta. Mogli zabrać ze sobą jedynie „pakunek uchodźczy": bagaż ręczny i pościel. Do 16 listopada Polacy z dzielnicy żydowskiej mieli się przeprowadzić do dzielnic polskich. Nie wolno im było natomiast przenosić się do tworzonej dzielnicy niemieckiej.

Wielka przeprowadzka

Dzień 12 października rozpoczął się gorączkowym poszukiwaniem mieszkań do wymiany oraz przeprowadzki. Żydzi płacili znaczne kwoty za odstępne, by znaleźć dach nad głową przed wyznaczoną datą. „Myśmy się nie spieszyli. Przenieśliśmy się dopiero 15 listopada. Na ogół zapatrywania na przyszłość były optymistyczne, gdyż nie widać było, aby Niemcy budowali nowe mury. Z przymusu przesiedlenia do getta wyłączone były sklepy, fabryki i biura, przy czym zapewniano Gminę, że pracujący w nich ludzie będą mogli się do nich dostawać. Na ogół panowało przypuszczenie, że getto przynajmniej częściowo będzie otwarte. [...] Daliśmy się oszukać" – pisał Henryk Makower. Makowerowie jednak jeszcze przed swoją przeprowadzką do getta na wszelki wypadek wywieźli rzeczy do kuzyna mieszkającego przy ul. Ogrodowej 33. Obawiali się wyrzucenia z mieszkania i rabunku. Zapakowali dwie walizy i worek z pościelą. Tymczasem warszawskie ulice pełne były fur, wozów, ręcznych wózków czy ryksz zapełnionych dobytkiem. „Widziało się ludzi taszczących wielkie paki. Z doświadczenia wiedzieliśmy, że w pierwszych dniach po wydaniu jakiegoś zarządzenia jest bałagan i wtedy można załatwić wiele spraw, które po pewnym czasie są zupełnie nie do załatwienia" – pisał. Gdzie indziej wspominał, że w trakcie wielkiej przeprowadzek z wozów i ryksz, którymi przewożono rzeczy, Niemcy na ogół nic nie zabierali. 18 października podziemny „Biuletyn Informacyjny" ZWZ oceniał: „Ghetto zostało w stosunku do wcześniejszych projektów zmniejszone, natomiast dzielnicę niemiecką rozszerzono do niebywałych rozmiarów. Sądzić należy, iż wiąże się to z projektami przesiedlenia do Warszawy znacznej ilości rodzin niemieckich z bombardowanej Rzeszy. [...] Zarządzenia przesiedleńcze, realizujące barbarzyńskie zamierzenia hitleryzmu, dotyczą ok. 200 tys. mieszkańców Warszawy, którzy w ciągu dwóch tygodni mają zmienić mieszkania".

Tuż przed zamknięciem getta polscy inteligenci odwiedzali swoich żydowskich przyjaciół i dawnych sąsiadów. Były to smutne pożegnania. Jedno z nich opisywała pisarka Stefania Podhorska-Okołów, przyjaźniąca się z architektem Jerzym Gelbardem i jego żoną Izabelą (późniejsza Izabela Czajka-Stachowicz). Oboje przed wojną należeli do elity artystycznej, towarzyskiej i intelektualnej stolicy. „Pamiętam dżdżystą i błotną niedzielę listopadową.

Patrol policji niemieckiej w getcie

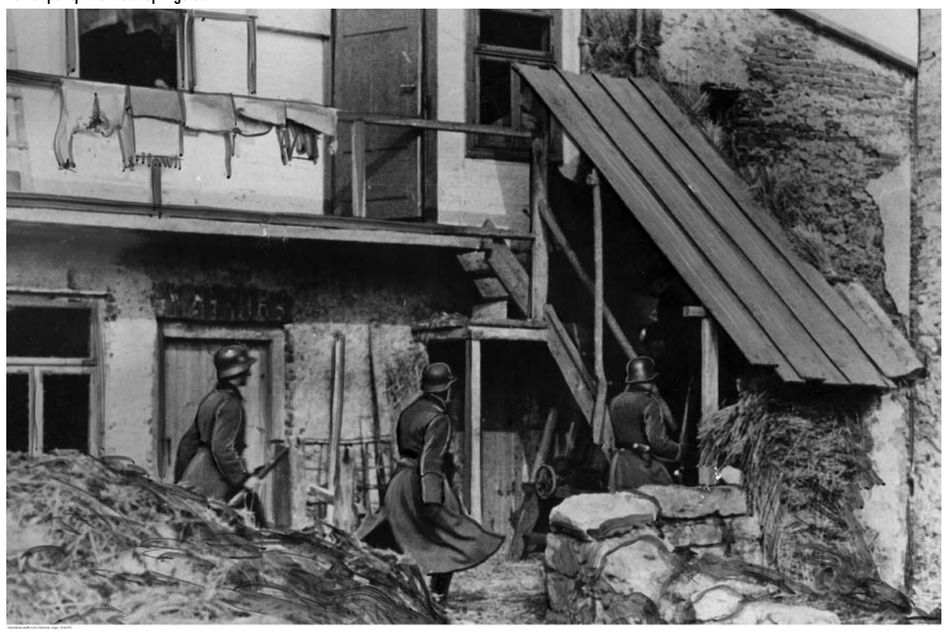

Zdjęcia: NAC, Wikipedia

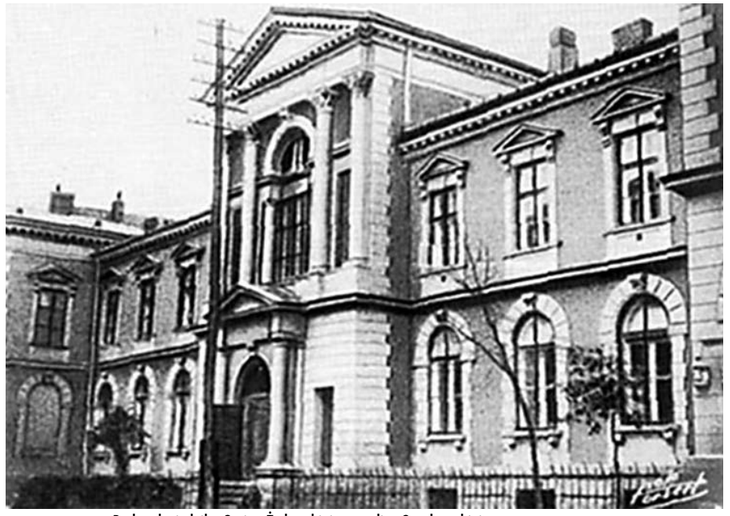

Budynek siedziby Gminy Żydowskiej przy ulicy Grzybowskiej

Ostatnią niedzielę przed zamknięciem getta, kiedy poszłam pożegnać się z mymi przyjaciółmi na Sienną" – pisała Podhorska-Okołów. Dom pełen był znajomych, którzy tego dnia odwiedzali, może po raz ostatni, gospodarzy, mających być może zostać od następnego ranka dożywotnimi więźniami getta. „Wydawali się raczej podnieceni niż zdenerwowani. W tym chaosie pytań, odpowiedzi, relacji i projektów nie było miejsca ani na patos, ani na rzewność, a nie na rozczulanie się. Pożegnaliśmy się jak ludzie, którzy rozjeżdżają się w dwa przeciwne kierunki, i mało jest prawdopodobne, aby mieli się prędko zobaczyć" – czytamy. Spośród intelektualistów żegnających się tego dnia z Gelbardami Stefania Podhorska-Okołów wspominała pisarza Karola Irzykowskiego.

Już w październiku 1940 r. powstała Żydowska Służba Porządkowa. Bardzo szybko stała się w getcie instytucją znienawidzoną. Mary Berg pisała 15 listopada: „Rozpoczęto już wznoszenie muru trzymetrowej wysokości. Żydowscy murarze pod nadzorem żołnierzy niemieckich układają kolejne rzędy cegieł. Ociągających się przy pracy nadzorcy karzą chłostą. Nasuwa mi to na myśl biblijny opis naszej niewoli w Egipcie. Gdzie jest Mojżesz, który nas wyzwoli z nowego poddaństwa?" – lamentowała.

Getto zostaje zamknięte

Następnego dnia, 16 listopada, bramy getta zostały zamknięte. Dzielnica północna stała się więzieniem dla kilkuset tysięcy ludzi. Władysław Szpilman wspominał: „Wzdłuż ścian domów, na stertach przemoczonych i wysmarowanych błotem pierzyn, siedziały lamentujące kobiety z krzyczącymi z przerażenia dziećmi. Były to rodziny żydowskie wtrącone do getta w ostatniej chwili, niemające żadnej szansy na zdobycie schronienia". Mary Berg pisała, że wiele osób czekało z wyprowadzką do ostatniej chwili, licząc na to, że Niemcy na skutek protestów bądź przekupienia łapówkami cofną zarządzenie. Tak się jednak nie stało. „Spora liczba współziomków musiała w jednej chwili opuścić pięknie umeblowane mieszkania, by zjawić się w getcie z paroma zaledwie tobołkami" – pisała.

Zamknięcie bram getta zaskoczyło wielu. Wyjścia obstawione zostały przez żandarmerię, która nikogo nie przepuszczała. Odpędzano od bram też tych, którzy jeszcze dzień wcześniej pracowali po stronie aryjskiej. Także właścicieli sklepów i firm mających swoje siedziby za murami. Przedstawiciele Gminy próbowali interweniować u władz niemieckich. Bezskutecznie. Żydowskie przedsiębiorstwa po stronie aryjskiej zostały opieczętowane i skonfiskowane. Na łamach gadzinowego „Nowego Kuriera Warszawskiego" 26 listopada ukazała się informacja o wystawianiu przepustek do getta tylko tym aryjczykom, którzy prowadzą przedsiębiorstwa aryjskie na terenie getta.

Ludzie zamknięci w getcie byli przerażeni, sparaliżowani strachem o przyszłość. Ale starali się znaleźć iskierkę nadziei. „Getto jest zamknięte już przez cały tydzień. Mury z czerwonych cegieł u wylotu ulic wychodzących z getta osiągnęły znaczną wysokość. W naszej nieszczęsnej dzielnicy huczy jak w ulu. [...] Ludzie nerwowo dyskutują o prawdziwych celach zamknięcia przez Niemców w dzielnicy żydowskiej. Jak będziemy się zaopatrywać? Kto będzie utrzymywał porządek? Może naprawdę dla nas lepiej, może zostawią nas w spokoju?" – łudzono się. Widok ludzi umierających z głodu na ulicach, codzienne obrazy zbrodni dopiero miały nadejść.

Nadzór nad gettem Niemcy początkowo powierzyli wydziałowi przesiedleń, kierowanemu przez Waldemara Schöna. Działał on aż do marca 1941 r., a jego miejsce z czasem zajął Urząd Komisarza Żydowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej w Warszawie. Szefem został prawnik i funkcjonariusz SS Heinz Auerswald. Z kolei nadzór gospodarczy nad gettem sprawował działający od grudnia 1940 r. Transferstelle. Kierował nim Max Bischof.

Liczba mieszkańców w getcie osiągnęła swoje apogeum w początku 1941 r., dochodząc do 450 tys. osób. Systematyczna likwidacja dzielnicy zamkniętej zaczęła się 22 lipca 1942 r. wraz z wielką akcją, w trakcie której Niemcy zaczęli wywozić z getta mieszkańców do obozu zagłady w Treblince. Kilka miesięcy później, w kwietniu 1943 r., w szczątkowym getcie wybuchło powstanie. Pierwszy taki zryw w okupowanej przez Niemców Europie. W trakcie jego pacyfikacji niemal cała zabudowa getta została spalona, kwartał po kwartale. Okupanci byli przekonani, że zwycięstwo III Rzeszy jest w zasięgu ręki i Warszawy nigdy już nie opuszczą, a w miejscu getta powstanie nowa, niemiecka dzielnica mieszkaniowa. ■

Muzeum dla przyszłych pokoleń

Z Albertem Stankowskim – dyrektorem Muzeum Getta Warszawskiego – rozmawia Ewa Kielak Ciemniewska

Czy w Warszawie było konieczne powołanie Muzeum Getta Warszawskiego, skoro istnieje Muzeum POLIN?
Getto zorganizowane w Warszawie przez Niemców było największym pod względem liczby osób gettem w Europie i miejscem jednej z największych zbrodni na mieszkańcach Warszawy, która do tej pory nie doczekała się godnego upamiętnienia. W krótkim czasie przesiedlono tu jedną trzecią ludności stolicy, następnie Żydów z innych miejscowości, w wyniku czego populacja getta osiągnęła ponad 400 tys. osób. Stłoczeni w nieludzkich warunkach, na ograniczonej przestrzeni, mieszkańcy getta próbowali zachować godność, organizowali samopomoc i służbę zdrowia. Choć trudno w to uwierzyć, w getcie działały teatry, które pozwalały części mieszkańców dzielnicy zamkniętej na oderwanie się od codzienności. Ortodoksyjni Żydzi starali się żyć zgodnie z zasadami religii, choć było to zabronione. W warunkach terroru powstały organizacje, których celem był opór – demonstrowany na różne sposoby. Oneg Szabat (Radość Soboty), organizacja założona przez Emanuela Ringelbluma, dokumentowała codzienne życie w getcie, dążąc do przekazania światu świadectw tragedii Żydów. Bojownicy z Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiego Związku Wojskowego zorganizowali zbrojne powstanie przeciwko Niemcom. Mur getta, liczący 16 km, niemal z dnia na dzień podzielił miasto. Dziś trudno opowiedzieć tę historię, bo Warszawa wygląda zupełnie inaczej, jednak trzeba pokazać ją w pełni. I to właśnie wydarzy się w Muzeum Getta Warszawskiego.

W jakim stopniu MGW będzie się interesować gettami w innych miastach Polski?
Celem Muzeum jest pokazanie codziennej historii warszawskiego getta i innych gett utworzonych przez niemieckiego okupanta na ziemiach polskich. Ukazując na wystawie stałej rzeczywistość zamkniętej dzielnicy w Warszawie, symbolicznie pokażemy także sytuację odizolowanych Żydów w innych gettach.

Jakie znaczenie dla powstającego Muzeum ma jego lokalizacja – na terenie dawnego getta i w gmachu szpitala, który pełnił znaczącą w rolę w samym getcie?
Budynek dawnego Szpitala Bersohnów i Baumanów to ważny świadek historii. To symbol kilku epok, historia warszawskich Żydów w pigułce. Jego dzieje zaczęły się w drugiej połowie XIX w., został ufundowany przez rodziny żydowskich filantropów. Leczono tu dzieci wszystkich wyznań. Po odzyskaniu niepodległości, w latach 20., dzięki inwestycjom organizacji żydowskich szpital stał się jednym z najnowocześniejszych w Polsce. Czasy getta to okres heroicznej walki o życie małych pacjentów, toczonej przez lekarzy pod kierunkiem doktor Anny Braude-Hellerowej. Po wojnie budynek stał się siedzibą Centralnego Komitetu Żydów w Polsce. Tu, zaraz po odkryciu, we wrześniu 1946 r., badana była pierwsza część Archiwum Ringelbluma. W tych murach jest zapisana historia. Zespół wystawy stałej Muzeum Getta Warszawskiego wydobędzie ją na światło dzienne.

ALBERT STANKOWSKI – absolwent Wydziału Historii Uniwersytetu Szczecińskiego, doktorant prof. Jerzego Tomaszewskiego na wydziale historii Uniwersytetu Warszawskiego, ukończył podyplomowe Studium Menedżerskie w SGH oraz studia muzealnicze w Instytucie Historii Sztuki UW. Stypendysta Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie i Fundacji Kościuszkowskiej. Pomysłodawca i koordynator międzynarodowego projektu multimedialnego *Wirtualny Sztetl* w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. W latach 2011-2015 członek zarządu Stowarzyszenia ŻIH, członek rad muzeów: POLIN, Muzeum Treblinka, Muzeum na Majdanku oraz Rady Pamięci Instytutu Pileckiego.

Muzeum Getta Warszawskiego (www.1943.pl) organizuje ekspozycje plenerowe, m.in. w 2018 r. zaprezentowało wystawę poświęconą historii Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów, a w 2019 r. wystawy: *Wyprostowani, nieugięci... Natan Rapaport i Pomnik Bohaterów Getta* oraz *Pocztówki z naszej okolicy... Historia ulicy Siennej i Śliskiej*, a ostatnia – *Miasto umiera*

Muzeum to wystawa połączona z programem edukacyjnym i badawczym: prace naukowe, dokumentacja, program wydawniczy. Proszę o charakterystykę programu naukowo-badawczego. W zeszłym roku odbyła się interesująca konferencja, którą oglądałam w Internecie. Nasuwa się pytanie o współpracę międzynarodową. W jakim zakresie i czego ma dotyczyć?
Proces tworzenia Muzeum Getta Warszawskiego od początku ma charakter międzynarodowy. Na czele zespołu wystawy stałej stoi światowej sławy izraelski historyk prof. Daniel Blatman z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Międzynarodowy skład ma także Rada Muzeum Getta Warszawskiego. Nasze działania programowe opiniują m.in.: Ocaleni z Zagłady Wacław Kornblum i Marian Turski; Colette Avital – przewodnicząca stowarzyszenia Ocalonych z Zagłady w Izraelu; Barbara Jolson Blumenthal – córka Ocalonego, urodzonego w Warszawie Leona Joselzona vel Jonsona – zasłużona dla ratowania dziedzictwa kultury żydowskiej; Irene Kronhill-Pletka – która przez działania fundacyjne wspiera żydowskie projekty kulturalne i edukacyjne na całym świecie – czy Gideon Nissenbaum – prezes Fundacji Nissenbaumów. Warto w tym miejscu przypomnieć, że to właśnie Sigmund Nissenbaum, ojciec Gideona i założyciel fundacji, który od trzech dekad ratuje ślady kultury żydowskiej na ziemiach polskich, był pierwszym pomysłodawcą utworzenia Muzeum Getta Warszawskiego, na początku lat 80. XX w. Muzeum będzie przede wszystkim instytucją wystawienniczą, z szerokim programem edukacyjnym i popularyzatorskim. Działalność o charakterze naukowym nie będzie pierwszoplanowym obszarem naszej aktywności, niemniej, oczywiście, będziemy ją prowadzić. Będzie służyła przede wszystkim potrzebom wystawy stałej i wystaw czasowych oraz działalności edukacyjnej i skupiała się na stosunkowo słabo poznanych aspektach dziejów getta warszawskiego, np. życiu religijnym. I takie badania już prowadzimy. Kolejnym obszarem niedostatecznie zbadanym jest życie w getcie po tzw. Wielkiej Akcji, w okresie pomiędzy jesienią 1942 a wiosną 1943 r. Na naszej wystawie chcielibyśmy również pokazać, co działo się na terenie getta już po powstaniu, tzn. życie tych nielicznych Żydów, którzy ukrywali się w ruinach getta, a także proces eksploatacji ekonomicznej tego obszaru prowadzony przez Niemców. Zamierzamy również zająć się małymi gettami, zwłaszcza tymi, z których przesiedlono Żydów do getta w Warszawie. To tylko niektóre przykłady tematów, które powinny być bardziej wnikliwie przebadane, nie tylko na potrzeby naszej wystawy stałej. Ubiegłoroczna konferencja naukowa była dużym wydarzeniem, wpisującym się w 80. rocznicę rozpoczęcia II wojny światowej. Została zorganizowana przy współpracy z Polskim Towarzystwem Studiów Żydowskich, Żydowskim Instytutem Historycznym, European Network Remembrance and Solidarity oraz Touro College w Berlinie. To przykład działań naukowych, jakie będzie prowadziło Muzeum Getta Warszawskiego. Planujemy także powołanie przy Muzeum Centrum Edukacyjnego. Teraz jednak nasze siły są skupione na budowaniu scenariusza wystawy stałej.

Czy znany jest już program wystawienniczy? Czym Muzeum Getta Warszawskiego będzie się różniło od innych muzeów związanych z Holokaustem?
Kilkudziesięciostronicowy wstępny scenariusz wystawy stałej – którego współautorem jest prof. Blatman – zawiera najważniejsze tematy 11 galerii wchodzących w skład wystawy. Wędrując przez nie, odwiedzający zapoznają się z ponadpięćdziesięcioletnim fragmentem historii warszawskich Żydów – od końca XIX w. do zakończenia II wojny światowej i powrotu ocalałych do stolicy. Muzeum będzie się znajdować w samym sercu stolicy Polski, przy ul. Siennej 60. Musimy zbudować narrację w taki sposób, aby była zrozumiała dla następnych pokoleń. Naszymi odbiorcami będą nie tylko Polacy – z opowieścią będziemy musieli dotrzeć do ludzi z całego świata.

Zabytków pozostało niewiele, a te, które są – stanowią własność ŻIH lub innych muzeów. Zachowane zdjęcia też należą do instytucji archiwalnych lub muzealnych. Czy Muzeum posiada już własne zbiory i jak chce pozyskiwać kolejne?
Zbieramy, budujemy, pamiętamy – pod takim tytułem Muzeum rozpoczyna

kampanię zbierania pamiątek. Mamy wsparcie różnych instytucji. Instytut Pamięci Narodowej obiecał przekazać w depozyt Muzeum Getta Warszawskiego *Raport* Stroopa, jedną z dwóch oryginalnych kopii dokumentu likwidacji getta. Gotowość współpracy i pomocy zadeklarował Żydowski Instytut Historyczny. Otrzymaliśmy cenną kolekcję rysunków Henryka Hechtkopfa od jego spadkobierczyń z Izraela. Jesteśmy wdzięczni za ten pierwszy w naszej kolekcji dar zagraniczny. Fundacja Nissenbaumów wsparła zakup wózka, który służył do przewozu ciał zmarłych w getcie. Zbieramy listy, fotografie, przedmioty życia codziennego. Zdaję sobie sprawę, że po tylu latach trudno będzie dotrzeć do oryginalnych eksponatów, ale powyższe przykłady świadczą, że nie jest to niemożliwe. Stąd nasz apel do społeczeństwa o współpracę przy budowaniu tej ekspozycji. Poszukujemy oryginalnych przedmiotów pochodzących z getta warszawskiego lub innych gett; za ich pomocą chcemy przybliżyć codzienność getta. Wykorzystamy także nowe technologie, które, przy zachowaniu równowagi między oryginalnymi eksponatami a multimediami, stanowią w muzealnictwie ogromne wsparcie. Wystawa ma zostać otwarta za kilka lat, już dziś musimy myśleć o takim sposobie opowiadania historii, dzięki któremu uda nam się dotrzeć do przyszłych pokoleń.

Na jakim etapie powstawania jest Muzeum?

Dysponujemy scenariuszem wystawy stałej i pełną dokumentacją, konieczną do ogłoszenia przetargu architektoniczno-wystawienniczego, który planujemy rozpocząć jeszcze w tym roku. Sytuacja związana z pandemią spowodowała opóźnienia w naszych pracach z uwagi na ograniczenie możliwości przemieszczania się, w tym szczególnie prowadzenia kwerend archiwalnych i muzealnych w Polsce i na świecie. Miało to wpływ na przesunięcia w kolejnych etapach realizacji planów budowy Muzeum. Pracujemy tak szybko, jak tylko jest to możliwe w obecnej sytuacji. Planujemy otwarcie wystawy stałej pod koniec 2024 r.

Jak planujecie zaadaptować zabytkowy budynek poszpitalny na Muzeum?

Trudność polega na tym, że umieścimy wystawę w oryginalnym, zabytkowym gmachu. Chcąc pozyskać jak największą przestrzeń wystawienniczą, musimy pamiętać o dostosowaniu tego obiektu do potrzeb zwiedzających, uczynić tę przestrzeń dostępną dla każdego, kto nas odwiedzi. Prace przebiegają pod okiem fachowca; w sierpniu do naszego zespołu dołączyła Joanna Dudelewicz, która kierowała pracami architektonicznymi przy rewitalizacji staromiejskich kamienic Muzeum Warszawy. Będziemy korzystać z jej doświadczenia. Naszym zadaniem jest zbudowanie Muzeum Getta Warszawskiego i jednocześnie uratowanie zabytku, jakim jest dawny Szpital Bersohnów i Baumanów, unikatowy, liczący ponad 140 lat świadek historii położony w ścisłym centrum stolicy. To ogromne zobowiązanie, wierzę jednak, że zespół Muzeum zdoła mu sprostać.

Wyjątkowy świadek historii

Miłka Skalska

Zabytkowy gmach dawnego Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów, znajdujący się w samym centrum Warszawy, przy ul. Siennej 60, to wyjątkowy świadek historii. Tu wątki warszawskich Żydów skupione są jak w soczewce

Szpital został zbudowany w latach 1876-1878 z inicjatywy dwóch rodzin warszawskich przemysłowców i filantropów: Chai i Majera Bersohnów oraz Pauliny (córki Bersohnów) i Salomona Baumanów. Projektantem budynku był Artur Goebel. W uroczystości inauguracyjnej wziął udział m.in. ówczesny prezydent Warszawy Sokrat Starynkiewicz. Pierwszym lekarzem naczelnym placówki został Ludwik Chwat. Szpital prowadził oddziały: wewnętrzny, zakaźny i chirurgiczny z salą operacyjną. Pierwotnie placówka dysponowała 20 łóżkami; w większości przypadków dzieci leczono bezpłatnie.

Około 1900 r. szpital rozbudowano – obok budynku głównego wzniesiono Pawilon Okulistyczny (zachowany do dziś w dobrym stanie). Fundusze na tę inwestycję wyłożyła rodzina Dawidsohnów. Od otwarcia do wybuchu I wojny światowej szpital i ambulatorium przyjęły ponad 20 tys. małych pacjentów, z których jedną trzecią stanowiły dzieci chrześcijańskie. W 1923 r., z braku finansowania, szpital zamknięto, jednak już w 1924 r. – dzięki staraniom doktor Anny Braude-Hellerowej oraz pomocy warszawskiej gminy żydowskiej i charytatywnej organizacji American Jewish Joint Distribution Commitee – podjęto starania ponownego jego uruchomieniu. Rozpoczęto od gruntownej przebudowy, prowadzonej wg projektu Henryka Stifelmana, a w 1930 r. szpital, wyposażony w 250 łóżek, mógł na nowo przyjmować pacjentów. Uruchomiono nowoczesne sale operacyjne oraz laboratorium; placówka stała się niebawem jedną z najnowocześniejszych w Polsce.

Pracowało tu wielu wybitnych i znanych lekarzy, wśród nich Henryk Goldszmit (Janusz Korczak). W listopadzie 1940 r. szpital Bersohnów i Baumanów znalazł się na terenie getta. Obok doktor Braude-Hellerowej przy Siennej pracowali m.in.: Anna Margolisowa, Henryk

Budynek Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów w 1878 r. (u góry po lewej), 1930 r. (powyżej po lewej) i w 2018 r.

Zdjęcia: Fundacja Warszawa 1939; NAC; MGW / M. Jonas-Polawska

Makower, Hanna Hirszfeldowa, Helena Keilson, Helena Merenholc – jedna ze współpracownic Janusza Korczaka, czy Marek Edelman – w charakterze gońca.

Do szpitala trafiały dzieci z tyfusem i gruźlicą, postrzelone przez Niemców podczas szmuglu i cierpiące na chorobę głodową. W 1942 r. szpitalni lekarze wzięli udział w badaniach nad tą chorobą, a część wyników ich pracy została opublikowana po wojnie w książce *Choroba głodowa. Badania kliniczne nad głodem wykonane w getcie warszawskim w roku 1942* (Warszawa 1946).

12 sierpnia 1942 r., w związku z likwidacją przez Niemców tzw. małego getta, mali pacjenci zostali przeniesieni do istniejącej od października 1941 r. filii szpitala na rogu ulic Żelaznej i Leszno, skąd później przeniesiono ich na ulicę Stawki. Większość została wywieziona do obozu śmierci w Treblince. W obliczu planowanej deportacji wiele dzieci zostało poddanych przez lekarzy eutanazji. Mała grupa pracowników Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów, ocalonych z tzw. Wielkiej Akcji, wraz z kilkoma osobami z personelu placówki na Czystem, otworzyła kolejny szpital w getcie – przy ulicy Gęsiej.

Anna Braude-Hellerowa, opiekująca się grupą dzieci, zginęła najprawdopodobniej w kwietniu 1943 r., w czasie powstania w getcie. Charyzmatyczną lekarkę upamiętnia tablica wmurowana w ścianę budynku szpitala w 2001 r. Walkę lekarzy o ratowanie najmłodszych mieszkańców getta opisali po wojnie nieliczni pracownicy, którzy przeżyli, m.in. Adina Blady-Szwajgier i Henryk Kroszczor.

W czasie Powstania Warszawskiego w budynku szpitala działał lazaret Zgrupowania AK Chrobry II. Po wojnie częściowo uszkodzony gmach został odbudowany i stał się siedzibą Centralnego Komitetu Żydów w Polsce. Od 1953 r. ponownie działał jako Szpital im. Dzieci Warszawy, a w 2000 r.

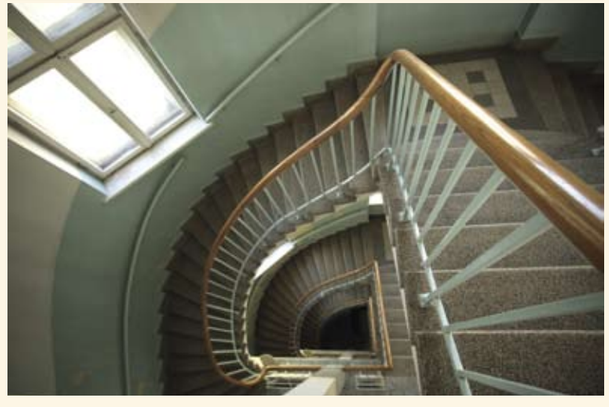

stał się filią kliniki w Dziekanowie Leśnym. W 2014 r. obiekt przestał służyć celom leczniczym. Już za kilka lat zostanie tu otwarta wystawa stała Muzeum Getta Warszawskiego. Szczegóły historyczne związane z tym zabytkowym obiektem zostały zebrane przez dr Hannę Węgrzynek (wicedyrektor MGW) oraz prof. Konrada Zielińskiego (pracownika naukowego MGW) w albumie *Szpital Bersohnów i Baumanów w Warszawie* (wyd. MGW, Warszawa 2019).

Synagoga Nożyków przy ul. Twardej 6 – jedyna w pełni zachowana i nadal użytkowana historyczna modlitewnia warszawska

Warszawskie **synagogi** – na tropach tajemnic

Jarosław Zieliński

Mimo sporej liczby publikacji mamy informacje na temat tylko kilkunastu modlitewni warszawskich. W stolicy przetrwały (zaledwie) dwa okazałe gmachy synagog oraz – częściowo – jeden mały dom modlitwy. Setki (sic!) innych znamy jedynie z dawnych spisów adresowych. Przygotowywana do druku książka Jarosława Zielińskiego, podejmująca wątki nakreślone w zasadniczym dziele poświęconym tej tematyce, pióra Eleonory Bergman, próbuje rzucić światło na grupę synagog, które nie doczekały się dogłębnej charakterystyki. Poniżej cytujemy wstęp do opracowania oraz dwa fragmenty jednego z rozdziałów.

Wypełniając pustkę, rozjaśniając mrok

Przedwojenna Warszawa powszechnie jest uznawana za czołowy ośrodek europejskiej diaspory żydowskiej. Kilkusettysięczna społeczność w znaczącej większości pozostawała wierna swej starożytnej religii, przynależąc wszakże – poza najsilniejszym nurtem ortodoksyjnym – do licznych frakcji i odłamów, często wzajemnie sobie wrogich. Wszystkie wymagały miejsc modlitwy, które czasem lokowano w okazałych gmachach synagog, częściej jednak w skromnych lokalach wygospodarowanych w zwykłych czynszówkach. Całkowita liczba wszystkich tych domów i sal modlitwy u progu II wojny światowej nie jest znana, ale mogła zbliżać się nawet do 500, jeśli uwzględni się tereny przyłączone do miasta po 1945 r. Niemal wszystkie zostały starte z powierzchni ziemi wraz z gettem, a potem z prawie całym miastem, sporo zaś niedobitków nie przetrwało epoki PRL.

Zdjęcie: J. Zieliński

Całkowita liczba wszystkich domów i sal modlitwy w Warszawie u progu II wojny światowej nie jest znana, ale mogła się zbliżać nawet do 500, jeśli uwzględni się tereny przyłączone do miasta po 1945 r. Niemal wszystkie zostały starte z powierzchni ziemi

Wraz z budynkami i modlącymi się w nich ludźmi przepadła wiedza o wyglądzie i funkcjonowaniu tych miejsc, a dokumenty źródłowe i opisy z minionej epoki zostały silnie przetrzebione. Częstokroć nie mamy wiedzy nawet na temat dokładnej lokalizacji poszczególnych obiektów, nie mówiąc o ich architekturze. Ta niemoc badawcza dotyczy nawet wielu spośród najbardziej okazałych synagog, cóż zatem mówić o obiektach mniej znacznych, nigdy nie fotografowanych i nie opisywanych, znanych co najwyżej z adresu. Zupełnie inny kształt miasta po jego odbudowie dodatkowo utrudnia dokładne wskazanie miejsc, w których istniały domy modlitwy. Zagadek i tajemnic związanych ze stołecznymi synagogami są krocie i większość z nich zapewne nigdy nie zostanie rozwiązana.

Tematyka była w ostatnich latach poruszana stosunkowo często, a największy wkład w postęp prac badawczych włożyła Eleonora Bergman – w kilku publikacjach książkowych i licznych artykułach naukowych. Zadaniem niniejszej książki nie jest próba rekonstrukcji całości obrazu oraz historii warszawskich bóżnic, a jedynie przedstawienie garści dowodów i hipotez dotyczących wybranych obiektów, które – moim zdaniem – nie zostały do tej pory rozpoznane w dostatecznym stopniu lub ich wcześniejsza charakterystyka jest obarczona znaczącymi pomyłkami. W kilku zaprezentowanych przypadkach owe tezy mają niemal sensacyjny charakter i w przyszłości mogą się przełożyć na ważne odkrycia archeologiczne. Ponieważ baza źródeł pisanych została właściwie wyczerpana, w pracy badawczej posłużyłem się narzędziami wcześniej wykorzystywanymi raczej rzadko i niesystematycznie. Do najważniejszych należą zdjęcia lotnicze z pierwszej połowy XX w., w tym tzw. fotoplany i fotomapy. Nieoczekiwanie nawet zdjęcia z roku 1945, a więc wykonane już po zniszczeniu miasta, ujawniają czasem w zarysach murów szczegóły układu wnętrz, niedostępne w inny sposób dla oczu badacza, a nawet pozwalają je w pewnym przybliżeniu wymierzyć! Wiedzę poszerza skonfrontowanie tych fotografii ze szczegółowymi planami miasta, przede wszystkim Lindleyowskimi, w możliwie najbardziej szczegółowych skalach. Ostatnie lata przyniosły obfitość materiałów kartograficznych i ikonograficznych, które zostały opublikowane przez różne placówki archiwalne. Cennym źródłem okazują się również fotografie wciąż pojawiające się na aukcjach internetowych, najczęściej niemieckie, z czasów II wojny światowej, czasem też można trafić na zapomniane zdjęcie na łamach przedwojennej prasy polskiej. Zestawienie tych wszystkich materiałów i skonfrontowanie ich z dotychczasowymi ustaleniami prowadzą niejednokrotnie do sformułowania wniosków diametralnie różnych od aktualnie funkcjonujących w obiegu naukowym. Mimo to książka nie jest polemiką z uznanymi autorytetami, lecz suplementem do ich prac, a dla badaczy posiadających żyłkę detektywistyczną zachętą do dalszych poszukiwań. Być może niektóre postawione poniżej tezy są nie do końca trafne, ale ich ewentualna weryfikacja jest zadaniem kontynuatorów. Z pewnością w przyszłości czeka nas jeszcze niejedno odkrycie.

Synagoga Liweranta (ulica Wolska)

Na posesji nr hip. 3097 przy ulicy Wolskiej (późniejszy policyjny nr 16), róg Karolkowej, bóżnica miała istnieć już w 1814 r., ale opis posesji z 1819 r. wymienia tylko frontowy dom i zabudowę gospodarczą [Matysa] Izraelowicza, wszystko drewniane. Można domniemywać, iż pierwotnie była to jedynie sala modlitwy i dopiero tzw. plan Koriota (Korpusu Inżynierów Wojskowych) w edycjach z lat 1829 i 1831 ukazuje przy południowym boku posesji zabudowę murowaną – budynek frontowy i prostopadłe skrzydło oficyny z dobudowanym od północy kwadratowym obiektem. Spis modlitewni z 1826 r. wymienia dom modlitwy, tyle że na przyległej posesji, nr hip. 3098. Może być to jednak błąd, zważywszy że przylegała ona do opisywanej, a obie przez długi czas miały jednego właściciela. Porównanie z późniejszymi planami miasta pozwala wyciągnąć wniosek, że właśnie w skrzydle wschodnim nowej kamienicy mieściła się synagoga Matysa Ossera Liweranta, na planach Koriota oznaczona nieprecyzyjnie – najpewniej tożsama z wymienioną w opisie taksacyjnym z 1845 r.

Zgodnie z nim był to podówczas budynek murowany, „o jednym piętrze”(?), kryty blachą cynkową, o przedsionku z drzwiami dwuskrzydłowymi, szalowanym deskami i przylegającą doń zbitą z desek kuczką bez dachu. Na późniejszych planach miasta widać, że przedsionek ten przylegał do środkowej części zachodniego boku bóżnicy. Synagogę dość dokładnie uwzględniają plany miasta z 1852, 1859 i 1867 r. Obiekt był zespolony z domem frontowym od strony ulicy Wolskiej za pośrednictwem głęboko cofniętego i wąskiego łącznika. Lindleyowski plan 1:2500 z 1897 r. pozwala ustalić wymiary budynku na ok. 12 m

szerokości i ok. 9 m głębokości. Zaznaczona spora drewniana dobudówka po północnej stronie wejścia w elewacji zachodniej pełniła najprawdopodobniej funkcję babińca.

Synagoga wielokrotnie zmieniała właścicieli, ostatnim z nich był w 1939 r. Mendel Gruszkiewicz. Przetrwała do sierpnia 1944 r., a jej wypalone mury są widoczne na fotoplanie z roku 1945. Wnętrze jest jednoprzestrzenne, zaś wysoko osadzone okna da się odczytać z rzucanego cienia tylko w elewacji wschodniej, a więc nad najbardziej prawdopodobną lokalizacją aron ha-kodeszu. Rozstaw otworów wskazuje, że bóżnica w tej i przeciwległej elewacji była trójosiowa, ale w zachodniej raczej nie miała okien, a jedynie wejście. Mury bóżnicy rozebrano w 1946 r., obecnie w tym miejscu znajduje się trawiasty skwer przy parkingu, przylegający do alei „Solidarności".

Synagoga Reichmanna (ulica Nowolipie)

Na posesji o przedwojennym numerze 30/hipoteczny 2426 na przełomie XVIII i XIX w. został urządzony szpital żydowski, który już w 1808 r. wyemigrował na ulicę Marszałkowską. W 1862 r. posesję z frontową czynszówką nabył kamienicznik Josef Reichmann, „pół maskila, pół misnagda", „entreprener pierwszorzędny", czyli wysokiej rangi przedsiębiorca, który postanowił wznieść na nabytej nieruchomości synagogę.

Kamień węgielny pod obiekt został położony 6 maja 1863 r., w obecności m.in. słynnego rabina Bera Majselsa. Wzniesiona bóżnica została określona w jidysz jako „prachtike szuł", czyli wspaniała, okazała. Na planie Warszawy z 1867 r. na głębokim zapleczu domu frontowego i między końcowymi segmentami bocznych oficyn gospodarczych jest widoczny niezbyt precyzyjnie wrysowany murowany budynek, oddalony od ulicy o ok. 81 m, założony na rzucie zbliżonym do kwadratu. Na osi bóżnicy, na jej północnym zapleczu, poprowadzono alejkę, która dzieliła na połowy obszerny ogród.

Po śmierci Reichmanna w 1888 r. w spisach nieruchomości zastępują go anonimowi, ale z pewnością spokrewnieni sukcesorzy. W taryfie na rok 1899 ich z kolei zastępuje Ajzyk Ginsburg (Gincburg, Ginsberg?), przy czym współwłaścicielką była jego żona Małka. Biorąc pod uwagę opóźnienia w aktualizacji spisów, można przyjąć, że właścicielami posesji zostali już kilka lat wcześniej. Być może Ajzyk był tożsamy z udziałowcem wymienianej w spisach adresowych firmy W. Ginsburg i S-ka spod numeru 26 (później ul. Leszno 13) albo kupcem A. Ginsburgiem z ul. Gęsiej 16.

W 1893 r. w czasopiśmie „Izraelita" pojawiła się uwaga, że synagoga wciąż istnieje, ale w adresowych spisach modlitewni została odnotowana tylko dwukrotnie – w 1909 i 1926 r. Co istotne, pierwszy z tych wykazów określa modlitewnię jako synagogę w grupie tylko dziewięciu w ten sposób wyróżnionych obiektów (obok 17 bóżnic i kilkudziesięciu domów modlitwy), przy czym trudno powiedzieć, co redaktorzy księgi adresowej przyjęli za podstawę podziału według właśnie takich trzech kryteriów. Przegląd „synagog" ze spisu sugeruje, iż tym mianem wyróżniono modlitewnie o szczególnym charakterze, pomieszczone w odrębnych budynkach, choć nie można wykluczyć, że o takiej lub innej kwalifikacji decydowali właściciele zgłaszający do spisu zarówno budynki, jak i sale modlitwy.

Przyjmując za punkt wyjścia do rozważań pierwsze z tych wyjaśnień, jesteśmy w stanie udowodnić, iż gmach w istocie był stosunkowo okazały (przynajmniej w chwili budowy), oraz zidentyfikować go w obrębie zabudowy posesji, pod koniec wieku już bardzo intensywnej. Arkusz zespołu Lindleyowskich planów Warszawy w skali 1:250 informuje, że boczne oficyny kamienicy (mieszkalne i gospodarcze) bardzo się rozrosły w kierunku północnym, anektując ogród i sprowadzając synagogę do roli oficyny poprzecznej między dwoma podwórzami. Synagogę połączono z nowym segmentem lewej (zachodniej) oficyny bocznej, równym jej rozpiętością i wyodrębnionym od pozostałych jej części głęboko cofniętymi przęsłami łączników. Nasuwa się podejrzenie, że w tej części oficyny mógł się mieścić bejt ha-midrasz, który wraz z synagogą miał być przekazany po śmierci fundatora

Wypalone mury synagogi Liweranta – fragment fotoplanu Warszawy z 1945 r.

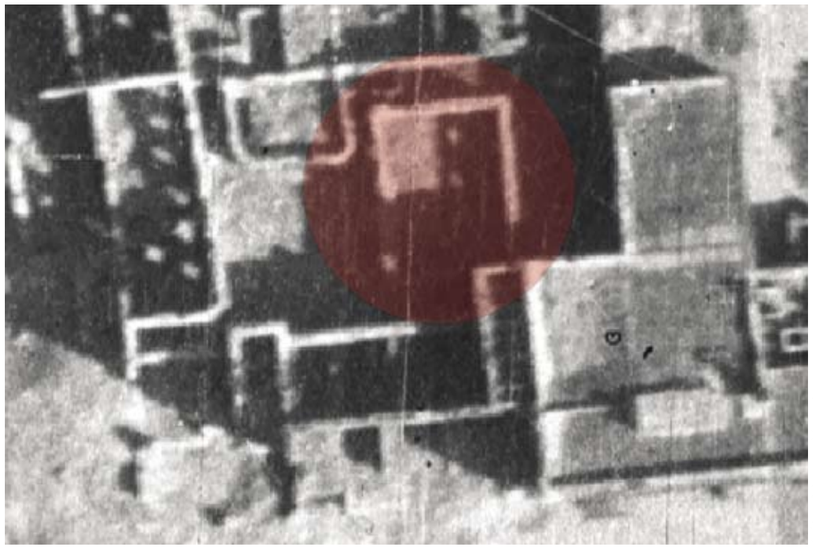

Archiwum Państwowe w Warszawie

Synagoga Reichmanna na fragmencie Lindleyowskiego planu Warszawy 1:250 z l. 1891-1896

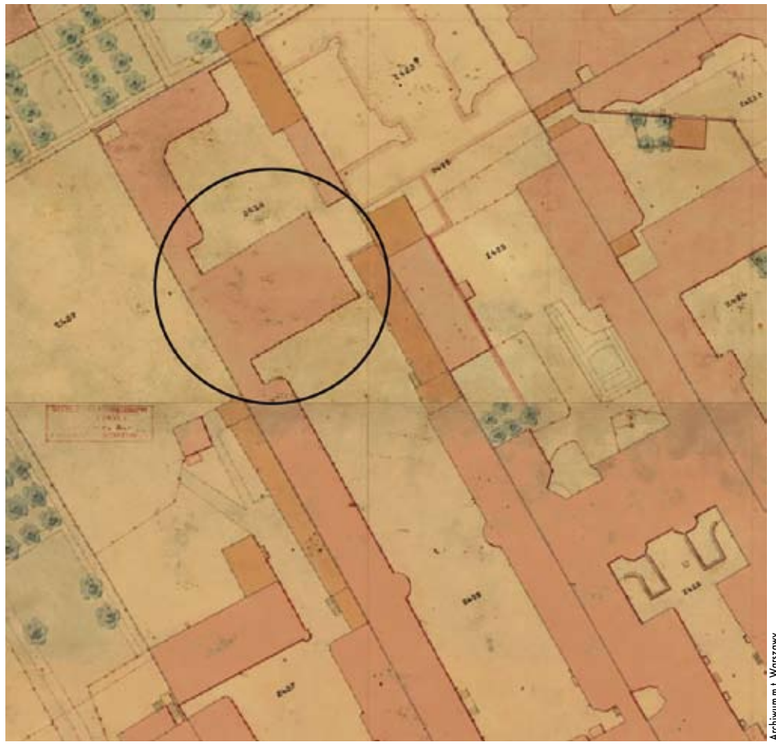

Archiwum m.st. Warszawy

Synagoga Reichmanna na fragmencie fotoplanu Warszawy z 1926 r.

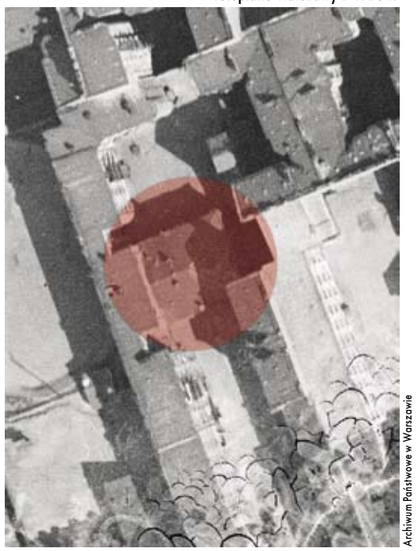

Archiwum Państwowe w Warszawie

(nastąpiło to w 1888 r.) Gminie Żydowskiej. Do donacji nie doszło wskutek sabotowania woli zmarłego przez rodzinę, ale sam zamysł świadczył, iż były to nietuzinkowe budowle. Bóżnica dysponowała wąskim obejściem przy oficynie wschodniej.

Źródłem o kapitalnym znaczeniu jest mało znane ujęcie na arkuszu fotoplanu z 1926 r. Bardzo wyraźnie uchwycono na nim budynek, który łączy się od zachodu ze znacznie wyższym występem czterokondygnacyjnej oficyny bocznej, sięgając kalenicą trójpołaciowego dachu (przed jej rozbudową zapewne czteropołaciowego) do poziomu parapetów najwyższego piętra. Zadaszenie wygląda na dosyć strome, toteż bryłę hipotetycznej synagogi można wysokościowo oszacować na równą dwóm kondygnacjom skrzydła mieszkalnego. Przybliżone wymiary rzutu poziomego to ok. 15 m szerokości i ok. 13,6 m głębokości. Zdjęcie wykonane z góry nie pozwala na dostrzeżenie jakichkolwiek fragmentów elewacji, ale na planie 1:250 widać, że we wszystkich trzech zostały zaprojektowane centralne, płytko wysunięte ryzality, a oba wschodnie narożniki zaakcentowano pilastrami lub lizenami. Narożny filar można dostrzec na niemieckim zdjęciu lotniczym z końca września 1939 r. wraz z jednym, bardzo wysokim oknem o półkolistym zamknięciu otworu, należącym do elewacji północnej, czyli tylnej. Ten znikomy, odczytany na zdjęciu fragment elewacji pozwala na ostateczne rozstrzygnięcie podstawowych kwestii: wytypowany budynek rzeczywiście był synagogą o jednej, wysokiej kondygnacji, trzech osiach w elewacjach południowej i frontowej (wynika to z miejsca osadzenia okna widocznego na fotografii) oraz bezokiennym boku wschodnim, przy którym we wnętrzu, na osi centralnego ryzalitu, musiał znajdować się aron ha-kodesz. Obrys budynku świadczy, iż nie miał on oddzielnego babińca, który najpewniej został zlokalizowany na emporowej galerii. Można ostrożnie założyć, że pierwotnie na emporę wiodły schody zewnętrzne po stronie zachodniej, ale po rozbudowie bocznej oficyny komunikacja mogła się odbywać za jej pośrednictwem.

Synagoga przetrwała wrześniowe bombardowania Warszawy. Została spalona, a następnie zburzona wraz z całą dzielnicą do połowy roku 1944. Miejsce po synagodze znajduje się w odstępie między wschodnimi elewacjami punktowców przy ul. Nowolipie 12A i 17B, wzniesionych na nasypach gruzowych, a więc jej fundamenty musiały się zachować.

Aron ha-kodesz – święta skrzynia lub szafa, wolnostojąca albo osadzona we wnęce wschodniej ściany synagogi, w której przechowywano zwoje Tory

Bejt ha-midrasz – dom studiów Tory i Talmudu, mogący równocześnie pełnić funkcję synagogi

Na łamach numeru 9/2018 STOLICY zamieściliśmy artykuł prof. Jadwigi Roguskiej o inicjałach inwestorów wplatanych w dekorację żelaznych krat balkonów i wrót bramnych warszawskich budowli, datach ich wzniesienia umieszczanych na ścianach i o tablicach inskrypcyjnych z nazwiskami architektów. W poniższym artykule przyjrzymy się przedstawieniom rzeźbiarskim i płaskorzeźbiarskim w postaci ludzkich masek i maszkaronów. Czy odnoszą się one do konkretnych postaci, np. inwestorów i projektantów warszawskich budowli przełomu XIX i XX w.?

Czytanie **architektury**

Jadwiga Roguska

Inicjały inwestorów i daty umieszczano przeważnie w miejscach dobrze widocznych, często u wejścia i na osi kompozycji fragmentu budowli, np. nad bramą w jej kluczu, wysoko na osi fasady, na szczytach i attykach, na ryzalitach elewacji. Inskrypcje dotyczące projektantów i wykonawców zajmowały miejsca mniej eksponowane. W końcu XIX i na początku XX w. umieszczane dyskretnie, np. na wspornikach balkonów, cokołach kolumn, ok. 1910 r. pojawiły się na elewacjach w miejscach widocznych, ale ustępujących w hierarchii ważności miejscom inwestorskim, np. obok bramy wjazdowej, a nie na jej osi

Inicjały i inskrypcje są świadectwem jednoznacznie odnoszącym się do konkretnych osób. Natomiast przedstawienia rzeźbiarskie i płaskorzeźbiarskie w postaci ludzkich masek i stylizowanych maszkaronów – wykonanych przeważnie w technice sztukatorskiej, rzadziej w kamieniu – powstawały najczęściej na podstawie anonimowych modeli lub wzorów z czasopism zawodowych. Niekiedy jednak utrwalały, w sposób anonimowy, rysy inwestorów i projektantów. Nie ma na ten temat przekazów, a podobieństwa do konkretnych osób nie są bezsporne. Uchwycenie podobieństwa zależało od umiejętności i talentu artystów rzeźbiarzy i dekoratorów, licznej grupy zawodowej w Warszawie na przełomie XIX i XX w., pracującej na potrzeby dekorowania elewacji i wnętrz. Dzięki specjalnym szkołom o profilu artystycznym rzeźbiarze dekoratorzy i artyści rysownicy uzyskiwali często wysokie kwalifikacje, stając się faktycznymi projektantami kamienic, choć bez formalnych uprawnień (np. artysta rysownik Zygmunt Binduchowski).

J. Roguska, 2019; za: A. Środka, P. Szczawiński (red.), *Biogramy uczonych polskich*, t. 4, *Nauki techniczne...*, Warszawa 1983

il. 1. Popiersie architekta Bohdana Pniewskiego na dziedzińcu Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej – rzeźba Tadeusza Breyera z elewacji pałacu Brühla po przebudowie i rozbudowie na siedzibę Ministerstwa Spraw Zagranicznych w l. 30. XX w.

il. 2. Bohdan Pniewski w l. 50. XX w.

Identyfikacjom podobieństw masek i maszkaronów do konkretnych postaci nie sprzyjają związane z upływem czasu destrukcje dekoracji, zacieranie rysów wskutek nawarstwień malowań, remontów, a także niedostatek fotografii i portretów osób uwiecznionych w dekoracjach architektonicznych. Znane są w historii architektury rzeźbiarskie portrety inwestorów i architektów niebudzące wątpliwości, udowodnione w badaniach. Z bardziej odległej przeszłości można przypomnieć przykłady z katedry św. Wita w Pradze – popiersia twórców budowli Mateusza z Arras i Petera Parlera, z lat 1380-1382, umieszczone we wnętrzu. Te rzeźbiarskie portrety budowniczych, znajdujące się z boku prezbiterium, zajęły miejsce „mniej godne" niż popiersia królewskich inwestorów, usytuowane na osi głównej nawy, powyżej ołtarza.

Z całkiem bliskiej przeszłości można przywołać przykład przebudowy z lat 1933-1938 pałacu Brühla w Warszawie – na potrzeby Ministerstwa Spraw Zagranicznych według projektu Bohdana Pniewskiego – podczas której architekt umieścił na elewacji cztery popiersia dłuta Tadeusza Breyera. Rysów popiersiom udzielił sam architekt [il. 1, 2], jego małżonka Jadwiga i – zamiast inwestora, ministra Józefa Becka, który podobno udziału w pomyśle

J. Roguska, 2000; Muzeum Narodowe w Warszawie

il. 3. Panoplium z dekoracji sztukatorskiej w holu pałacyku Stanisława Ursyn-Rusieckiego w podwórzu kamienicy przy ul. Lwowskiej 13; il. 4. Portret Stanisława Ursyn-Rusieckiego pędzla Stanisława Zawadzkiego, Muzeum Narodowe w Warszawie

architekta odmówił – prof. Wojciech Jastrzębowski. Ta inicjatywa projektanta jest udokumentowana w książce Marka Czapelskiego *Bohdan Pniewski – warszawski architekt XX wieku* (Warszawa 2008). Uratowane ze zburzonego w czasie wojny gmachu popiersia architekta i jego żony znajdują się dziś na dziedzińcu Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej przy ul. Koszykowej 55.

Bohdan Pniewski w swym projekcie nawiązał prawdopodobnie do wcześniejszej praktyki, dość powszechnej na przełomie XIX i XX w., kiedy to w obfitej dekoracji sztukatorskiej budowli roiło się od przedstawień ludzkich masek i maszkaronów, z których część mogła odnosić się do inwestorów i architektów. Nie jest to w żaden sposób potwierdzone przekazami i badaniami. Dlatego wybrane przeze mnie przykłady, odniesienia i interpretacje należy traktować jako sugestie, niektóre trafione, inne chybione, a ogólnie jako chęć wywołania tropu badawczego, niepodjętego dla architektury końca XIX i początku XX w. w Warszawie, a mającego potencjalne znaczenie dla „odczytywania" ubogiej w źródła poznania architektury historyzmu, secesji i wczesnego modernizmu w naszym mieście.

J. Roguska, 2000; Muzeum Narodowe w Warszawie

il. 5. Sztukatorskie przedstawienie głowy w kluczu bramy wejściowej dawnego banku Hipolita Wawelberga przy ul. Fredry 6

il. 6. Fragment portretu Hipolita Wawelberga pędzla Kazimierza Pochwalskiego, ok. 1893 r., Muzeum Narodowe w Warszawie

Zacznę od przykładu raczej bezspornego. W podwórzu kamienicy przy ul. Lwowskiej 13 kryje się niewielki, elegancki pałacyk, którego historię i główne parametry (inwestor, datowanie) ustaliłam i opublikowałam w „Kronice Warszawy" (4/1981). Podane tam sugestie dotyczące architekta są przedmiotem dyskusji. Kluczowe znaczenie ma postać inwestora wzniesionego w 1912 r. pałacyku. Stanisław Ursyn-Rusiecki, przed I wojną światową posiadacz znacznego majątku na wschodnich kresach Podola, wielbiciel narodowej przeszłości i rodowej tradycji szlacheckiej, koneser heraldyki, polecił ozdobić ściany pałacyku bogatą dekoracją sztukatorską i malarską oraz metaloplastyczną, zawierającą wielokrotnie powtarzający się motyw rodowego herbu (Rawicz, Panna na Niedźwiedziu), dewizy rodowej i własnych inicjałów (SUR). Podobieństwo rysów twarzy przedstawionej w technice sztukatorskiej na ścianach wejściowej sieni i głównych schodów [il. 3], ujętej w panoplia (forma dekoracyjna zawierająca motywy uzbrojenia), do oblicza Rusieckiego utrwalonego na portrecie [il. 4] nie pozostawia wątpliwości – w dekoracji architektonicznej uwiecznione zostały rysy inwestora i gospodarza siedziby.

W wybudowanym według projektu Józefa Piusa Dziekońskiego w 1896 r. gmachu banku Hipolita Wawelberga (późniejszego Banku Zachodniego) przy ul. Fredry 6 w partii cokołowej fasady, w skrajnych ryzalitach, nad łukiem bramy wjazdowej i nad łukiem głównego wejścia do banku widnieją głowy męskie [il. 5], które mogą przedstawiać inwestora gmachu, Hipolita Wawelberga [il. 6]. Podobieństwo jest duże, choć nie można go uznać za niewątpliwe. W latach 60. XX w. zbito tynki powyżej partii cokołowej fasady budowli i rozmieszczone w kluczach łuków pozostałych otworów parteru główki kobiece nie ocalały. Przedstawiały być może Ludwikę Wawelbergową ze znakomitego warszawskiego rodu Bersohnów, która wspierała działalność filantropijną i społeczną małżonka pochodzącego z niżej sytuowanych warstw. O takiej współpracy świadczy nazwa Fundacji Tanich Mieszkań im. Ludwiki i Hipolita Małżeństwa Wawelbergów, założonej w 1896 r. w celu wznoszenia domów robotniczych.

Fasada banku Wawelberga została starannie odtworzona w czasie remontu konserwatorskiego i modernizacji gmachu w latach 1995-1999 według projektu arch. Marka Wacławka. W domniemanym przedstawieniu głowy

J. Roguska, 2016

il. 7. Maszkaron w kluczu bramy wjazdowej w kamienicy przy ul. Noakowskiego 10, wzniesionej w l. 1910-1911 przez budowniczego i przedsiębiorcę budowlanego Leona Drewsa (1869-1920), do którego mogą odnosić się inicjały DS pod maszkaronem

Hipolita Wawelberga zwracają uwagę trójkątne różki. Poszukując objaśnienia, można dopatrzeć się odniesienia do słynnej rzeźby Michała Anioła *Mojżesz* i dostrzec w tym publiczne podkreślenie przez osobę portretowaną swej przynależności do wyznawców wiary mojżeszowej.

Ten domysł zdają się potwierdzać inne przykłady, jak sztukatorskie przedstawienia dwóch różnych obliczy ozdobionych różkami nad bramą kamienicy w Al. Jerozolimskich 49, wzniesionej w 1913 r. dla dwóch inwestorów: doktora Józefa Dawidsohna i Hackela Salomona Kadyńskiego przez Józefa Napoleona Czerwińskiego i Wacława Heppena.

Był też w dekoracjach sztukatorskich tego czasu inny rodzaj poroży. Elementem bardzo często stosowanego motywu dekoracyjnego w postaci głowy fauna/satyra/bożka Pana były rogi kozicy lub zakręcone rogi barana. Czasem sztukatorskie głowy wyposażano w rogi-skrzydła Merkurego [il. 7], wtedy oznaczało to działalność przedstawionej postaci na polu gospodarki, przemysłu i handlu, jak w dekoracji kamienicy przy ul. Poznańskiej 37 (1903-1904, nadbudowa przed 1907).

Tego typu skojarzenia wiodą do próby interpretacji i identyfikacji dwóch jednakowych płaskorzeźbionych głów męskich z różkami [il. 8], ujmujących otwór bramy i stanowiących rodzaj wsporników pod balkonem nad bramą kamienicy przy ul. Koszykowej 35. Wpisana do rejestru zabytków dwupodwórzowa kamienica z pierwszym podwórzem otoczonym zabudową i drugim półotwartym uznawana jest w literaturze za jednorodną. Taką nie jest. W świetle planów Lindleya i taryf posesji oraz analizy detalu architektonicznego część tylna (oficyna poprzeczna z dwiema krótkimi oficynami) istniała już w 1897 r. jako odsunięta od ulicy kamienica wzniesiona przez Teodora Gwiździńskiego, przemysłowca, którego fabryka odlewów metalowych i armatur mieściła się na tej samej posesji. W roku śmierci inwestora (1899) nosiła numer porządkowy 27 i hipoteczny 5047. Współpracownik i zięć Gwiździńskiego, inż. Gustaw Wojciechowski, który w 1896 r. poślubił córkę fabrykanta, dyrektor zarządzający i kierownik handlowy fabryki, wzniósł w latach 1913-1914 pięciopiętrową kamienicę od frontu, z oficynami, wyprowadzając przed 1914 r. fabrykę na Mokotów, na ul. Langnerowską 29 /Chocimską. Nowo wzniesiona budowla przy ul. Koszykowej 35 stworzyła z wcześniejszą zabudową dwupodwórzowy układ.

Podobieństwo sztukatorskich przedstawień twarzy z 1914 r. po obu stronach bramy w kamienicy przy ul. Koszykowej 35 do oblicza inwestora na portrecie z 1922 r. nie jest przekonujące [il. 8, 9], ale nie wykluczone. W takim przypadku różki odnosiłyby się do działalności inwestora na polu przemysłu i handlu, nie do jego wyznania.

il. 8. Jeden z dwóch maszkaronów ujmujących otwór przejazdu bramnego kamienicy Gustawa Wojciechowskiego przy ul. Koszykowej 35
il. 9. Portret Gustawa Wojciechowskiego – pastel Juliana Dworzaczka, 1922 r., Muzeum Warszawy

J. Roguska, 2019; Muzeum Warszawy

J. Roguska, 2019

il. 10. Jeden z maszkaronów nad oknem parteru kamienicy przy ul. Poznańskiej 38

Powtarzalne motywy maszkaronów [il. 10] zachowały się nad oknami parteru i na osi bramy w kamienicy przy ul. Poznańskiej 38 wzniesionej w 1911 r. według projektu Edwarda Ebera dla Wacława Kirszrota (pisownia nazwiska według taryf posesji), absolwenta wydziału handlowego politechniki w Rydze i właściciela firmy eksportowej Marcuse, Kirschrot & Co i jego małżonki Elli z Meyerów. Nie jest znane, jak dotąd, żadne zdjęcie inwestora, ale to chyba jego przedstawiają maszkarony, zważywszy dbałość inwestora o zaznaczenie swego śladu w architekturze i siedzibie firmy, wyrażoną m.in. wmontowaniem litery K [Kirszrot] w ażurową bramę metalową kamienicy.

W kamienicy doktora Adama Ciąglińskiego przy ul. Kopernika 11, mieszczącej też jego lecznicę, wzniesionej w 1905 r. według projektu Czesława Domaniewskiego, powtarzalne maszkarony umieszczone zostały w kluczach oprawy okien wysokiego parteru [il. 11]. Wydaje się, że zgrupowanie powtarzalnych maszkaronów i sposób ich usytuowania wskazują na uwiecznienie inwestora, ale brakuje jego fotograficznej podobizny umożliwiającej porównanie.

Sztywnych reguł sytuowania podobizn w dekoracji architektonicznej kamienic nie było, zwłaszcza że inwestorem bywał też architekt. Ogólnie jednak inwestor miał pierwszeństwo przed architektem i na poziomie wejścia to raczej jego podobizny „witały" gościa lub przechodnia. Wyżej mogły się pojawiać podobizny architektów. Dlatego zaryzykuję przypuszczenie, że umieszczone wysoko jako wsporniki pod balkonem piątego piętra kamienicy przy ul. Lwowskiej 15 (1911) maszkarony [il. 12], stylizowane w duchu później geometrycznej secesji, stanowiące oprawę loggii jednego tylko mieszkania na czwartym piętrze, przybliżają nam (być może) nieznane rysy pracującego w Warszawie na początku XX w. Anglika Artura Gurneya, projektanta tej kamienicy, zwanej pierwotnie

J. Roguska, 2019

il. 11. Jeden z maszkaronów nad oknami parteru kamienicy przy ul. Kopernika 11

J. Roguska, 2016

il. 12. Maszkarony – wsporniki balkonu nad ujętą w kolumienki loggią mieszkania na czwartym piętrze w kamienicy przy ul. Lwowskiej 15

Pod Sokołem, wzniesionej dla właścicieli firmy Bracia (Maksymilian i Gustaw) Horn & (Ignacy) Rupiewicz. W świeżo wybudowanej kamienicy architekt zamieszkał, co potwierdzają kalendarze adresowe i odręczne listy z adresem A. Gurneya zamieszczone w doskonale udokumentowanej książce Ewy Popławskiej-Bukało *Siedziba Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy: dzieje i architektura gmachu* (Warszawa 2006). Dodam, że architekci na początku XX w. w Warszawie, jeśli nie dorobili się kamienicy własnej, to często „mościli" sobie zawczasu mieszkanie w budowanej według ich projektu kamienicy i być może Gurney maszkaronami zaznaczył mieszkanie, w którym zamierzał zamieszkać.

Maszkaronów o rysach przypominających architekta można dopatrzeć się m.in. w kamienicy Władysława Ławrynowicza w Al. Ujazdowskich 22 (1895), wzniesionej według projektu Józefa Piusa Dziekońskiego, czy kamienicy Wilhelma Rackmana w Al. Jerozolimskich 47 (1905-1906), wzniesionej według projektu Ludwika Panczakiewicza.

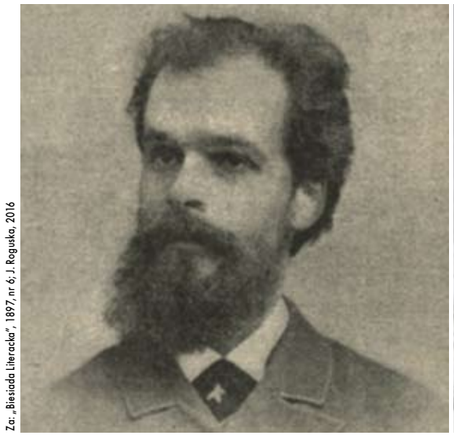

Zob. „Biesiada Literacka", 1897, nr 6; J. Rogulska, 2016

il. 13. Fotografia przedstawiająca architekta Karola Kozłowskiego
il. 14. Głowa w kartuszu nad bramą przejazdową kamienicy przy ul. Wilczej 22

Podobieństwo z fotografią architekta Karola Kozłowskiego (1847-1902), późniejszego twórcy gmachu Filharmonii w Warszawie, wykazuje rzeźba brodatej głowy w renesansowym nakryciu [il. 13, 14] nad bramą neorenesansowej kamienicy przy ul. Wilczej 22, wzniesionej w latach 1893-1894 według projektu K. Kozłowskiego. Dodawane czasem nazwisko architekta Aleksandra Woydego dotyczy wcześniejszych (1880) działań na posesji. Nietypowa lokalizacja portretowej głowy wynika zapewne z racji wybrania lepszej lokalizacji dla przedstawień dwóch współinwestorów – w postaci herm ujmujących okna w parterze w skrajnych ryzalitach fasady [il. 15]. Współinwestorzy, Natan Morgenstern i Chaim Lothe, zakupili nieruchomość w 1892 r. z istniejącym domem drewnianym i po wystawieniu kamienicy utrzymali ją do początku XX w. Kamienica, będąca następnie własnością Huzarskich i Salkowskiej, w 1905 r. trafiła w ręce Henryka Bogowida Korwin-Krukowskiego. Zniszczona w czasie wojny, odbudowana, przejęta przez państwo, w latach 90. XX w. powróciła do wnuka po kądzieli H. Korwin-Krukowskiego – prof. Henryka Samsonowicza. Sprzedana firmie deweloperskiej Von der Heyden Group, została na początku XXI w. poddana renowacji i nadbudowie.

Rzeźbom herm i atlantów ujmujących okna lub otwory przejazdów bramnych nadawano często rysy inwestorów. Można przypuszczać, że słynne dwie pary herm przedstawiających postaci w stroju krakowiaka i górala [il. 16] w kamienicy przy ul. Mokotowskiej 57, wzniesionej w 1901 r. według projektu artysty rysownika

il. 15. Hermy w kamienicy przy ul. Wilczej 22

il. 16. Hermy w strojach krakowiaka i górala w kamienicy przy ul. Mokotowskiej 57

J. Rogulska, 2016

J. Rogulska, 2000

il. 17. Głowa w kluczu bramy przejazdowej kamienicy przy ul. Mokotowskiej 57

J. Rogulska, 2000

il. 18. Figury atlantów (gigantów) po bokach bramy wjazdowej, dźwigających balkon piętra w kamienicy Antoniego Jana Strzałeckiego w Al. Ujazdowskich 24

Zygmunta Binduchowskiego dla Rodryga (Roderika) Mroczkowskiego, odnoszą się co najmniej do inwestora („krakowiak"), którego rzeźbiarski portret widnieje też prawdopodobnie w kluczu nad bramą [il. 17]. Mniej uprawnione, ale nie wykluczone, jest przypuszczenie, że „góral" przedstawia projektanta.

W świetle powyższych rozważań można sądzić, że postaci atlantów [il. 18] w kamienicy zwanej Pod Gigantami w Al. Ujazdowskich 24, wzniesionej w latach 1904-1907 według projektu Władysława Marconiego dla wybitnego konserwatora malarstwa i kolekcjonera Antoniego Jana Strzałeckiego, odnoszą się do inwestora [il. 19] i jego syna – następcy w malarskiej i konserwatorskiej profesji – Zygmunta. Atlanty oddane w kamieniu, dłuta Zygmunta Otta, przedstawiają dwóch mężczyzn, starszego i młodszego, i są alegoriami sztuk pięknych. „Starszy", potężniejszy, z miniaturą grupy Laokoona u stóp, symbolizuje rzeźbę i rysów twarzy użyczył mu prawdopodobnie sam inwestor [il. 18, 19], zaś „młodszy" atlant, z malarską paletą na biodrze, to alegoria malarstwa i, jak sądzę, ma on rysy syna i kontynuatora – Zygmunta Strzałeckiego. Takie przedstawienia atlantów w architekturze – starszego i młodszego, ojca i syna – rzadkością nie były.

W medalionach zdobiących długi balkon piętra, odlanych w metalu przez rzeźbiarza Teofila Godeckiego (pierwszy artykuł na temat kamienicy ogłosiła w „Kronice Warszawy" nr 3-4/1982 Hanna Fruba), identyfikuje się: w środkowym – Jana Matejkę, w medalionie z prawej strony (czego dopatrzono się ostatnio) – Antoniego Jana Strzałeckiego, zaś w medalionie po lewej – Fryderyka Chopina. Sądzę, że medalion z lewej strony może przedstawiać

il. 19. Portret Antoniego Jana Strzałeckiego pędzla Zygmunta Strzałeckiego, 1922 r. Cyfrowe Muzeum Narodowe w Warszawie

Cyfrowe Muzeum Narodowe w Warszawie

syna inwestora – Zygmunta. Przemawia za tym podobieństwo do głowy „młodszego" atlanta, a także spójność przekazu ikonograficznego: dwaj malarze Strzałeccy adorują wielkiego mistrza Matejkę. Jeszcze wyżej, w dekoracji pod oknami drugiego piętra, można odczytać akcesoria malarskie nad medalionem z lewej strony, zaś z prawej (nad głową Antoniego Jana Strzałeckiego) – akcesoria architekta (ekierka, przykładnica).

Nie brakuje w dekoracji warszawskich kamienic rzeźb i płaskorzeźb głów kobiecych. Są one znacznie trudniejsze do identyfikacji. Za wzory artystom rzeźbiarzom, sztukatorom, dekoratorom służyły zapewne profesjonalne modelki, a pewnie też matki, żony, siostry i znajome. W jednym wszakże przypadku pokuszę się o identyfikację głowy kobiecej. Kamienica przy ul. Brackiej 18 składa się z części tylnej (pierwotnej kamienicy odsuniętej od ulicy z krótkimi oficynami z przodu i tyłu), wzniesionej w 1878 r. według projektu Edwarda Lilpopa dla Jana Andrzeja Kiersnowskiego (ok. 1850-1914) w formach neorenesansu, oraz z części frontowej, z oficynami łączącymi się ze starszymi i zamykającymi podwórze, wzniesionej zapewne między 1904?-1907?, według projektu Teofila Wiśniowskiego. Inwestorką była w imieniu rodziny Zofia Kiersnowska, córka Jana Andrzeja. Ściany w sieni wejściowej, z biegiem wyrównawczym prowadzącym na schody główne, są dzielone czterema pilastrami, na głowicach których umieszczono jednakowe maski kobiece w secesyjnej oprawie motywów liści dębu [il. 21]. Maski te mogą mieć rysy Zofii Kiersnowskiej, od 1915 r. Radziszewskiej. Niestety, nie dysponuję jej fotografią, która mogłaby to wyjaśnić.

J. Roguska, 2020

il. 20. Medaliony odlane w metalu autorstwa rzeźbiarza Teofila Godeckiego w balkonie kamienicy Antoniego Jana Strzałeckiego w Al. Ujazdowskich 24

Dzieląc się swoimi dociekaniami, dokonanymi w czasie pandemii koronawirusa i samoizolacji, które sprzyjają wzrostowi poziomu fantazji i domniemań, chciałabym zachęcić Czytelniczki i Czytelników do własnych poszukiwań, pogłębiających wiedzę o architekturze Warszawy, a jednocześnie będących pożyteczną zabawą pobudzającą skojarzenia. Proszę o poszperanie w rodzinnych albumach, być może znajdą tam Państwo fotografie osób, których podobizny pozwoliłyby „domknąć" powyższe dociekania. Będę wdzięczna za udostępnienie wizerunków inwestorów i projektantów budowli warszawskich z poniższej listy: Zygmunt Binduchowski, Adam Ciągliński, Stanisław Grochowicz, Zofia Kiersnowska-Radziszewska, Wacław Kirszrot, Władysław Kozłowski, Michał Kossowski, Władysław Ławrynowicz, I. Mozesohn (Mosson), Rodryg (Roderik) Mroczkowski, Leon Wolski, Teofil Zbyszyński.

prof. Jadwiga Roguska – Wyższa Szkoła Ekologii i Zarządzania w Warszawie; jroguska@wp.pl

il. 21. Głowica pilastra z głową kobiecą w medalionie w dekoracyjnej oprawie z motywami liści dębu w sieni wejściowej kamienicy Kiersnowskich przy ul. Brackiej 18

J. Roguska, 2012

Fabryki po transformacji

Adam Lisiecki

Mury dawnych fabryk Starej i Nowej Pragi oraz Szmulowizny od lat nie schodzą z pierwszych stron gazet. Media alarmują głównie o rozbiórkach lub odwrotnie – pokazują odnowioną, elegancką postindustrialną przestrzeń. Produkcja niemal we wszystkich już ustała, a ich status po transformacji ustrojowej 1989 r. kształtował się rozmaicie. Pora na krótkie podsumowanie losu 24 starych praskich fabryk

To pojedyncze budynki lub całe zespoły, o zróżnicowanych gabarytach i formach charakterystycznych dla różnych okresów historycznych. Większość z nich jest w rękach prywatnych właścicieli, niektóre zostały uznane za zabytki.

W kolejnych latach po 1989 r. likwidowano w nich produkcję. Ostatnia butelka wódki zjechała z linii produkcyjnej Warszawskiej Wytwórni Wódek „Koneser" przy ul. Ząbkowskiej 27/31 niemal 20 lat temu. Kilka lat później głośno stało się o zaprzestaniu produkcji kosmetyków w fabryce Cussons (dawniej Fabryka Kosmetyków „Pollena Uroda") przy ul. Szwedzkiej 20. Z położonej nieopodal piekarni przy Stolarskiej zniknął zapach wypiekanego chleba. Przy ulicy Strzeleckiej nie składa się już sejfów i kas pancernych, a przy Kawęczyńskiej zaniechano produkcji farb graficznych. Kontynuując stuletnią tradycję, w tym samym miejscu, przy ul. Siedleckiej 47, działa Fabryka Obrabiarek Precyzyjnych AVIA. Przedwojenny przedstawiciel technologii precyzyjnych, m.in. silników lotniczych, nadal funkcjonuje w tym samym sektorze i wytwarza m.in. numeryczne obrabiarki.

Zdjęcie: M. Hajnosz

Teren dawnego Monopolu, dziś Centrum Praskie Koneser

Zamieszkać w fabryce

Wyróżniającą się grupę stanowią obiekty, w których już zrealizowano lub prowadzi się duże inwestycje budowlane. Pofabryczne budynki stały się oryginalną ofertą na rynku nieruchomości. Są doskonale zlokalizowane – w centrum Warszawy, blisko głównych arterii, na uzbrojonych terenach, do tego odznaczają się nietuzinkową architekturą i historią. Budzą zainteresowanie prywatnych inwestorów, choć jednocześnie wymagają olbrzymich nakładów finansowych, u których podstaw stoją zalecenia konserwatorskie. Celem często skomplikowanych prac jest adaptacja zabytkowej nieruchomości do pełnienia nowej funkcji – już nie przemysłowej, lecz usługowej lub mieszkaniowej. Jeśli przestrzeń na to pozwala, np. po wyburzeniu budynków uznanych za bezwartościowe, zwykle uzupełnia się kompleks o nowe obiekty.

Jedną z tego rodzaju realizacji jest Centrum Praskie Koneser powstałe na terenie dawnej Warszawskiej Wytwórni Wódek przy Ząbkowskiej. Wśród mozolnie odnowionych ponadstudwudziestoletnich obiektów inwestor wybudował współczesne bloki o architekturze nawiązującej do historycznej ceglanymi elewacjami. Na terenie kompleksu znajdują się m.in. mieszkania, centrum medyczne, hotel, liczne sklepy, lokale gastronomiczne, muzeum oraz biura.

Podobne w charakterze inwestycje są zapowiadane w równie dużych kompleksach pofabrycznych przy ulicy Szwedzkiej (dawna „Pollena Uroda") i ul. Objazdowej 1 (dawna Warszawska Fabryka Drutu, Sztyftów i Gwoździ, zwana Drucianką). To już ostatni dzwonek na ratowanie tych obiektów. Obydwa znajdujące się w opłakanym stanie zespoły ponadstuletnich budynków być może czeka lepsza przyszłość. W pierwszym przypadku prace już się rozpoczęły (inwestycja pod nazwą Bohema), w drugim jeszcze nie.

Lokatorów ma już kolejna ukończona inwestycja – Fabryka na Pradze przy

Dawna Fabryka Cukrów F. Anczewski, ul. 11 Listopada 10

Zabudowania tzw. Drucianki, ul. Objazdowa 1

Relikty dawnej fabryki produkującej kasy pancerne, ul. Strzelecka 30/32

Budynek spichlerza (za ogrodzeniem) w kompleksie dawnego młyna parowego, ul. Objazdowa 2

Dawna piekarnia przy Stolarskiej, wpisana w 2020 r. do rejestru zabytków

ul. Kawęczyńskiej 9/13. Opuszczony przez Fabrykę Farb Graficznych obiekt został przystosowany do funkcji mieszkalnych. Zabytek uzupełniono o współczesną zabudowę mieszkaniowo-usługową. Przy ul. Kłopotowskiego 11, w murach dawnej Fabryki Maszyn i Kamieni Młyńskich G. Łęgiewski i O. Hartwig, powstanie kilkadziesiąt lokali mieszkalnych. W sąsiedztwie Dworca Wileńskiego zapowiadane są nieco mniejsze kolejne dwa przedsięwzięcia. Zachowane i zaadaptowane do celów mieszkalnych mają zostać dawna Fabryka Armatur i Odlewnia K. Barwich i S-ka (ul. Inżynierska 5) oraz Fabryka Cukrów F. Anczewski (ul. 11 Listopada 10).

Alternatywna przestrzeń

Nie wszystkie praskie obiekty pofabryczne kończą jako tereny inwestycji deweloperskich. W niektórych organizowana jest przestrzeń usługowa, kulturalna, biurowa i rozrywkowa. Lokują się w nich firmy o różnym profilu działalności i organizacje pozarządowe.

Szczególnym przykładem jest dawna Fabryka Wyrobów Gumowych „Brage" (ul. 11 Listopada 22). W obiektach, w których przed wojną produkowano m.in. gumowe obcasy i zabawki, swoje miejsce znalazły kluby muzyczne, hostel, teatr, pracownia rzemieślnicza oraz sklep z artykułami fryzjerskimi. To bardzo popularne miejsce, cieszące się ogromnym zainteresowaniem, szczególnie młodych ludzi. Również dawna fabryczka narzędzi lekarskich Alfonsa Manna (ul. Białostocka 42) jest siedzibą różnych firm, a także pracowni tapicerskiej oraz piekarni znanej sieci. Kilka ulic dalej, w niewielkim odnowionym zabytkowym budynku po fabryce słodkości Franboli (ul. Śnieżna 3), umiejscowiły się organizacje pozarządowe, podmioty handlowe i usługowe, a adepci muzyki mogą tu skorzystać z salki prób. Położona 400 m dalej dawna fabryka PePeGe (ul. Otwocka 14) została przy minimalnej ingerencji architektonicznej przystosowana do potrzeb kulturalno-rozrywkowych – przez kilkanaście lat funkcjonowała tu założona przez kompozytora Wojciecha Trzcińskiego słynna Fabryka Trzciny, obecnie nowym dzierżawcą jest klub Mała Warszawa.

W fabryczce Karola Meyerhoffa (ul. Targowa 82), gdzie przed wojną wyrabiano artykuły metalowe, od ponad 20 lat swoją siedzibę ma aktywnie działające na rzecz potrzebujących Stowarzyszenie Otwarte Drzwi. Po kilku latach bez najemcy nowego zarządcę zyskała dawna piekarnia przy ul. Stolarskiej 2/4. Profil planowanej tu działalności nie jest jeszcze szerzej znany; kilka lat temu funkcjonował w tym miejscu klub Wypieki Kultury. Natomiast przestrzeń kilkupiętrowego ceglanego spichlerza dawnego młyna parowego przy ul. Objazdowej 2 zostanie zaadaptowana na działalność rzemieślniczą.

Wiedza prosto z fabryki

Z przestrzeni po Fabryce Wyrobów Drzewnych W. Domański i S. Zabłocki przy ul. Kawęczyńskiej 36 korzystają dziś studenci i uczniowie. W tym przypadku prywatny inwestor – uczelnia – poza przystosowaniem starych obiektów do celów dydaktycznych uzupełnił kompleks o znacznych rozmiarów nową zabudowę.

Również dawna Warszawska Fabryka Stali przy ul. Szwedzkiej 2 jest dziś we władaniu prywatnej wyższej szkoły – Uczelni Medycznej im. Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie. Niektóre obiekty zespołu przy Szwedzkiej liczą sobie nawet 140 lat. Nie wiadomo, jaka będzie ich przyszłość; kilka budynków uczelnia wydzierżawiła zewnętrznym podmiotom, m.in. na cele artystyczno-rozrywkowe, inne popadają w ruinę, a ostatnio doszło tu do nielegalnej rozbiórki części zabudowań kompleksu wpisanych do rejestru zabytków [o tej sprawie pisaliśmy w numerze 7-8/2020 STOLICY: K. Komar-Michalczyk *Młotkiem po zabytku* – red.]. Jednocześnie właściciel realizuje na wolnej przestrzeni nowe inwestycje budowlane.

Wyburzanie

Niektóre z historycznych zabudowań pofabrycznych całkowicie rozebrano pod nowe inwestycje. W 2019 r. inwestor wyburzył dawną fabrykę mydła Adamczewskiego przy ul. Grodzieńskiej 21/29, stanowiącą w ostatnich latach siedzibę szkoły wyższej. Rok wcześniej pod kilof poszły zabudowania Zakładów Mechanicznych Unruh i Liebig przy ul. Konopackiej 19, a trzy lata temu pożegnaliśmy dawną piekarnię przy ul. Środkowej 20 – jeden z najstarszych budynków historycznej Nowej Pragi. Na ich miejscu powstały obiekty mieszkalne.

Fabryka PePeGe, ul. Otwocka 14, do niedawna Fabryka Trzciny

Zdjęcia: M. Hajnosz

Na początku 2019 r. z ul. Zamoyskiego 4 zniknęła większa część niepozornych z wyglądu zabudowań po dawnej Fabryce Ceramiki Praga. Niewesoło potoczyły się też najnowsze losy murów Fabryki Ślusarskiej L. Ogórkiewicz i J. Zagórny przy ul. Krowiej 6. Stojący przez lata w ruinie obiekt został rozebrany, a w jego miejsce powstał nowy, imitujący poprzedni. Przy jego budowie wykorzystano część materiałów budowlanych pochodzących z rozbiórki.

Brak pomysłu

Przegląd zamyka lista obiektów popadających z roku na rok w coraz większe zniszczenie. Wydaje się, że nie ma na nie pomysłu. Zawalona od kilku lat hala pofabryczna przy ul. Konopackiej 17 to pamiątka po Fabryce Wyrobów Żelaznych i Konstrukcji H. Zieleziński. Jest ukryta w głębi podwórza, do którego dostępu „broni" frontowa kamienica. Po sąsiedzku, przy ul. Strzeleckiej 30/32, stoi niewielka zrujnowana fabryczka, w której przez dekady wyrabiano sejfy i kasy pancerne, m.in. pod firmą Specjalistyczna Spółdzielnia Pracy „Skarbiec". Nie wiadomo, jaki będzie los dawnej fabryki mydeł, perfum i kosmetyków „Florange", przy ul. Równej 1 / Stalowej 34. W ramach *Zintegrowanego Programu Rewitalizacji m.st. Warszawy do 2022 r.* zastanawiano się nad przystosowaniem jej do funkcji związanych z sektorem kultury.

Upływający czas i brak zabiegów konserwatorskich grają na niekorzyść historycznych fabryk, a o losie poszczególnych obiektów przeważnie decydują bezkompromisowe reguły wolnego rynku. Zastanawiam się, czy nie zabrakło nam wszystkim głębszej refleksji nad alternatywnym wykorzystaniem postindustrialnych przestrzeni w dobie żywych dyskusji na temat renesansu miejskich manufaktur i tzw. nowej fali rzemiosła oraz nad rolą gracza publicznego w całym

Jest *PRA*!

Po czterech lewobrzeżnych: *ŻOL*, *MOK*, *OCH* i *POW* oraz jednym prawobrzeżnym *SAS* mamy kolejny tom w serii *Ilustrowany atlas architektury* – zatytułowany *PRA*, poświęcony historycznej Pradze w granicach zamkniętych obwodnicą kolejową i położonemu poza tym obszarem Kamionkowi. Zasadniczą część książki poprzedza wstęp, w języku polskim i angielskim, z zarysem historii obszaru, oraz mapka z obiektami przedstawionymi na kolejnych stronach. A jest ich 60 – każdy zaprezentowany w krótkiej, także dwujęzycznej notatce, poprzedzonej informacją o autorze i dacie powstania obiektu. Znalazły się wśród nich nie tylko pojedyncze budynki (mieszkalne, użyteczności publicznej, sakralne, przemysłowe), lecz także całe założenia, jak park Praski, ogród zoologiczny, bazar Różyckiego, cmentarze, osiedla Praga I czy T.O.R. przy Stanisławowskiej/Podskarbińskiej/Kobielskiej, detale architektoniczne, np. płaskorzeźby z elewacji dawnego kina Praha, elementy użytkowe w przestrzeni ulicy, jak właz stanowiący relikt kanalizacji Lindleyowskiej, czy rosyjskie napisy wyryte przez żołnierzy 2 Orenburskiego Pułku Kozaków na elewacjach zabudowań koszarowych przy ul. Borowskiego 2. Ta wielka różnorodność prezentowanych obiektów, nie tylko zabytków z pierwszych stron przewodników, lecz także tych znacznie mniej oczywistych, a także rozpiętość chronologiczna omawianego materiału (od najstarszego w tomie – cmentarza kamionkowskiego z XIII/XIV w., do najnowszego – budynku mieszkalnego przy ul. Sprzecznej 4 z 2016 r.), są dużymi atutami publikacji. W przypadku wspomnianego osiedla T.O.R. niejasna pozostaje kwestia udziału niewskazanej przez autorów *PRA* inż. arch. Lucyny Nowak-Markowiczowej w zaprojektowaniu bloków założenia – Karolina Matysiak (której artykuły ujęto w bibliografii tomu) tę właśnie architektkę wskazuje jako projektantkę dziesięciu bloków wzniesionych oraz sześciu z siedmiu zaplanowanych w II serii (por. J.S. Majewski, *Detal w architekturze warszawskiej Pragi w l. 30. XX w.*, w: *Detal architektoniczny warszawskiej Pragi 1850-1939*, red. J. Roguska, Warszawa 2018, s. 382-383, za: K. Matysiak, *Zespół mieszkaniowy Towarzystwa Osiedli Robotniczych na Grochowie*, „Kwartalnik Architektury i Urbanistyki", 2014, z. 3, s. 33-51). Co prawda *Wykaz zatwierdzonych budowli na rok 1937* („Przegląd Budowlany", 1937, z. 10, s. 541, poz. 650), na który powołuje się K. Matysiak, nie precyzuje adresu zaprojektowanych przez Nowak-Markowiczową dziesięciu nowo wzniesionych bloków T.O.R., jednak mowa tu o blokach trzypiętrowych – jak na osiedlu przy Stanisławowskiej/Podskarbińskiej/Kobielskiej, a nie na osiedlu T.O.R. na Kole, gdzie bloki są dwupiętrowe.

Każdy obiekt pokazano na schematycznej ilustracji. Książkę zamyka indeks nazwisk i pracowni architektonicznych przedstawionych na jej łamach oraz bibliografia. I ta ostatnia jest najsłabszym elementem tomu – zawarto w niej szereg publikacji ogólnych, poświęconych całej Warszawie, a nie uwzględniono książek w całości dedykowanych architekturze i historii Pragi, w tym najnowszych, jak *Poradnik dobrych praktyk architektonicznych. Praga-Północ. Praska kamienica* (Stowarzyszenie Porozumienie dla Pragi, 2019), *Detal architektoniczny warszawskiej Pragi 1850-1939* (red. J. Roguska, 2018), czy starszych, ale dla badaczy zabudowy Pragi zdawałoby się istotnych, w tym *Świątynie prawego brzegu...* (red. A. Sołtan, J. Wiśniewska, K. Zwierz, 2009) czy *Odkrywanie żydowskiej Pragi* (red. Z. Borzymińska, 2014). Książka nie pretenduje jednak do tomu o statusie naukowym, zatem należy się tylko cieszyć z faktu, że powstała – jest to kolejna publikacja w całości poświęcona warszawskiej Pradze, o której książek nigdy dość. [kkm]

***PRA. Ilustrowany atlas architektury Pragi*, wybór i tekst M. Czeredys, E. Ziajkowska, wyd. Centrum Architektury, Warszawa 2020**

PROMOCJA

Szkoła niezwykła

Uczelnia z Kawęczyńskiej, jedyna wyższa uczelnia na Pradze-Północ, przywędrowała na Szmulki z Kamionka. Ta jedna z najstarszych wyższych uczelni niepublicznych powstała w 1995 r. i niezmiennie cieszy się powodzeniem wśród młodzieży i pracodawców (o czym świadczą wyniki badań). Ci ostatni chętnie zatrudniają absolwentów WSM! Gmach, który zbudowała Uczelnia, został uznany za Mistera Budynków Uczelni Niepublicznych. Wchodzi w skład kampusu, na który składają się obiekty mieszczące sale wykładowe, audytoria, aulę na 700 miejsc, laboratoria, halę sportową, basen, klub studencki, siłownię i dom studencki. Nic dziwnego, że zespół ten został nazwany Kampusem III Tysiąclecia.

Wyższa Szkoła Menedżerska stała się także miejscem życia kulturalnego i społecznego. Konferencje, wystawy, spotkania, szkolenia – wszystko to sprawia, że obiekt tętni życiem. Na rzecz społeczności lokalnej – ale nie tylko – utworzony został tu także Praski Uniwersytet Trzeciego Wieku (jeden z najlepszych w kraju). Wspiera działalność charytatywną na rzecz dzieci, utworzyła Akademicki Zespół Szkół: Liceum Ogólnokształcące i Szkołę Podstawową, cieszące się bardzo dobrą opinią uczniów i rodziców. WSM

szczyci się Honorową Odznaką „Za zasługi dla Warszawy" i medalem „Pro Masovia": „Za wybitne zasługi oraz za całokształt działalności na rzecz województwa mazowieckiego". Uczelniana galeria osiągnięć społeczności akademickiej pełna jest medali, odznaczeń i dyplomów.

Wyższa Szkoła Menedżerska jest uznaną i znaczącą placówką naukową oraz dydaktyczną, prowadzącą 10 kierunków, wśród których są m.in.: zarządzanie, finanse i rachunkowość, administracja, pedagogika, psychologia. Szkołę ukończyło dotąd ok. 50 tys. osób. Absolwenci opuścili mury Uczelni z tytułami licencjata, inżyniera i magistra. Powodzeniem cieszą się tutejsze studia podyplomowe, w tym MBA.

W WSM studiuje młodzież z Polski, a także z Ukrainy, Białorusi, Czech, Słowacji, Gruzji i Indii. Uczelnia prowadzi trzy filie: w Bełchatowie, Ciechanowie i Karwinie. Przesłaniem, jakim Uczelnia się kieruje w działalności dydaktycznej i wychowawczej, jest wskazanie wielkiego Polaka, hetmana Jana Zamoyskiego: „Takie będą Rzeczypospolite jak jej młodzieży chowanie".

Historycznym wydarzeniem w dziejach uczelni było przyjęcie szkolnej delegacji przez Jana Pawła II, w 1999 r. Podczas spotkania papież poświęcił sztandar WSM i wpisał się do księgi pamiątkowej: „Sercem błogosławię młodzież i całą społeczność akademicką Wyższej Szkoły Menedżerskiej w Warszawie".

Warto poinformować, że pomysłodawcą, twórcą organizatorem, pierwszym rektorem, rektorem honorowym, wreszcie prezydentem tej niecodziennej Uczelni jest prof. dr hab. Stanisław Dawidziuk, doktor honoris causa dwóch zagranicznych uczelni, pierwszy naukowiec z Polski, który w 2005 r. otrzymał w Oksfordzie złoty medal z szarfą „Zjednoczona Europa" – w dowód osobistych zasług w propagowaniu integracji europejskiej. Jest on też laureatem północnopraskiego Floriana „Za działalność promocyjną na rzecz Dzielnicy".

Na przyszłość uczelnia ma ambitne plany, m.in. tworzenia nowych kierunków studiów i prowadzenia studiów doktoranckich, a tym samym uzyskania prawa do tytułu Akademia.

Sąsiedzi mówią o Wyżej Szkole Menedżerskiej pieszczotliwie: „Menedżerka"...

Międzynarodowy Festiwal I.J. Paderewskiego coraz bliżej

(4-8 listopada 2020)

Celem Międzynarodowego Festiwalu I.J. Paderewskiego w Warszawie jest podtrzymywanie pamięci o jednym z największych polskich patriotów, światowej sławy pianiście i kompozytorze, mężu stanu, dyplomacie, polityku i filantropie, Ignacym Janie Paderewskim. Festiwal z edycji na edycję jest rozbudowywany i ma już swoje stałe miejsce w przestrzeni kulturalnej stolicy. Jego multimedialna, interdyscyplinarna formuła obejmuje koncerty symfoniczne, kameralne, edukacyjne dla dzieci i młodzieży, jazz, projekcje filmów, wystawy tematyczne, publikację wydawnictw oraz nagrań DVD i CD czy odwiedzanie miejsc związanych z Paderewskim.

Ignacy Jan Paderewski, światowej sławy pianista, był niezwykle popularny za oceanem, wręcz uwielbiany przez amerykańską publiczność, co artysta wykorzystał w swojej działalności dyplomatycznej. Realnie wpłynął na zainteresowanie prezydenta i rządu USA sprawą polską po I wojnie światowej. Ze wsparciem Woodrowa Wilsona przeprowadził na konferencji w Wersalu w 1919 r. batalię o polską niepodległość i 28 czerwca tegoż roku podpisał – jako premier i minister spraw zagranicznych II RP – traktat wersalski.

W ramach tegorocznej odsłony festiwalu celebrowana będzie 160. rocznica urodzin I.J. Paderewskiego, 180. rocznica urodzin światowej sławy aktorki Heleny Modrzejewskiej, która przez wiele lat wspierała karierę artystyczną Paderewskiego, a także pamięć o Ludwigu van Beethovenie, którego rok – w 250. rocznicę urodzin kompozytora – właśnie obchodzimy. Dzieła wybitnego Niemca stanowiły znaczącą część dorobku wykonawczego patrona festiwalu.

Wśród artystów zaproszonych do udziału w 7. edycji Międzynarodowego Festiwalu I.J. Paderewskiego są m.in.: Bartek Nizioł, z *Sonatą skrzypcową a-moll* I.J. Paderewskiego, Pavel Dombrovsky, rosyjski pianista, który swoją interpretacją *Koncertu fortepianowego* Paderewskiego wygrał ubiegłoroczny Międzynarodowy Konkurs Muzyki Polskiej w Rzeszowie, czy Krzysztof Herdzin ze swoją prezentacją mariażu twórczości Paderewskiego z jazzem. Wydarzenia festiwalowe będą mieć miejsce w Sali Kameralnej Filharmonii Narodowej, na Zamku Królewskim w Warszawie, w Łazienkach Królewskich i Studiu Koncertowym Polskiego Radia S1. Z utworów I.J. Paderewskiego usłyszymy także *Koncert fortepianowy a-moll*, *Fantazję polską gis-moll* czy pieśni. W koncercie dla młodzieży będzie wybór dzieł patrona festiwalu oraz utworów Fryderyka Chopina

Festiwal uzyskał wsparcie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Muzyka, którego operatorem jest Instytut Muzyki i Tańca. Szczegółowy program festiwaluna: www.avearte.pl, Facebook: facebook.com/festiwalpaderewskiego/.

Geniusz Paderewskiego w Paso Robles

Rafael Akopdżanian (Hakobjanyan)
(San Fracisco)
Tłumaczenie Barbara Kowalska

W Kalifornii przyzwyczailiśmy się do polskich toponimów. W „złotym stanie USA" jest szczyt Kopernika, dolina Mazurek, góra Bielawski (Kazimierz Bielawski był topografem wojskowym), Zmudowski State Beach – niewielki odcinek brzegu nad zatoką Monterey nazwany imieniem nauczycielki i filantropki Mary Żmudowski, ranczo o nazwie La Polka...

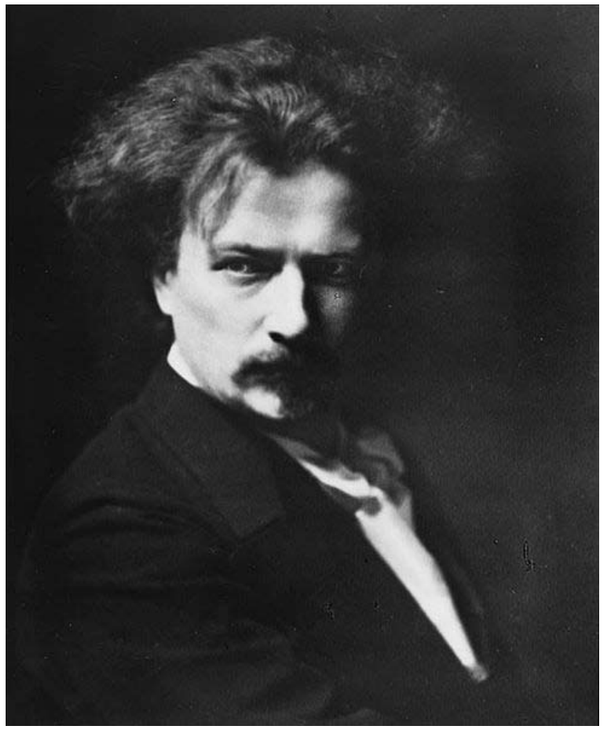

Ignacy Jan Paderewski

Zdjęcie: Wikipedia

Aż trzy razy na mapie Kalifornii występuje nazwisko aktorki Heleny Modrzejewskiej: jest szczyt Modrzejewskiej, kanion Modrzejewskiej, a niedaleko od Los Angeles półwysep Modrzejewskiej. I nie ma co się dziwić! Helena Modrzejewska, jak i aktorka Sara Bernhardt, dotychczas uznawana jest za „królową sceny". Nie wiadomo, dlaczego ten rekord toponimiczny (tzn. trzy toponimy w jednym stanie USA) nie został wpisany do Księgi Guinnessa. Bo o ile mi wiadomo, tego rekordu w USA nie pobiła żadna inna aktorka. I to przy istnieniu setek sławnych gwiazd Hollywood. Lecz najznakomitszym toponimem pozostaje Zabriskie Point, który po filmie pod tym samym tytułem, wyreżyserowanym przez Michelangela Antonioniego, stał się niemal mekką hipisów. A i miasteczko Paso Robles, w hrabstwie San Luis Obispo, mimo że nosi hiszpańską nazwę (w języku hiszpańskim *paso robles* oznacza dębowy przesmyk), wiele zawdzięcza Polakowi.

Paso Robles w spisie miast Kalifornii zajmuje dalekie 250. miejsce, liczy niewiele ponad 30 tys. mieszkańców, a jednak często się o nim słyszy. Starsi mieszkańcy miasta pamiętają, że Ronald Reagan właśnie w Paso Robles wygłosił przemówienie, w którym wspomniał o zamiarze zgłoszenia swej kandydatury na gubernatora Kalifornii. Pierwszą noc miodowego miesiąca ze swoim drugim mężem, legendarnym bejsbolistą Joe DiMaggio, spędziła w Paso Robles Marylin Monroe. Ale najwięcej o Paso Robles wiedzą dobrze poinformowani wytrawni znawcy win. Lokalna produkcja win swoimi wyrobami zdobyła rynek. To tutaj znajduje się prawie 200 wytwórni, nazywanych butikowymi winnicami. Takim terminem enolodzy określają wina pochodzące z Paso Robles. Pierwsze winnice w tym rejonie założyli w końcu XVIII w. hiszpańscy mnisi franciszkanie z misji San Miguel, oddalonej o 10 km od Paso Robles. Zaczęli oni produkować wino i odkryli źródła leczniczych wód mineralnych, które były wykorzystywane przez miejscowych Indian w leczeniu różnych schorzeń. Długo jednak nie przywiązywano znaczenia do tego miejsca.

„Dziki Zachód dzikiego zachodu" – tak nazywano miejscowość Paso Robles słynącą z osobliwych zwyczajów kowbojów i z niezmierzonej ilości wypijanej whisky.

Nienajlepsze zwyczaje mieszkańców zmieniały się wraz z poprowadzeniem linii kolejowej przez tę miejscowość, w której zaczęto budować urocze domy w stylu wiktoriańskim. Nawiasem mówiąc, dzisiaj wiele restauracji mieści się w tych starych budynkach. W tej miejscowości

„Wieża z zegarem" – wizytówka miasteczka Paso Robles

Spokojne skrzyżowanie w spokojnym miasteczku Paso Robles

Wejście do parku miejskiego

Budynek biblioteki w Paso Robles

Towarzystwo Historyczne w Paso Robles w Carnegie Library

Domek w parku w Paso Robles, na którym umieszczono ogłoszenie o wznowieniu wystawy o I.J. Paderewskim

Pomnik Ignacego Jana Paderewskiego w Paso Robles

powstała biblioteka Carnegie, jedna z pierwszych w Kalifornii. W 1889 r. miejscowość Paso Robles uzyskała prawa miejskie, a dwa lata później otwarto luksusowy hotel „El Paso de Robles", reklamując w całej Ameryce stosowane w tym hotelu lecznicze kąpiele błotne.

I chociaż bywały w nim takie osobistości, jak prezydent USA Theodore Roosevelt, aktorzy Douglas Fairbanks, Boris Karloff, Clark Gable, znana dziennikarka Adela Rogers St. Johns, to jednak w kronikach hotelowych szczególnie wyróżnia się datę 17 stycznia 1914 r., dzień, w którym po swoim imponującym tournée po Ameryce zamieszkał w hotelu Ignacy Jan Paderewski. Lokalne wody mineralne okazały się skuteczne w leczeniu artretyzmu, a ciepła styczniowa pogoda tylko sprzyjała wypoczynkowi.

Paderewski stał się częstym bywalcem Paso Robles, a pewnego razu nabył tu ranczo o powierzchni 2000 akrów i sam postanowił zająć się produkcją wina oraz uprawą drzew migdałowych. Winnicę nazwał San Ignacio na cześć swego patrona, a parcelę pod uprawę drzew migdałowych – na cześć patronki swej żony Heleny – Santa Helena. W Paso Robles sadzono takie odmiany winogron, jak: cabernet, sauvignon, sauvignon blanc, merlot, shiraz, chardonnay. Ignacy Jan Paderewski jako pierwszy zasadził szczep Zinfandel. W opinii specjalistów metody upraw stosowane przez artystę przekształciły rolnictwo całego regionu centralnego wybrzeża Kalifornii. A kiedy zebrał on obfite plony migdałów, Paso Robles zaczęto nazywać „światową stolicą migdałów".

Nikogo nie dziwi zatem, że właśnie w Paso Robles odbywa się Festiwal Muzyczny im. I.J. Paderewskiego. Od 10 listopada 2012 r. symbolem tego festiwalu jest wykonany z brązu przez rzeźbiarza Jessiego Corsanta pomnik polskiego kompozytora, wirtuoza, męża stanu i posiadacza ziemskiego, „Polaka z urodzenia, który stał się obywatelem świata". Pomnik stoi w centrum miasta, w parku przed gmachem Carnegie Library, w której można znaleźć informacje nie tylko o działalności muzycznej Paderewskiego, lecz również o jego winnicy i plantacji drzew migdałowych.

Paderewski zajmuje wyjątkowe miejsce w kulturze USA. Jego opera *Manru* została wystawiona w Metropolitan Opera [14 lutego 1902 r.; polska premiera miała miejsce we Lwowie 8 czerwca 1901 r. – red.]. O Paderewskim dwukrotnie wspomniano na okładce prestiżowego czasopisma „Time" (23 stycznia 1920 i 27 lutego 1939 r.), a w Hollywood nakręcono film z jego udziałem pt. *Sonata księżycowa* (1937). W Alei Gwiazd w Hollywood znajduje się gwiazda Paderewskiego. Imponująca jest też lista zaszczytnych tytułów amerykańskich nadanych polskiemu kompozytorowi – niewielu liczących się muzyków XX w. otrzymało ich aż tyle. Dodajmy do tego działalność państwową artysty i jego osiągnięcia w dziedzinie rolnictwa w Paso Robles. Czyż Paderewski nie był wszechstronnie utalentowany?

Ilekroć przyjeżdżam z zaniedbanego San Francisco do przytulnego Paso Robles, to podziwiam aptieczną wręcz czystość zadbanego miasteczka, serdeczność i życzliwość jego mieszkańców. Kiedyś, kiedy stałem przed pomnikiem Paderewskiego, podszedł do mnie siwy mężczyzna i zapytał uprzejmie: „A wie pan, kto to jest? Po oczach widzę, że pan wie. A czy pan wie, co on odpowiedział królowej Wiktorii? Kiedy Jej Wysokość powiedziała mu, że jest geniuszem, Paderewski odpowiedział «Możliwe, ale na to przedtem bardzo ciężko pracowałem». Czyż nie jest to odpowiedź geniusza?".

Według ostatnich danych statystycznych ok. 4% ludności USA stanowią etniczni Polacy. Ale wkładu Polaków do historii kultury i nauki Ameryki nie można wyrazić w liczbach. Duchowość to nie dane liczbowe. I ponownie przekonałem się o tym, stojąc przed pomnikiem Paderewskiego w Paso Robles, w odległości 330 km na południe od San Francisco.

Rafael Akopdżanian (Hakobjanyan) – pisarz, dramaturg, krytyk literacki, ur. w 1949 r. w Erewaniu (Armenia), od 1994 r. mieszka w San Francisco (USA); autor wielu sztuk teatralnych wystawianych w Rosji, Armenii i USA, m.in. dramatu *Gdy nocny ptak przeleci w dzień* (polska prapremiera – Teatr Druga Strefa, 2003), *Ja, córka Rasputina* (prapremiera Teatr Druga Strefa, 2004) oraz wydanej po polsku, rosyjsku i ormiańsku książki *Polskie wyspy. Z notatnika Don Juana*, Kielce 2004

Zdjęcia: R. Akopdżanian (Hakobjanyan)

Poezja musi być prawdziwkiem

Z Ernestem Bryllem (ur. 1 marca 1935 w Warszawie), poetą, dramaturgiem, pisarzem, autorem tekstów piosenek, przedstawień teatralnych, w tym musicali, dziennikarzem, tłumaczem i krytykiem filmowym, dyplomatą, rozmawia Magdalena Reczko. Fotografował Maciej Kłoś

Zaczniemy może mało oryginalnie, ale muszę spytać. Co to jest poezja?
Poezja jest czymś, co napada niektórych ludzi jak choroba. Klasa poezji jest związana z tym, na ile oni tą swoją ułomnością cykliczną, mówieniem o czymś, czego normalnie się nie dostrzega, uderzają innych ludzi i jak głęboko to w ludziach zapada. Właściwie nie ma poezji jako takiej i kiedy ktoś mówi, że jest poetą, to jest nim rzeczywiście, ale tylko w jakimś momencie, nawet jeśli jest poetą wybitnym. To nie zawód. To przypadłość.

Urodził się Pan w Warszawie.
Tak, ale to jest tylko urodzenie. Nawet we wspaniałym miejscu, bo w historycznym Szpitalu Ujazdowskim, gdzie było centrum sanitarne wojska polskiego. Mój ojciec był zawodowym wojskowym. Jednak po metrykę jeżdżę do Różana. Zaraz po moich narodzinach rodzice wrócili do Różana, gdzie wówczas mieszkali, i tam odbył się chrzest.

W Różanie…
…stacjonował mój ojciec. Potem przenieśliśmy się do Ostrowi Mazowieckiej, dokładnie do Komorowa pod Ostrowią, gdzie była Szkoła Podchorążych Piechoty. To była ta słynna Szkoła Podchorążych, listopadowa, z powstania, którą Piłsudzki przesunął do Ostrowi Mazowieckiej, bo w czasie zamachu majowego wystąpiła przeciwko niemu.

Czyli ojciec był zawodowym oficerem?
Był zawodowym podoficerem, ale była to grupa tzw. podoficerów dyplomowanych. Najwyższa średnia kadra. Idąc do wojska, nie miał jeszcze matury. Zrobił ją w czasie I wojny. Kiedy wzięli go do wojska, miał 17 lat. Walczył na froncie zachodnim. Potem urwał się ze szpitala i z dwójką braci poszedł do powstania wielkopolskiego (grudzień 1918 – czerwiec 1919). Razem z pułkami wielkopolskimi walczył na wojnie bolszewickiej. Kiedy wybuchła II wojna, miałem cztery i pół roku. Ojciec spakował się i żartował, że mi przywiezie zabawkę z Berlina. Był w Związku Walki Zbrojnej, Służbie Zwycięstwu Polski, później w AK. Żyliśmy w Komorowie. Weszła Armia Radziecka. Po 1945 r. próbowaliśmy mieszkać w Bydgoszczy, ostatecznie wylądowaliśmy w Gdyni, gdzie byli bracia mojego ojca.

Babcia zaszczepiła w Panu polszczyznę, język polski, śpiewała Panu.
Moja babcia ze strony matki właściwie mnie wychowywała. Po polsku mówiła tylko gwarą – nadwiślańską, bardzo zbliżoną do warmińskiej. Była Polką, ale pochodziła z rodu Holendrów, którzy przyszli do Polski ok. 1790 r. i potem pożenili się z Polkami. Zrobili niezłe pieniądze na budowaniu polderów, kanałów, młynów wodnych. W okolicach Wąbrzeźna, pod Toruniem, w samym Toruniu, w Grudziądzu, też na Warmii są jeszcze różne odnogi rodziny. W mojej rodzinie jest bardzo silna świadomość pochodzenia holenderskiego, nigdy niemieckiego, członkowie rodziny byli przez Niemców represjonowani z powodu trzymania z Polską. Rodzina całkowicie się spolonizowała. Babci krewnych, m.in. księży, Niemcy zamordowali.

Trafił się Panu tygiel odmienności językowych.
Ojciec mówił po polsku, ale z naleciałościami kujawskimi, np. mówił rżniwa, a nie żniwa. Matka mówiła po polsku bardzo dobrze, ale z niezwykle twardym akcentem i to był polski nadmiernie poprawny. Była uczona w szkole pisania gotykiem, pod linijkę.

Kim była mama?
Moja mama Helena była z domu Soboszyńska. Jej ojciec był tzw. arystokracją robotniczą. Pracował jako technik u Siemensa i zakładał elektryczność. Dziadek z moją babcią i mamą najpierw mieszkali w Westfalii, potem szli przez całe Prusy Zachodnie, Środkowe, Wschodnie, aż ostatecznie do Insterburga (obecnie Czerniachowsk), miasta włączonego po II wojnie do obwodu kaliningradzkiego w ZSRR, w stronę Królewca. Badałem, jak wyglądały te miasta, niektóre malutkie. Miały dwa, trzy hotele, gościńce, dwie, trzy oberże, w których spotykały się różne grupy. Zupełnie inne życie.

Kawał interesującej historii rodziny… Przejdźmy do życia Pana. Dzieciństwo i młodość.

Zdjęcie: Maciej Kłoś

W Starym Komorowie zacząłem podstawówkę. Szkoła istnieje do dziś. Należę do grona jej honorowych uczniów. Bardzo ciekawa szkoła, zbudowana przez chłopów. Chodzili do niej miejscowi, bardziej Mazurzy, bo Kurpie były dalej. Byli też uczniowie żydowscy. W czasie okupacji budynek szkoły przeznaczono na posterunek żandarmerii, a nauka, która była obowiązkowa, odbywała się w jakiejś chałupie. To było oficjalne, niezwykle marne uczenie. Oprócz tego chodziłem na tajne nauczanie. Miałem przyspieszoną edukację. Siódmą klasę robiłem już po wojnie, mając 11, 12 lat.

Do tego jeszcze był Pan zawiszakiem.
W 1944 r., kiedy było wyzwolenie spod okupacji naszej części kraju i wojska stały jeszcze na Narwi, należałem do drużyny harcerskiej i chyba w tymże roku miałem przysięgę harcerską. Byłem za młody, ale stałem się członkiem tej wąskiej grupy dzięki temu, że chodziłem na tajne nauczanie.

A w skautingu?
Byłem króciutko, bo przeniosłem się do innej szkoły. To zresztą mnie uratowało. Po likwidacji dawnego harcerstwa, to był chyba 1948 r., chłopcy nadal trzymali swoje drużyny. Ktoś wydał część chłopców z tej szkoły, do której ja już nie chodziłem, i dostali po osiem lat więzienia. Mieli wtedy po 15 lat.

Wyjazd do Gdyni…
…za ojcem. Tam zamieszkaliśmy. Najpierw chodziłem do płatnej, prywatnej szkoły jezuitów. Kiedy szkoła została jezuitom odebrana, rodzice przenieśli mnie do II Państwowego Liceum i Gimnazjum Męskiego na ulicę Morską, a potem na Daszyńskiego. Tam zrobiłem maturę. Chciałem pójść na studia, zdawałem egzamin na dziennikarstwo. I zdałem, ale mnie nie przyjęli z powodu braku miejsc; pojechałem do Warszawy. Na dziennikarstwie przyjął mnie poważny facet i powiedział wprost: „Słuchaj, ty się tutaj nie staraj, bo się nie dostaniesz ze względu na to, że twój ojciec był w AK. To jest bardzo polityczny wydział". Zaproponowano mi sinologię. Wówczas nawet nie wiedziałem, co to jest. Podjąłem pracę w elektrowni E11 w Gdyni. Stamtąd poszedłem na polonistykę, ku wielkiemu żalowi mojego majstra. Mówił, że jestem młody, zdrowy, inteligentny i że zrobi ze mnie spawacza podwodnego.

Pewnie ciekawa szkoła życia w tej elektrowni?
Bardzo, bo ciekawa była brygada, w której pracowałem trochę na sfałszowanych, postarzanych dowodach – nie byłem jeszcze pełnoletni. Ludzie, łącznie z majstrem, to byli sami dawni pepeesiacy. A był to czas mocnego stalinizmu. Pamiętam dobrze jedną z sytuacji: siedzieliśmy z brygadą w pakamerze, przyjechał delegat z województwa i mówi: „Dzień dobry. Jak się wam pracuje?". A majster, który był

twardym pepeesiakiem, absolutnym ateistą, wstał i mówi: „Jak się wchodzi do robotników, to się mówi Szczęść Boże. A teraz wypierdalaj”. I wyrzucił go.

I wyszedł?
Wyszedł. A majstrowi nic się nie stało. Inna sytuacja: prowadziłem tam świetlicę i kupiliśmy w mieście płyty z jazzem, bo z radiowęzła były puszczane tylko pieśni masowe. W sklepie poprosiliśmy o rachunek. Sprzedawca się zdziwił, że przecież nam tego rachunku nie uznają, nie rozliczą, bo takich płyt zakład pracy nie możne kupować. Ale majster się uparł i dumnie rzekł: „Jak to nie uznają? U nas? Na E11?”. Dostał rachunek, został on uznany i rozliczony.

A muzyką interesował się Pan kiedykolwiek?
Nie, rodzina nie była muzyczna. Czytaliśmy natomiast dużo, miałem wspaniałą bibliotekę. Niestety, wiele książek przepadło przy tylu przeprowadzkach. Większą część stanowiły zbiory biblioteczne Szkoły Podchorążych wyrzucone przez Niemców i przez nas uratowane.

Wróćmy na studia.
W elektrowni zarobiłem trochę pieniędzy i zacząłem studiować. Dostałem się na polonistykę, ale nie miałem ani akademika, ani stypendium. Mieszkałem na lewo w akademiku na Narutowicza. To jest cała saga o tym, jak tam się mieszkało, w 12-osobowych pokojach. Wielu studentów miało wtedy zaawansowaną gruźlicę. Kiedy jednego kolegę wywieziono, bo był w ciężkim stadium, zwolniło się miejsce dla mnie. Po jakimś czasie dostałem też stypendium. Potem mieszkałem na Karolkowej, na Kickiego – w pierwszym zbudowanym bloku. Zasiedlałem ten blok, kiedy jeszcze lała się woda po ścianach. Okolica była szemrana. Kiedy do drugiego bloku wprowadziły się studentki, w okolicy zaczęli się kręcić chuligani. Stoczyliśmy bitwę z tą miejscową chuliganerią. Pamiętam, jak mój kolega spod Żnina, wielki jak wiatrak, atakował z cegłą w ręku. Potem był wybitnym profesorem sztuki, bardzo delikatnym, znawcą cinquecenta, wydawał książki we Włoszech.

Mieszkanie w akademiku było marzeniem wielu studentów.
W okropnych warunkach. Kicki to była już rozkosz, ponieważ było nas tylko pięciu w pokoju i mieliśmy umywalkę.

Zaczął Pan dorosłe życie jako dziennikarz w 1954 r. współpracą z różnymi redakcjami.
Byłem wtedy jeszcze bardzo młody. Pracę zacząłem w „Po Prostu”, na Wiejskiej, w tym czasie redagowałem również na powielaczu legalno-nielegalne pismo Klubu Inteligencji. W 1955 i 1956 r. różne rzeczy się działy. Byłem w grupie Krzywego Koła. Potem „Po Prostu” rozwalono. Przenoszono nas do różnych redakcji. Poszedłem do „Sztandaru Młodych”, do działu kulturalnego, na pełny etat, ale z niego szybko mnie wyrzucono. Zostałem bez środków do życia. Potem przyjęła mnie prasa ludowa. Zakładali tygodnik „Orka”, który przekształcił się w „Tygodnik Kulturalny”. Zacząłem w tym czasie, druga połowa lat 60., studiować filmoznawstwo w Warszawie. Moim profesorem był Aleksander Jackiewicz, a prowadził to prof. Jerzy Toeplitz. Potem byłem we „Współczesności”, krótkie, niecałe dwa lata redakcji Stanisława Grochowiaka. Wyrzucono nas i część dostała wilcze bilety, w tym ja. Dostał [Jan Zbigniew – red.] Słojewski, późniejszy Hamilton, dostał Andrzej Szmidt, Marian Ośniałowski.

Wilczy bilet zamykał wszystkie drzwi.
Nie mogłem się nigdzie zatrudnić. Pracowałem na lewo, na czarno. Koledzy podpisywali moje materiały i potem oddawali mi pieniądze. Jakoś żyłem, ale było bardzo, bardzo źle.

A do tego miał Pan już wtedy rodzinę.
Przeczytałem informację o przedłużeniu konkursu Ludowej Spółdzielni Wydawniczej na powieść wiejską. W ciągu niecałych dwóch miesięcy napisałem powieść pt. *Studium*. Zdobyłem drugie miejsce i dostałem ok. 30 tys. zł, co było olbrzymią kwotą.

Dlaczego zainteresował się Pan filmem?
Najpierw była telewizja. Zrobiłem filmoznawstwo, skończył się mój wilczy bilet. Kiedy wydałem powieść *Studium*, zaczęto się mną interesować i przyjęto mnie do telewizji. Rozpocząłem pracę od prostego redaktora, potem zostałem kierownikiem literackim Teatru Telewizji przy Hanuszkiewiczu (1963-1967). Chciałem jednak odejść, bo telewizja stała się trudna. Nagle zaprosił mnie na rozmowę Jerzy Bossak, założyciel Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Zespołu Filmowego „Kamera”. Zaproponował stanowisko kierownika literackiego. Film to była inna praca – na większy dystans, mniej obciążona różnego rodzaju awanturami politycznymi, które docierały nawet do teatru. Poza tym inna klasa ludzi. Wajda, Munk, młody Skolimowski, Hoffman. Bardzo dobrze mi się z nimi pracowało, w dużej przyjaźni.

Pisał Pan scenariusze?
Nie miałem ciągu na pisanie scenariuszy, mimo że mnie namawiano. To dziwne, bo kiedy raz się dałem namówić, by napisać dla Skolimowskiego, to udawałem przed nim, że piszę, a pisała mi się *Rzecz listopadowa*, dramat wierszem o Powstaniu Warszawskim. Kto w tamtych czasach chciałby coś takiego wystawiać?! A jednak powstał (1967).

Film…
…dał mi sposób na życie. Nawet kiedy już zarabiałem dobre jak na tamte czasy pieniądze, bo szły moje sztuki, moje piosenki, to jednak zawsze zawodowo pracowałem. Ja się boję życia artystycznego. Ono wciąga w jakieś problemy, które nie są moje.

Zdjęcie: Maciej Kłoś

Nigdy nie chciał Pan być tylko poetą?
Nie daj Boże.

A śpiewogry, np. *Na szkle malowane*?
Pisałem, kiedy widziałem, że ludzie je przyjmują

Ta śpiewogra grana jest do dziś.
Wielu reżyserów ją wystawiało. Janek Skotnicki najlepiej to robił. Krystyna Janda później, za drugim rzutem. Do dziś jest grana na Słowacji, w Czechach. W Czechach miało być niedawno wystawienie, w Budziejowicach, ale koronawirus przeszkodził.

Julian Przyboś.
Kiedyś mi powiedział, że nie będę poetą. Powiedział dlatego, że on nie znosił Gałczyńskiego, a ja, nie wiedząc o tym, się nim zachwycałem. Po dwóch latach przyjechał do mnie do Otwocka, żeby to odwołać. Potem się z nim przyjaźniłem, pracowaliśmy razem. Był to niewątpliwie człowiek, dla którego poezja była czymś bardzo ważnym. Nie mógł zrozumieć mojego do niej stosunku. Zawsze mówił: „Ty nie jesteś apolliński. Ty nie żyjesz poezją, wszystko trywializujesz. W zasadzie to, co piszesz, powinno być nie do przyjęcia, ale tak piszesz, że jednak mogę to czytać”.

Umarł w ZAiKS-ie.
Na moich oczach. Prowadził kongres ZAiKS-u, na którym czytano wiersze polskich poetów tłumaczone na różne języki. Siedział obok Iwaszkiewicza. Zapowiedział Jastruna, którego tłumaczyła pani Rosner, Francuzka. Tłumaczka zaczęła mówić. Ja siedziałem tuż przed Przybosiem, w drugim rzędzie. Patrzę, a on nagle zsiniał i osunął się na Iwaszkiewicza. Serce. Iwaszkiewicz okropnie się wystraszył. Natychmiast ratowano Przybosia, ale już nie można było nic zrobić.

Jest Pan członkiem ZAiKS-u?
Od dawna. Na pewno od czasu, kiedy pisałem pierwszą sztukę *Po górach, po chmurach*. Nawet zostałem nagrodzony specjalną nagrodą na stulecie istnienia ZAiKS-u.

Epizod irlandzki. Właściwie dlaczego poeta został politykiem?
Ja nigdy nie byłem politykiem.

To dlaczego został Pan ambasadorem?
Dlatego, że wówczas w Polsce byłem jedyną osobą, która znała się na Irlandii, jej historii, literaturze. Byłem dość młody, niepijący w sposób ryzykowny, dobry organizacyjnie, bo jednak telewizja i film mnie wyszkoliły. Do tego Irlandczycy znali mnie i moją żonę jako tłumaczy ich poezji i zgłaszali chęć, bym to był ja. W Irlandii ambasador poeta, tłumacz literatury irlandzkiej ma możliwości o wiele większe niż ambasador polityczny. Zorganizowałem całą ambasadę, nawiązywałem kontakty polsko-irlandzkie.

Nie chciał Pan tego przedłużyć?
Boże broń! Nie chciałem już pracować w MSZ, mimo że mnie dość wysoko ocenili. Mam wspaniałą ocenę, którą mi dał Władysław Bartoszewski, wtedy minister spraw zagranicznych. Ale zrozumiałem, że pewnego rodzaju państwowa i na pewno nachylona w kierunku politycznym służba jest nie moja.

Tłumaczył Pan w czasie ambasadorowania?
Tłumaczyłem od lat, ale zanim pojechałem. Tam nie miałem czasu w ogóle się tym zająć. Raz mnie naprawdę zdenerwowano, bo napisano, że pojechałem do Irlandii, by tłumaczyć irlandzką poezję. A przecież z żoną byliśmy już wtedy autorami wielu przetłumaczonych i wydanych książek, ważnych dla literatury, dla historii celtyckiej Irlandii.

A skąd ta wiedza?
Kiedy byłem w Anglii, w latach 1974-1978, dyrektorem Instytutu Kultury Polskiej w Londynie, zaproszono mnie na zjazd poetów. Jeden z tych, którzy przyjechali, był profesorem na Trinity College w Cambridge, a drugi, Seamus Heaney, otrzymał 1995 r. Nagrodę Nobla. Obaj tłumaczyli staroirlandzką literaturę na język angielski. Zachwycili mnie tą literaturą i zacząłem się uczyć. Żona była irlandystką, więc opanowaliśmy ten język na tyle, by móc tłumaczyć. Pierwsze książki z poezją irlandzką, w tym *Miodopój*, wyszły w 1978 r. Potem wydaliśmy jeszcze wiele tłumaczeń. A wyjazd do Irlandii był w 1991 r.

Czym dla Pana jest wiara?
Patrząc po moich wierszach, widzę, że to było już wcześniej, natomiast w mojej świadomości wiara pojawiła się później. To była druga połowa lat 70. Dla religii, przynajmniej katolickiej, wspólnota jest rzeczą podstawową, a w takiej wspólnocie poezja może znaleźć coś dziwnego. Gdy chrypią, kaszlą na roratach i gdy nagle się okazuje, że jednak unieśli się nad ziemię, to właśnie jest poezja. To jest poezja życia.

A są jeszcze autorytety?
Nie wiem. Autorytety robią wszystko, żeby nimi nie być.

Pana poezja została zauważona i stał się Pan znany dopiero dzięki trzeciemu tomikowi *Twarz nieodsłonięta* (1963). Co Pana w cudzej poezji musi zachwycić?
Bardzo dużo czytam, ale zauważam tylko to, po czym przechodzą mnie ciarki po plecach. Poezja musi być prawdziwkiem. Przyprawienie jej to już jest osobna sprawa. Ale nie da się przewidzieć, idąc na grzyby, co ktoś znajdzie.

Jest Pan realistą czy marzycielem?
Ani tym, ani tym. A może i realistą, i marzycielem. Żyję w kraju, który należy do grupy krajów, które mają chwiejną realność. Takie kraje, jak Anglia, Francja czy Hiszpania mogą mieć okresy tragedii, głupoty, strasznych wydarzeń i pięknych wzlotów. Niemcy mogą wywołać tragedie światowe, ale istnieją nadal. Rosja, która miała okresy szaleństwa, smuty, istnieje. My należymy do krajów, które są jakby zawieszone. U nas pięć lat głupoty, głupie decyzje mogą właściwie skończyć państwo.

Co łączy aktywności, które Pan podejmował w życiu? Dziennikarstwo, gazeta, radio, Teatr Telewizji, Kamera, Teatr Polski, pisanie dramatów, poezji…
Robiłem wszystko, żeby nie być pisarzem tzw. zawodowym. Większość moich kolegów w ogóle nie pracowała zawodowo, tylko żyła z pisarstwa, co wiąże się z odpowiednimi zabiegami i kombinacjami. Ja chciałem zawsze pracować, ale pisać tylko wtedy, gdy mnie to już napadnie nie do wytrzymania. Zawsze starałem się zarabiać na utrzymanie normalną, zawodową pracą.

Co Pan obecnie robi?
Jestem na jednej czwartej etatu jako ten, który prowadzi coś w rodzaju oceny scenariuszy i konsultantem w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej.

Dostawał Pan liczne wyróżnienia, nagrody. Którą z nich ceni Pan najbardziej?
Żadną, traktuję je jako pewnego rodzaju efekt. Sam jestem w różnych jury i wiem, że nagrody to wybór, a on zależy od poszczególnych ludzi i okoliczności. Szanuję nagrody, przyjmuję, nie mam problemów, dziękuję, ale nie uważam, by były najbardziej istotną oceną. Wie pani, co jest najistotniejsze? Kiedy moja książka jest czytana, kiedy na jakimś wieczorze okazuje się, że ludzie znają moje wiersze i mówią je, że jacyś amatorzy robią przedstawienia moich rzeczy.

Zdjęcia: M. Hołzman / Teatr Współczesny w Warszawie

Damian Damięcki (jako Drugi) i Jan Englert (Pierwszy) w *Rzeczy listopadowej*, reż. E. Axer, Teatr Współczesny w Warszawie, premiera 1 lutego 1975 r.

Scena zbiorowa w *Rzeczy listopadowej*, reż. E. Axer, Teatr Współczesny w Warszawie, premiera 1 lutego 1975 r.

A nagroda Czerwonej Róży otrzymana w 1961 r. Czy była dla Pana ważna?
Za debiut. Tak, to była ważna nagroda, związana z klubem Żak w Gdańsku, pokoleniowa, lansująca poetę. Czerwona Róża była ważna dla młodych, tworzyła sytuacje i zainteresowanie krytyków.

Myśli Pan, że przyjaźnie, które Pan zawierał w życiu, były ważne? Miały wpływ na Pana rozwój?
Na pewno. Na mnie ogromny miał Staszek Grochowiak. Ale właściwie zacząłem się czuć własny, gdy nagle znalazłem sposób innego mówienia niż on. Wcześniej wydawało mi się, że on zagarnia wszystko, bo to był poeta o dużym wpływie na nasze pokolenie. Gałczyńskiego uwielbiam, ale nie da się pisać w jego typie.

Czesław Miłosz napisał w *Prywatnych obowiązkach*, że nie zgadza się z Pana pesymistycznym ujęciem sytuacji Polski w *Rzeczy listopadowej*.
Jestem z mojego pokolenia chyba najbardziej związany z poezją Miłosza. To widać nawet w tytułach moich wczesnych tomików, pisali o tym też krytycy. Czytałem go w momencie, kiedy był właściwie wyrzucony poza nawias istnienia i kiedy jego pokolenie, jego koledzy, atakowali go jako zdrajcę. Moje pokolenie przywracało sobie i powoli ludziom Miłosza. Kto zna Miłosza, wie, że tytuł mojego tomiku *Twarz nieodsłonięta* jest aluzją do jego wiersza. Nie można było nawet podawać tytułu tego wiersza! Recenzja Miłosza, zresztą bardzo duży artykuł, świadczy o tym, że musiał być poruszony. Pisał, że nikt tak pesymistycznie i tragicznie w poezji polskiej nie widział roli narodu. Nawiązał do mojego wiersza *Mtacminda* (święta góra w Gruzji), który był zdejmowany przez cenzurę, bo odnosił się do Gruzji. Ale ten wiersz zaistniał, bo został wpisany do wyboru jako rzecz, która była już wydana. Cenzor nie dopilnował, przeoczył.

Cenzura mocno Pana nękała?
Zdejmowanie jednego czy dwóch wierszy to małe piwo. Ale *Wieczernik*, sztuka osnuta na motywach ewangelicznych, w ogóle nie była dopuszczona. Grano ją więc w kościołach. Inna moja sztuka, *Kurdesz*, była zdjęta decyzją Komitetu Wojewódzkiego w Krakowie, zaatakowana w prasie. Pisano, że pluję w Wisłę i że nawet Wolna Europa tak nie ocenia Polski jak ja. Sztuka była zdjęta, odebrano mi paszport, nie pojechałem wówczas do Ameryki.

Ale *Rzecz listopadowa* była wystawiona.
Cenzura cenzurą, a układy układami. Przecież przy *Rzeczy listopadowej* też była cenzura. Wcześniej pozwolono ją zagrać w Warszawie. Miała być wystawiona przez Dejmka w Teatrze Narodowym. Nawet mam depeszę od niego. Po *Dziadach* w ogóle nie było już o tym mowy. Potem była wersja, że będzie mogła być robiona przez [Krystynę – red.] Skuszankę we Wrocławiu w Teatrze Polskim, ale tylko 20 przedstawień, mimo że było duże zainteresowanie. To samo działo się z moimi innymi sztukami.

Jednak do premiery we Wrocławiu doszło 15 listopada 1968 r.!
To opowiem, bo to ciekawe. Szykowaliśmy premierę *Rzeczy listopadowej*. Było to na dwa dni przed przyjazdem cenzorów z całej Polski. Mieli obejrzeć tę sztukę na próbie generalnej. Skuszanka czekała na nich jako dyrektor teatru, wtedy bardzo znany. Ja też już dotarłem. Nagle, dzień przed przyjazdem cenzorów, pojawił się instruktor z Komitetu Centralnego. Bardzo ważny facet. Potem był nawet szefem kinematografii, zresztą to był mój znajomy ze studiów, starszy kolega. Kazał sobie pokazać sztukę, aktorzy zagrali, oczywiście do kulis. Powiedział, że sztuka jest niemożliwa do wystawienia. Chciałem polemizować, ale Skuszanka kopnęła mnie w nogę pod stołem i sama spytała dlaczego. Usłyszeliśmy: „Bo pokazuje to całe powstanie i to wszystko nie tak. Ale jest jedyna możliwość, żeby ona mogła być na scenie. Otóż – mówi do mnie instruktor – napisałeś tam monolog, kiedy jeden z tych duchów, ni to żywych, ni to zmarłych mówi, że powstanie było opuszczone. Że zostaliśmy sami i że to była tragedia. Gdybyś tu dopisał jedną stronę, że tylko Związek Radziecki chciał pomóc powstaniu…". Ja wtedy, niezależnie od tego, jakie miałem poglądy, wiedziałem, że to byłby mój zupełny koniec. Nie będzie sztuki, to nie będzie, trudno. Ja tego nie dopiszę. Odprowadziliśmy instruktora na samolot, ja mówię, że jadę do domu, a Skuszanka, że… mam zostać, jutro przyjeżdżają cenzorzy i robimy pokaz.

Mimo tak druzgocącej opinii Komitetu Centralnego?

Zdjęcie: Maciej Kłos

Skuszanka powiedziała mi wtedy: „Partia kieruje, a rząd rządzi. On przyjechał, on się wypowiedział, ale on może podjąć decyzję jedynie przez ministerstwo. Formalnie to on przyjechał sobie prywatnie. A jutro formalnie przyjadą cenzorzy. Zobaczymy co będzie". Wróciłem do hotelu, wypiłem dwie lufy i poszedłem spać. Rano przyjechałem na dziesiątą do teatru. Dwunastu cenzorów siedzi, aktorzy znowu grają do kulis. Nastroje ponure. Potem narada. Skuszanka, cenzorzy i ja. Jeden cenzor z Warszawy, który był w ruchu oporu i w czasie wojny stracił oko, mówi do pozostałych: „Wiecie towarzysze. W zasadzie to nie można tej sztuki wystawić. Ale jak my będziemy to blokować w teatrze, to w ogóle wywali nam ta sprawa na ulice. To jest już tak nabrzmiałe, że trzeba sztuce pozwolić. Bo o co chodzi? Tu jest dyskusja, tu jest tragedia. Dzieje się w Święto Zmarłych na ulicach Warszawy. Trzeba to puścić. Może trzeba ograniczyć liczbę przedstawień". Dziś patrzę na to jak na cud. Bo siedzą ci cenzorzy i jeden po drugim mówi: „No tak, nie można tego zatrzymać". Skuszanka zarządziła premierę na następny dzień. Teatr był pełen, 1200 osób. Zrozumiałem postawę Skuszanki potem, kiedy była afera ze zdejmowaniem mojej sztuki *Kurdesz*.

Jaki był powód tym razem?

Sam nie wiem. Dowiedziałem się pokątnie, że *Kurdesz* rozwścieczył ówczesnego pierwszego sekretarza KW w Krakowie. W sztuce było powiedziane, że jeden z towarzyszy był ranny w lewą nogę i kuśtykał. Skąd mogłem wiedzieć, że Moczar był ranny w lewą nogę? Najśmieszniejszą rzecz miałem, gdy wystawiałem w Krakowie moją śpiewogrę *Po górach, po chmurach*. Miała olbrzymie powodzenie. W Warszawie robił ją [Erwin] Axer. Pewnego dnia zaprasza mnie do siebie. Okazuje się, że dostał oficjalne polecenie, by sztukę wygasić. Niby nic, ale żeby było jeszcze tylko 10 przedstawień. Rzekomo, że nie ma zainteresowania. Ja mówię: „Erwin. Przecież widzisz, co się dzieje". Myślałem o tłumie ludzi walących na przedstawienie. „Ja wiem, ale ktoś doniósł coś na temat tej sztuki i nikt nie chce gadać". Próbowałem się dowiedzieć więcej, nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Wreszcie dawny kolega, z którym mieszkałem w akademiku na Kickiego, zabrał mnie na miasto i dowiedziałem się, że ktoś ponoć doniósł Gomułce, że monolog diabła, grał go Wołłejko, jest satyrą na niego, czyli na Gomułkę. „Znasz tekst?" – spytałem. On na to: „Ja wiem, tylko z Gomułką nie ma dyskusji. Rzuca kałamarzami. Wyrzuci nas. Szkoda sztuki, wszyscy żałują, bo jest fajna, ale trzeba zdejmować". Wtedy wpadł mi do głowy pomysł: „A gdybyś tak, jak by Gomułka wezwał, powiedział, że rozmawiałeś z autorem i było mu bardzo przykro, iż ktoś uznał, że fragment monologu odnosi się do Gomułki. Że jest to nieprawda, ale autor tak się przejął, że napisał nowy monolog". A on na to: „Świetny pomysł. Ty pisz monolog, ja załatwię, że sztuka nie będzie zatrzymana". „Ale czy ja ci mam pokazać ten nowy monolog" – dopytuję. A on mówi: „A po co? Dopierdol tam, jak możesz". Tak to było czasami. Ale nie cenzura była najgorsza, tylko donosy ze środowiska. Któregoś dnia rozmawiałem z cenzorem i słyszę: „Pan z nami tutaj dyskutuje – rozmawialiśmy o *Kurdeszu* – a tutaj, niech pan zobaczy". Pokazuje mi list, w którym facet pisze, że cenzura niech zwróci uwagę na tytuł *Kurdesza*, bo w staroturecki to znaczy towarzysz.

A dzisiaj?

Dzisiaj jest cenzura wewnętrzna, nieoficjalna, szeptana, mówiona.

Czym dla Pana było „Po Prostu"?

Było dla mnie szalenie ważne. Miałem 19 lat i zacząłem w nim pracować jako nieetatowy pracownik, po jakimś czasie zostałem członkiem zespołu. Koledzy byli dla mnie niebywali. A to był okres, w którym dokonywały się dziwne zmiany. Z marnego, studenckiego zrobiło się czasopismo, które ludzie rozchwytywali. I potem, był 1957 r., koniec. Włodzimierz Godek, świetny, płomienny reporter, członek kolegium redakcyjnego, w 1960 r. popełnił samobójstwo, gdy Gomułka zamknął „Po Prostu". Po latach przyszedł do mnie Bratkowski z kolegami. Siedliśmy tu, w ogrodzie. Zaproponowali, byśmy napisali książkę o „Po Prostu". Ustaliliśmy sobie jedno: że wtedy nam się wydawało, że wszystko jest do chrzanu w tym ustroju dlatego, że komunizm został zrealizowany w Rosji, co do której sam Marks mówił, że ona się nie nadaje do rewolucji socjalistycznej, bo nie ma proletariatu. Że robiąc socjalizm w Polsce, mamy szansę zrobić go lepiej. Skończyło się to w momencie rewolucji węgierskiej. Dobrze pamiętam, że to, co się stało w Budapeszcie, nagle uświadomiło nam, że cały świat ani drgnął i że nasza sytuacja może być podobna. Zresztą Budapeszt i Powstanie Warszawskie to były doświadczenia, powiedziałbym, kluczowe dla mojego rozwoju i dla rozwoju chyba wielu z mojego pokolenia. Ta obojętność świata.

Na koniec spytam jeszcze, co Pan sądzi o kulturze obecnie?

W tej chwili jest kultura łatwiejsza, kultura byle jaka, nawet w rozrywce. Jest taką kulturą przy wolnym handlu. To jest bardzo dziwna rzecz, jak straszną cenę płacimy jakością za pewnego rodzaju wolność. A co więcej, kończy się książka. Dzisiaj wydać łatwo, ale dotarcie do czytelnika jest prawie żadne.

Internet nie zastąpił książki?

Nie.

Siła obrazu w Muzeum Narodowym

Czy malarstwo mogło kształtować świadomość narodową Polaków przed odzyskaniem przez nasz kraj niepodległości? Jakie zadania stawiali sobie artyści w dobie zaborów? Jaki wpływ miała sztuka na utrzymanie ciągłości historycznej narodu polskiego? Jeśli szukamy jednoznacznych odpowiedzi na te pytania, koniecznie obejrzyjmy wystawę *Polska. Siła obrazu* w Muzeum Narodowym w Warszawie. Jest to warszawska odsłona ekspozycji *Pologne 1840-1918. Peindre l'âme d'une nation (Polska 1840-1918. Zobrazować ducha narodu)*, która była prezentowana od września 2019 do stycznia 2020 r. w filii Luwru w Lens. Cieszyła się ogromnym zainteresowaniem zwiedzających i odniosła sukces medialny. Teraz także Warszawie zobaczyć można zebrane w jednym miejscu arcydzieła malarstwa polskiego, najwybitniejszych polskich artystów, z najważniejszych muzeów całego kraju. „Po utracie przez Polskę niepodległości sztuka stała się substytutem utraconej wolności, depozytariuszką dawnej potęgi państwa. Przekazywała ideę solidaryzmu narodowego oraz była skarbnicą wartości rodzimej kultury i ludowych wzorów. Pełniła funkcję kompensacyjną i rozrachunkową, apologetyczną i profetyczną" – mówią kuratorki wystawy z MNW Iwona Danielewicz i Agnieszka Rosales Rodríguez. Na ekspozycji zobaczymy m.in. dzieła Piotra Michałowskiego, Jana Matejki, Aleksandra Gierymskiego, Maksymiliana Gierymskiego, Ferdynanda Ruszczyca, Jacka Malczewskiego, Artura Grottgera, Juliana Fałata, Juliusza Kossaka, Józefa Brandta, Józefa Chełmońskiego, Jana Stanisławskiego, Leona Wyczółkowskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Stanisława Przybyszewskiego, Wojciecha Weissa, Władysława Ślewińskiego i Witolda Wojtkiewicza. Wystawa została zorganizowana przez Muzeum Narodowe w Warszawie we współpracy z Musée du Louvre-Lens, Muzeum Narodowym w Poznaniu i Instytutem Adama Mickiewicza. **Do 20 grudnia**

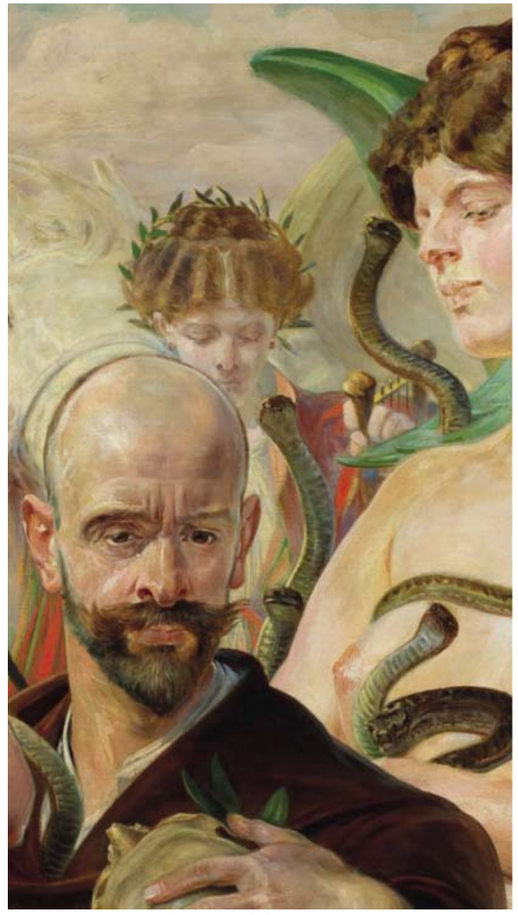
Jacek Malczewski *Rok 1905* (fragm.), 1905-1906, MNW

Satyrykon

W Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego można oglądać prace nadesłane przez artystów z całego świata na 43. edycję legnickiego Satyrykonu. Na ekspozycji zobaczymy m.in. rysunki, grafiki i zdjęcia laureatów tegorocznej odsłony imprezy, wśród których są: Norbert Sarnecki (Grand Prix; Polska), Adam Trepczyński (Nagroda Dyrektora Muzeum Karykatury; Niemcy/Polska), Karolina Gmiterek (Polska), Andrei Popov (Rosja), Vladimir Kazanevsky (Ukraina), Alireza Pakdel (Iran), Andrzej Popiel (Polska), Oleksy Kustovsky (Ukraina), Jugoslav Vlahović (Serbia), Ilya Katz (Izrael), Mello Silvano (Brazylia), Marziyeh Khanizadeh (Iran), Gabriel Rusu (Rosja), Włodzimierz Staszczyk (Polska), Joanna Lorenc (Polska), Krzysztof Grzondziel (Polska). **Do 25 października**

W plebiscycie *10 Ulubionych Księgarń Warszawy* pierwsze miejsce zdobyła Księgarnia Artystyczna Bookoff przy Muzeum nad Wisłą, drugie miejsce – Tajfuny. Wśród księgarń wyróżnionych znalazły się: Antykwariat Grochowski Marek Łączyński, Księgarnia Wrzenie Świata, Księgarnia Galeria Nieznany Świat, Tarabuk w Nowym Świecie Muzyki, Bajbuk, Księgarnia Eureka, Dwa Koty Saska Kępa oraz Trzy Jeże. Warszawiacy oddali w głosowaniu ponad 21 tys. głosów. Zwycięzcom gratulujemy, a czytelników zapraszamy do księgarń.

W ramach Festiwalu Muzyki Kameralnej na Bielanach usłyszymy m.in. *Arię ze Suity D-dur* J.S. Bacha, *Koncert na dwoje skrzypiec* A. Vivaldiego, *Serenadę* J. Haydna, *Divertimento F-dur* W.A. Mozarta. Utwory wykona Sinfonia Academica – orkiestra kameralna Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. **10 października**

Teatr Syrena na swoje 75-lecie otworzył wystawę *Artyści Syreny. Od 20-lecia do roku 20-ego*, przypominającą o artystach związanych z tą niegdyś bardzo warszawską sceną.

Dwudzieste urodziny obchodzi Dorożkarnia – jeden z najbardziej aktywnych i lubianych klubów w Warszawie. Anna Michalak-Pawłowska, twórczyni i dyrektorka Dorożkarni, w 1985 r. założyła amatorski teatr muzyczny Pantera, który z warszawskiego Służewca przeniósł się na Siekierki. Tam rozwijał się i rozrastał, by przerodzić się w 2000 r. w Dom Kultury Dorożkarnia. Od trzech lat Dorożkarnia to również miejsce na artystyczne i społeczne aktywności dorosłych, gdzie realizują swoje projekty seniorzy oraz siekierkowscy aktywiści.

W klubie BARdzo bardzo 15 października koncert zespołu Lor w ramach trasy koncertowej promującej nową EP grupy zatytułowaną *Sunlight*. Muzyka Lor, inspirowana folkiem, zdobyła już serca słuchaczy w całej Polsce.

M.J. Raniszewski

Urzecze

Mało który warszawiak wie, że wąski, 40-kilometrowy pas ziemi położony po obu stronach Wisły, m.in. Saska Kępa, Zawady, Siekierki i okolice mostu Południowego, aż po Czersk, to tzw. Urzecze. Prezentowana w Muzeum Etnograficznym w Warszawie wystawa *Nad Wisłą, na Urzeczu* przypomina ten ulegający coraz dalej posuniętej urbanizacji, coraz gęściej zabudowywany, zanikający mikroregion. Początki jego kształtowania mają ponad 300-letnią historię, wraz z przybyciem nad Wisłę olędrów. Ekspozycja poprowadzona jest z perspektywy pamięci i zbiorów obecnych mieszkańców zalewowego obszaru – współczesnych Łurzycoków – prezentuje nagrania z opowieściami o życiu na Urzeczu, filmy, archiwalne i dzisiejsze zdjęcia, stroje, przedmioty codziennego użytku, narzędzia etc. Na wystawie można zobaczyć charakterystyczny motyw na kobiecym stroju wilanowskim z nadwiślańskiego Urzecza – czarny haft oparty o kwiatowe ornamenty, dowiedzieć się, na czym polegała udana symbioza życia mieszkańców z rzeką, jak wyglądały domy budowane na tyrpach, czyli małych wzniesieniach nad Wisłą, a także poznać specjały lokalnej kuchni. **Do 11 kwietnia 2021 r.**

Między ludźmi

Przed nami 12. edycja festiwalu *Warszawa w budowie*. W poprzednich odsłonach festiwal skupiał się na architekturze i projektowaniu miasta, w bieżącej edycji przesuwa akcent z ulic i placów stolicy na zagadnienie skomplikowanych społecznych relacji oraz potrzeb mieszkańców Warszawy. Organizatorzy zapraszają małe grupy i mikrospołeczności do współpracy przy tworzeniu programu. Festiwal zainaugurowany zostanie 2 października wystawą prac współczesnych młodych artystów i performerów *Coś wspólnego* w Muzeum nad Wisłą, ul. Wybrzeże Kościuszkowskie 22. Ekspozycje, konferencje, spotkania, dyskusje, warsztaty trwać będą **do 17 stycznia 2021 r.** Program 12. edycji festiwalu na: warszawawbudowie.pl.

W blasku gwiazd

Znakomitym koncertem kontratenora Jakuba Józefa Orlińskiego Teatr Wielki – Opera Narodowa rozpoczął, po przerwie wymuszonej koronawirusem, sezon artystyczny 2020-2021. Przed nami ponad 200 wydarzeń, w tym sześć tytułów premierowych i 15 repertuarowych. Z pewnością wielkimi wydarzeniami będą występy gwiazd: Piotra Beczały w tytułowej partii *Werthera*, Tomasza Koniecznego w trzech różnych rolach, w tym w partii Janusza w *Halce*, Mariusza Trelińskiego oraz Aleksandry Kurzak, która zaśpiewa rolę Ciociosan w *Madame Butterfly*. Na deskach TW-ON wystąpią także zagraniczne gwiazdy, m.in. Ann Petersen czy Torsten Kerl (w *Fideliu*), znani również m.in. ze znakomitych interpretacji partii Wagnerowskich. Wśród premier znajdą się wspomniany *Werther* Jules'a Masseneta (8 października 2020), spektakl w inscenizacji Willy'ego Deckera, w którym partię tytułową podczas premiery zaśpiewa Piotr Beczała, a także *Cardillac* Paula Hindemitha w reżyserii Mariusza Trelińskiego ze scenografią Borisa Kudlički (15 stycznia 2021). Partię tytułową wykona wybitny bas-baryton Tomasz Konieczny. Będzie można go również usłyszeć w inscenizacji *Halki* w reż. Mariusza Trelińskiego, która była premierą sezonu 2019/2020. Na 26 marca TW-ON zapowiada premierę *Fidelia* Ludwiga van Beethovena, jedynej opery tego kompozytora. Jest to druga, po *Diabłach z Loudun* Krzysztofa Pendereckiego, koprodukcja Teatru Wielkiego – Opery Narodowej z The Royal Danish Theatre w Kopenhadze. Reżyserem jest dyrektor artystyczny The Royal Danish Opera – John Fulljames, W repertuarze są też spektakle baletowe zespołu pod kierownictwem Krzysztofa Pastora – m.in. *Korsarz*, *Mayerling*, *Burza*, *Romeo i Julia*, *Zagubione dusze*. Dla uczczenia pamięci wielkiego kompozytora i przyjaciela teatru, Krzysztofa Pendereckiego, 23 listopada 2020 r. odbędzie się koncert *In memoriam* z programem *III symfonia*, *Pasja według św. Łukasza*, *Polskie Requiem* i *Tren – Ofiarom Hiroszimy*. W Galerii Opera w nowym sezonie prezentowane będą prace Jana Cybisa oraz rzeźby prof. Adama Myjaka – autora *Kwadrygi* na frontonie gmachu Teatru oraz współzałożyciela Galerii – oraz prace plakacistów, m.in.: Jana Lenicy, Tadeusza Gronowskiego, Rafała Olbińskiego i Andrzeja Pągowskiego.

P. Borecky

Werther, Teatr Wielki - Opera Narodowa

REKLAMA

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY
mik.waw.pl
Mazowiecki Instytut Kultury
Warszawa, ul. Elektoralna 12

Tramwaje Warszawskie zapraszają do Wirtualnego Muzeum Tramwajów. Dzięki Internetowi można zobaczyć aż osiem wagonów – najstarszy z czasów cara Mikołaja II, z 1905 r., unikatową „parówkę" z lat 60., tramwaj kabriolet z lat 30. czy wagon techniczny z lat 20. Aby rozpocząć oglądanie, wystarczy wejść na „wizytówkę" Tramwajów Warszawskich w Mapach Google albo znaleźć zajezdnię na Woli i najechać figurką widoku ulicznego na teren zakładu.

W ramach Mobilnej Sceny Muzycznej Wolskiego Centrum Kultury od sierpnia do grudnia można posłuchać wykonawców, którzy nie należą do żadnej wytwórni fonograficzne. Koncerty odbywają się w przestrzeni miejskiej Woli lub na scenie Wolskiego Centrum Kultury. Najbliższe koncerty: **11 października** (Klara i Mati) i **18 października** (NotONTime). Wejściówki: otwartakolonia@wck-wola.pl.

Służewski Dom Kultury zaprasza na coroczny przegląd filmów etnograficznych *Oczy i obiektywy* organizowany przez Koło Naukowe Studentów Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW „Etno" oraz Stowarzyszenie Pracownia Etnograficzna im. Witolda Dynowskiego. **Od 23 do 26 października**

Koncerty mistrzów

18. Konkurs Chopinowski przełożony został na przyszły rok. W zamian Narodowy Instytut Fryderyka Chopina zaprasza od 1 października na cykl mistrzowskich recitali i koncertów kameralnych, w ramach których wystąpią najwybitniejsi pianiści poprzednich edycji konkursu. Koncertować będą m.in. Seong-Jin Cho (zwycięzca z 2015), Nelson Goerner, Lukas Geniušas, Yulianna Avdeeva (zwyciężczyni z 2010), Philippe Giusiano (zwycięzca z 1995), Kevin Kenner (zwycięzca z 1990). 17 października, w rocznicę śmierci Fryderyka Chopina, w bazylice św. Krzyża, wystąpi Szymon Nehring (wyróżniony w 2015). Poezję Cypriana Kamila Norwida i Czesława Miłosza recytować będzie Jan Englert. Koncerty odbędą się w Sali Koncertowej Filharmonii Narodowej i wszystkie poza koncertem w bazylice św. Krzyża będzie można obejrzeć i wysłuchać online. Pełen program: nifc.pl

Scena 20

Stołeczny teatr Ateneum wzbogacił się o nową scenę. Czwarta scena Ateneum mieści się przy Wybrzeżu Kościuszkowskim 35, w budynku Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jest bardzo nowoczesna, dysponuje bogatym zapleczem technicznym i 222 fotelami na widowni. Kosztowała 10,5 mln zł. Całość przedsięwzięcia została sfinansowana z budżetu Miasta. Działalność Sceny 20 zainaugurowała premiera *Kwartetu* Ronalda Harwooda w reżyserii Wojciecha Adamczyka. W obsadzie: Magdalena Zawadzka, Marzena Trybała, Krzysztof Gosztyła, Krzysztof Tyniec.

REKLAMA

ANTYKWARIAT KWADRYGA

ANTYKWARIAT KWADRYGA KUPI KSIĄŻKI, STARE POCZTÓWKI, FOTOGRAFIE, MAPY I GRAFIKI.

DOJEŻDŻAMY DO KLIENTÓW NA TERENIE CAŁEJ POLSKI. WYCENIAMY KSIĄŻKI. PŁACIMY GOTÓWKĄ. TEL. 22 622 11 54

SZCZEGÓLNIE INTERESUJĄ NAS:
książki przedwojenne • naukowa literatura humanistyczna (filozofia, historia, sztuka, prawo)
pierwsze wydania poezji • wydania emigracyjne • oprawy artystyczne • autografy.

Zapraszamy do kontaktu. Antykwariat Kwadryga • ul. Wilcza 29A lok. 25 • Warszawa • tel. 22 622 11 54

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY | JEDNOSTKA ORGANIZACYJNA SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO | Mazowsze. serce Polski

Raport: Re(animacja) kultury w okresie pandemii

Diagnoza strategii i uwarunkowań działań animatorów i edukatorów kultury w czasie zamknięcia instytucji edukacji i kultury w związku z epidemią COVID-19

Mazowiecki Instytut Kultury zaprasza do zapoznania się z raportem o sytuacji zawodowej animatorów i edukatorów kultury w trakcie pandemii. Zaprezentowano w nim doświadczenia mazowieckich animatorów, edukatorów, dyrektorów instytucji kultury oraz przedstawicieli organizatorów kultury. Szczególnie zachęcamy do zapoznania się z dobrymi praktykami zawodowymi oraz rekomendacjami wywiedzionymi z diagnozy.

Raport powstał na podstawie wywiadów indywidualnych i grupowych oraz ankiet internetowych przeprowadzonych od 4 czerwca do 7 lipca 2020 r. Uczestnicy badania – mazowieccy animatorzy i edukatorzy kultury, kadra zarządzająca instytucjami kultury oraz przedstawiciele jednostek samorządu terytorialnego – opowiedzieli o swojej pracy w trakcie izolacji społecznej oraz o decyzjach podjętych wobec utrzymujących się restrykcji i anormalnego, względem czasu sprzed pandemii, trybu działania podmiotów kultury.

W opinii uczestników badania kluczowe są wyzwania związane z utrzymaniem relacji ze społecznościami lokalnymi, stworzeniem właściwych warunków do pracy zdalnej, wypracowaniem jakościowej oferty dostosowanej do potrzeb i możliwości odbiorców, budowaniem sieci wsparcia online oraz pokonaniem barier kompetencyjnych, budżetowych i narzędziowych.

Dużą przeszkodą – zarówno dla animatorów i edukatorów zatrudnionych na stałe w instytucji kultury, jak i wykonujących swój zawód na podstawie innych form zatrudnienia – jest brak środków na zakup wyposażenia oraz oprogramowania do tworzenia materiałów edukacyjnych (w tym płatnych licencji do działań online). Problemy te dotykają w znacznym stopniu także instytucje kultury.

Istotną konkluzją z diagnozy jest potrzeba ciągłego budowania prestiżu zawodu animatorów i edukatorów kulturowych i podkreślania ich niezwykle potrzebnej, więziotwórczej, dającej poczucie bezpieczeństwa roli społecznej. Sytuacja pandemii uwypukliła niezrozumienie idei pracy animatorów i edukatorów kulturowych oraz problemy dotyczące tego środowiska zawodowego (m.in.: brak stałego zatrudnienia, praca na „umowy śmieciowe", niestabilny charakter współpracy z instytucjami kultury).

W opinii badanych nowe narzędzia, kompetencje, metody pracy i praktyki działań online są niezbędne w zawodzie animatora pracującego ze społecznościami lokalnymi wobec współczesnych wyzwań i problemów. Podjęcie tego wysiłku wymaga nakładu środków, czasu i odpowiednich warunków współpracy z podmiotami i organizatorami kultury. Równie istotna jest refleksja nad standardami i jakością działań animatorów i edukatorów oraz równowaga działań edukacyjnych „na żywo" i „online".

Najważniejszym zadaniem i zarazem największym wyzwaniem pozostaje, by w gąszczu działań, decyzji, procedur bezpieczeństwa nie tracić z oczu społeczności lokalnych i umożliwić animatorom i edukatorom rozpalać w nich iskrę zaangażowania i chęci działania.

Projekt został zrealizowany przez Mazowiecki Instytut Kultury w ramach programu badawczego Mazowieckie Obserwatorium Kultury finansowanego ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego.

Badanie jest dostępne na stronie www.mazowieckie-obserwatorium.pl/badania.

Badania na zlecenie MIK przeprowadziła Fundacja Obserwatorium. Działania badawcze realizowane były przy współpracy Instytutu Kultury Polskiej UW, Federacji Mazowia, Forum Kultury Mazowsze oraz Miejskiego Ośrodka Kultury Amfiteatr w Radomiu.

Zachęcamy do zapoznania się z raportem.

Dybuk żydowski i bardzo **polski**

Tomasz Miłkowski

Podczas tegorocznego XVII Festiwalu Kultury Żydowskiej Warszawa Singera odbyła się konferencja naukowa *Teatr zawsze grany* z okazji 70-lecia istnienia Teatru Żydowskiego im. Estery Rachel i Idy Kamińskich oraz pierwsza publiczna prezentacja książki Szymona An-skiego *Cwiszn cwej weltn, oder der Dibek / Dybuk. Między dwoma światami* wydanej przez wydawnictwo ADiT. Co ciekawe, tekst w książce publikowany jest w dwóch wersjach językowych: po polsku, w przekładzie Michała Friedmana, oraz w jidysz

W tym roku, 9 grudnia, upłynie 100 lat od prapremiery *Dybuka* Szymona An-skiego (taki pseudonim obrał Szlojme Zajnwel Rapoport) w warszawskim teatrze Elizeum w podziemiach budynku przy ul. Karowej 18. Spektakl wystawiała Trupa Wileńska w języku jidysz pod kierunkiem Dawida Hermana.

Spektakl okazał się wielkim sukcesem zespołu. *Dybuka* Trupa Wileńska zagrała w Polsce 200 razy. Powodzenie utorowało dramatowi An-skiego drogę na sceny w wielu krajach. Szybko doszło do prapremiery polskiej (1925, reż. Andrzej Marek), posypały się przekłady (dosłownie, bo przed wojną były aż cztery, w tym jeden dokonany z wersji hebrajskiej, a po wojnie kolejne cztery, w tym poetycki, wolny przekład Ernesta Brylla, wykorzystany we własnym przedstawieniu przez Andrzeja Wajdę, 1988). Rzadko kiedy dramat obcojęzyczny – poza dziełami Shakespeare'a – cieszy się takim zainteresowaniem tłumaczy.

Sam An-ski nie doczekał się premiery swego utworu, który nazywał „realistyczną sztuką o mistykach żydowskich". Kiedy przedstawił ją jako lekturę gronu swych warszawskich przyjaciół, spotkał się z dość ostrą krytyką, która – tak głosi legenda – miała przyspieszyć jego zgon. Krytyczni przyjaciele, w tym aktor Abraham Morewski, przysięgli, że wkrótce dramat wprowadzą na scenę. I słowa dotrzymali. Sam Morewski, grający w przedstawieniu Trupy Wileńskiej cadyka z Miropola – jak zgodnie oceniali krytycy – wspiął się na wyżyny scenicznego artyzmu. Sukces ten powtórzył w wersji filmowej *Dybuka* Michała Waszyńskiego (1937). Morewski wrócił też do *Dybuka* po wojnie jako pierwszy jego reżyser w Państwowym Teatrze Żydowskim (1957).

Bujne życie sceniczne *Dybuka* jednoznacznie przesądziło, że to dramat wysokiej próby, że opowieść o miłości Lei i Chanana, sięgającej za grób, zanurzona w mistyce żydowskiej i polskich tropach romantycznych, o zabójczej mocy przysięgi, o przeznaczeniu dusz, obcowaniu żywych i umarłych – dalece przekracza horyzont melodramatu. To raczej opowieść o odwiecznych zmaganiach dobra i zła, o potędze uczuć i niepodległości ludzkiego ducha. Mickiewiczowskie konteksty *Dybuka* dostrzegało wielu badaczy i krytyków – Tadeusz Boy-Żeleński w „posępnym kochanku" Chananie rozpoznał Gustawa z *Dziadów*.

O wielu wątkach i powinowactwach, które łączą *Dybuka* z *Dziadami* pisze wnikliwie Anna Kuligowska-Korzeniewska w studium poprzedzającym polski przekład *Dybuka* Michała Friedmana i jego wersję w jidysz, wydane razem w tomie *Cwiszn cwej weltn, oder der Dibek / Dybuk. Między dwoma światami* nakładem Agencji Dramatu i Teatru ADiT. Książka zawiera obszerny wybór teatralnych fotosów dokumentujących dzieje *Dybuka*, w tym jego losy na scenie Teatru Żydowskiego, a także biogramy An-skiego i jego tłumacza (pióra Marka Friedmana). Całość poprzedzona została wstępem Gołdy Tencer, która sugestywnie komentuje swoje związki z dramatem An-skiego (*Moje życie w* Dybuku).

Przekład Michała Friedmana, dokonany z jidysz, po raz pierwszy ukazuje się drukiem, choć już wielokrotnie był wykorzystywany w teatrze, w spektaklach Waldemara Zawodzińskiego (1993), Agnieszki Holland (1999, Teatr TV), Krzysztofa Warlikowskiego (2003), Mariusza Grzegorzka (2010), Mai Kleczewskiej (2015); był też dostępny jako e-book.

Warto przypomnieć za Anną Kuligowską-Korzeniewską, że An-ski napisał *Dybuka* po rosyjsku, a związki tego dramatu z rosyjską tradycją teatralną są nie do pominięcia. To właśnie rosyjski oryginał konsultował autor z Konstantinem Stanisławskim, pod którego wpływem dramat udoskonalił, wzbogacając o motywy poetyckie i mistyczne, m.in. o postać tajemniczego posłańca bożego Meszulacha (postaci tej pierwotnie w dramacie nie było, a znalazła się dopiero w wersji jidysz). Istniała także wersja hebrajska, a ponieważ oryginał w jidysz miał An-skiemu zaginąć, ponownie tłumaczył swój dramat z hebrajskiego. Polskie przekłady bazują głównie na wersji w jidysz, choć istnieje także przekład z hebrajskiego i przekłady z rosyjskiego, wykorzystywane w badaniach porównawczych.

Udostępniany teraz w książce przekład Friedmana wraz z oryginałem w jidysz to najwspanialszy wyraz wdzięczności dla Michała Friedmana, twórcy niezwykle zasłużonego dla zbliżenia Polaków i Żydów. Zwłaszcza że *Dybuk* tak głęboko wrósł w polską kulturę, w szczególności w teatr. Jego echo dochodzi do głosu przede wszystkim w dramatach i powieściach dotykających tematyki polsko-żydowskiego pojednania. Do takich utworów należy *Przylgnięcie* Piotra Rowickiego (2008), świetnie napisany dramat o dybuku żydowskiej dziewczynki zamordowanej podczas okupacji, która zamieszkawszy w ciele cwaniaka i złodzieja, odmienia jego duszę, czy *Noc żywych Żydów* Igora Ostachowicza – powieść (2012) i jej adaptacja (2014), które przypomniały Warszawę jako miasto pełne duchów i dybuków, niezabliźnionych ran Holokaustu, czy też *Dybuk z ulicy Piotrkowskiej*, powieść Szymona Koprowskiego (2018), na łamach której autor rysuje niecukierkowy obraz relacji polsko-żydowskich na tle swej ukochanej Łodzi. *Dybuk* zawędrował nawet do kabaretu – dwukrotnie gościł w tytule Pożaru w Burdelu Michała Walczaka i Macieja Łubieńskiego (*Inwazja dybuków*, 2014), stał się medium scenariusza Igora Karpowicza o dzisiejszych lękach młodzieży i odrzuceniu w bydgoskim spektaklu Anny Smolar (2015) czy spoiwem wcześniejszego scenariusza spektaklu *Świątynia – Dybuk. Legendy żydowskie* Renaty Jasińskiej we wrocławskim teatrze Arka (2011). Jak więc widać, *Dybuk* posiada liczne potomstwo, ale to już temat na osobne opowiadanie o wypieranych i powracających traumach.

Szymon An-ski, *Cwiszn cwej weltn, oder der Dibek / Dybuk. Między dwoma światami*, przekład Michał Friedman, wstęp i redakcja naukowa prof. dr hab. Anna Kuligowska-Korzeniewska, wyd. Agencja Dramatu i Teatru ADiT, Warszawa 2020

REKLAMA

Najnowsza publikacja
Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

Warszawa.
Luźne kartki z przeszłości Syreniego Grodu

Ferdynand Hoesick

Dokładnie po stu latach od pierwszego wydania Narodowy Instytut Fryderyka Chopina prezentuje uzupełnioną o liczne przypisy, słownik biograficzny, indeksy oraz obszerny wstęp redaktorki książkę Ferdynanda Hoesicka „Warszawa. Luźne kartki z przeszłości Syreniego Grodu". Charakterystyczna, gawędziarska narracja Hoesicka pozwala na zanurzenie się w dziejach XIX-wiecznej Warszawy. W kilkunastu tekstach uzupełnionych o piękne ilustracje czytelnik poznaje m.in. losy pierwszego konserwatorium muzycznego w stolicy czy opowieści o obyczajach jej mieszkańców w relacjach polskich literatów (m.in. Juliusza Słowackiego).
Warszawa w książce Hoesicka jawi się jako scena, na której rozgrywają się przedemigracyjne losy Fryderyka Chopina.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

www.sklep.nifc.pl

Wojna i **detektywi**

Paweł Dunin-Wąsowicz

Reklama towarzysząca tego lata wydaniu powieści Grzegorza Kalinowskiego *Granatowy 44* o przygodach oficera polskiej policji kryminalnej Generalnego Gubernatorstwa podczas Powstania Warszawskiego jest trochę na wyrost – może sugerować, że właśnie przełamane zostało pewne tabu

Powieści sensacyjne – i wręcz detektywistyczne – mające wojenne tragedie warszawskie w tle, to wcale nie nowość. I nie chodzi tu o wydaną tuż po wojnie *Cafe pod Minogą* Wiecha, gdzie ekipa Maniusia Kitajca usiłuje dobrać się do skarbu pozostawionego w 1939 r. przez amerykańskiego szefa czarnoskórego szoferaka Jumbo, lecz o kilka innych książek.

Przy tym kojarzenie „granatowego" podkomisarza Wincentego Rybskiego z wcześniejszymi kryminałami Kalinowskiego to trochę ślepy trop. Bo o ile kryminały retro umiejscawiane były w międzywojniu – jak trzy części łotrzykowskiej powieści tego autora *Śmierć frajerom* i jego trylogia o komisarzu Kornelu Strasburgerze – to najbardziej tragiczne wydarzenia z dziejów Warszawy jakoś nie pasują jako tło dla śledztw wokół zwyczajnych zbrodni. Przedwojenny oficer policji, wychowanek szefa specjalnej brygady śledczej Strasburgera, w retrospekcjach z okupacji zajmuje się nie tyle dochodzeniami w sprawach morderstw, ile zabijaniem lub zlecaniem zabijania szmalcowników czy innych kolaborantów. Także podczas Powstania Warszawskiego jego prace należy powiązać raczej z kontrwywiadem – likwidacją szpiegów przy zwróceniu szczególnej uwagi na sowiecką infiltrację.

Powstańcze śledztwa

Kazimierz Korkozowicz zapisał się głównie jako autor powieści historycznych – na podstawie jednego z jego cykli powstał serial *Przyłbice i kaptury*. Wydawał jednak także kryminały. W antykwariatach dość często można natrafić na opublikowaną w 1976 r. jego powieść *Maruta*. To zapis notatek ze znalezionego rzekomo brulionu podchorążego AK Bitnego – powstańca detektywa. Ówże Bitny we wrześniu 1944 r., po opuszczeniu z dowodzonym przez siebie oddziałem Starego Miasta i przybyciu na kwaterę w ostatniej niezburzonej kamienicy przy jednej z ulic w Śródmieściu Południowym, przeprowadza regularne śledztwo wśród mieszkańców domu, po zastrzeleniu Surmy, członka swej drużyny, przez snajpera „gołębiarza". By go zidentyfikować, Bitny przesłuchuje wszystkich podejrzanych mężczyzn z posesji, zaś na balkonie, skąd „gołębiarz" zwykł strzelać, wysypany zostaje ukradkiem fioletowy gips dla oznaczenia butów osób odwiedzających to miejsce. W urządzonej na „gołębiarza" zasadzce zadźgany zostaje Gnat – kolejny żołnierz Bitnego – i nie jest to ostatnia ofiara porachunków w domu, w którym działa jednocześnie niemogący się ujawnić oficer kontrwywiadu. Na dodatek ten ostatni i Bitny romansują z tytułową Marutą, łączniczką.

Bitny to pseudonim; wiadomo, że podchorąży ma na imię Andrzej. Co interesujące, dowódcą odcinka jest major Garda – czyżby tożsamy z oficerem policji z wcześniejszych kryminałów Korkozowicza noszącym to nazwisko?

Miejsce akcji *Maruty* jest niedookreślone. Inaczej dzieje się w wydanej 36 lat później powieści *Ostatni dzień lipca* Bartłomieja Rychtera, który podobnie jak inni XXI-wieczni autorzy kryminałów retro starał się przywiązywać większą wagę do realiów. Bohaterem jego książki jest Antoni Chlebowski – adwokat prowadzący podczas Powstania Warszawskiego prywatne śledztwo w sprawie śmierci radiotelegrafistki Zosi, która w przeddzień wybuchu zrywu wypadła z okna kamienicy przy Hożej i poniosła śmierć. Chlebowski był świadkiem wydarzeń i słyszał ostatnie słowo denatki – „dziennik". Badając okno, którego kawałek tekturowego wypełnienia trzymała Zosia, stwierdza, że dziewczyna została wypchnięta i że sprawcami nie mogli być śledzący ją gestapowcy. Kiedy dowódca Zosi wobec rozpoczęcia akcji „Burza" odmawia szybkiego zajęcia się wyjaśnieniem sprawy, Chlebowski bierze temat we własne ręce. Już po godzinie „W" dociera do mieszkania Zosi przy ul. Szopena 7 [dla ulicy wytyczonej w 1895 r. przyjęty był fonetyczny zapis nazwiska Fryderyka Chopina – red.] i z udostępnionego przez matkę dziennika dowiaduje się o romansie dziewczyny, jak też o tym, kto zakazał jej przekazania przedostatniego meldunku. Trop prowadzi na ul. Żytnią 14, gdzie toczą się ciężkie walki – i tam właśnie rozgrywają się tragiczne finałowe sceny śledztwa Chlebowskiego, z rozwiązaniem zagadki łączącej wątek szpiegowski i osobisty.

Kalinowski w *Granatowym 44* (podobnie jak w kryminałach z międzywojnia) z realiami radzi sobie doskonale – miejscami można mieć wrażenie, że aż za dobrze. Powstańczy szlak Rybskiego obejmuje najbardziej znane lokacje i atrakcje historyczne – podkomisarz jest 1 sierpnia na Żoliborzu podczas przedwczesnej strzelaniny na rogu Krasińskiego i Suzina, w Śródmieściu, kiedy odbywają się pierwsze szturmy na PAST-ę, na Woli w kwaterze dowództwa w fabryce Kamlera przy Dzielnej, na Starówce, gdy wybucha czołg pułapka, w kanałach do Śródmieścia i na Mokotów, wreszcie na

Czerniakowie, skąd płynie na praski brzeg. Prawnikowi z Sanoka, Rychterowi, na etapie dokumentacji powieści *Ostatni dzień lipca* pomieszały się, niestety, dwie warszawskie fabryki tytoniowe – na Woli i Ochocie. Wskutek ignorancji autora jego ranny bohater, wyruszając ze Starówki, ma osiągnąć okolice Kaliskiej, a dociera raczej w rejon Dzielnej.

Golem i spółka

Dzielna i Żytnia to ulice graniczące z obszarem getta. Przed jego ostateczną likwidacją po powstaniu kwietniowym 1943 r. i przed rozbiórką ruin podpalanych wówczas kamienic, z których Niemcy wypędzali ogniem ostatnich Żydów, rozgrywa się akcja wydanej w 2011 r. powieści *Anagramy z Warszawy* amerykańskiego pisarza żydowskiego pochodzenia Richarda Zimlera. Podobnie jak w przypadku *Maruty* Korkozowicza jej zasadniczy korpus to rzekomy apokryf – znaleziony w mieszkaniu na Muranowie zapis relacji Erika Cohena – psychiatry prowadzącego w 1941 r. prywatne śledztwo w warszawskim getcie. Próbuje on odnaleźć zabójcę swego dziewięcioletniego stryjecznego wnuka Adama Linskiego, którego zwłoki znaleziono na drutach kolczastych przy Chłodnej bez nogi oderżniętej w kolanie. Sprawa nabiera ponadosobistego charakteru, gdy doktor Cohen dowiaduje się o trupie 15-letniej Anny Lewin, znalezionym tamże na drutach, dla odmiany z odciętą ręką. Choć przyjaciel podsuwa mu fantastyczny motyw golema, stary racjonalista odkrywa, że zamordowanych łączą podobne znamiona na odciętych kończynach. Miała też takie trzecia ofiara – zaginiony małoletni żongler spod Feminy.

Dochodzenie odbywa się przede wszystkim w dzielnicy zamkniętej, ale Cohen przekrada się także na stronę aryjską (jej topografia może dziwić – ulica Wilcza znajduje się na Starym Mokotowie, przy Spacerowej jest zaś sklep jubilerski, spod którego psychiatra ucieka ulicą Szucha ku Rakowieckiej). Bohater posługuje się jako detektyw anagramem nazwiska Honec, przez co brany jest za Czecha. Niespodziewane zaproszenie na konsultację psychiatryczną, złożone przez żonę niemieckiego dygnitarza, przybliża go do rozwiązania zagadki.

Po zidentyfikowaniu zabójcy Cohen zwabia tegoż do kościoła św. Floriana na Pradze, gdzie zostaje mu wymierzona sprawiedliwość. Powróciwszy do getta, dyktuje swoje wspomnienia, ponieważ przeczuwa, że nie będzie mu dane przeżyć – w rzeczy samej zostaje powieszony w Lublinie.

Motyw golema pojawia się także w wydanej w zeszłym roku powieści *Głos przeszłości* Zbigniewa Zborowskiego, mającego – podobnie jak Kalinowski – w dorobku kilka kryminałów solidnie ulokowanych w warszawskich realiach. Golemem nazywany jest w tym przypadku morderca młodych kobiet w getcie – ma ich już osiem na koncie (ostatnio na Mylnej). Były wiązane, torturowane, gwałcone, zmarły z wykrwawienia, ale obok zwłok nie znajdowano śladów krwi. Detektywem w powieści Zborowskiego jest Andrzej Bartycki – przedwojenny starszy przodownik policji z „czwórki" (techniki śledczej) – choć przyjął chrzest, znalazł się jako Żyd z urodzenia w dzielnicy zamkniętej i pracuje tu w przedsiębiorstwie pogrzebowym Pinkerta, mimo że proponowano mu służbę w Żydowskiej Służbie Porządkowej. Do wyśledzenia Golema namawia go szef ŻSP [Józef Andrzej] Szeryński [właśc. Szenkman lub Szynkman], ale po jego aresztowaniu następca [Jakub] Lejkin (obie postacie autentyczne) nie jest zainteresowany wynikami dochodzenia Bartyckiego, bo oficjalnie ŻSP nie ma prawa prowadzenia śledztw. Bartycki ustala, że Golem morduje zawsze w środy – jego zdaniem to szmalcownik Ryszard Sychta, przychodzący do getta z bańką na mleko. Łapie go w piwnicy przy ul. Ciepłej 10 z wezwanym przez córkę Cylę polskim konspiratorem Jerzy Popławskim – ale Sychta wskazuje ciało Zysmana Hilicza z osławionej w getcie „trzynastki" (rzekomy wydział walki ze spekulacją) jako Golema, którego właśnie zastrzelił. Golem działa jednak nawet po Wielkiej Akcji, czyli wywózce większości mieszkańców getta latem 1942 r. do kremiatoriów Treblinki. Bartycki zostaje znaleziony powieszony w kotłowni szopu Schultza (ul. Nowolipie 42) obok zwłok syna Adama z listem pożegnalnym, wyjaśniającym, że Golemem był właśnie jego syn, którego musiał zabić – a następnie siebie.

***

Co przychodzi na myśl, kiedy czyta się sensacyjne powieści lokowane w najtragiczniejszych realiach wojennej Warszawy? U Kalinowskiego i Rychtera pojawiają się sugestie antypolskich działań nominalnie sobie wrogich wywiadów nazistów i sowieciarzy. Z kolei dostępność danych związanych z wizerunkiem miasta – zarówno wspomnień, jak np. portalu warszawa1939.pl – zdaje się dowodzić, że te sensacyjne powieści coraz mocniej bazują w odwołaniu do konkretnych adresów. I jeszcze jedno – wyjąwszy Rychtera, wszyscy pozostali autorzy cytowanych książek publikowali je już jako ludzie ponadpięćdziesięcioletni. Starsi niż Sylwia Chutnik, Igor Ostachowicz, Wojciech Orliński czy Piotr Paziński, piszący jako 30-40-latkowie fantastykę o gettowych duchach.

SPACERKI **ST. OLICY**

Stanisław Olica, w skrócie St. Olica, jest warszawiakiem z krwi i kości, z dziada pradziada, i nic, co warszawskie, nie jest mu obce. Spacery z nim po Warszawie Marii Terleckiej zastąpią nam jej zapiski z *Notatnika miastoluba*

Niegdysiejszy szyk

Maria Terlecka

Wciepły sierpniowy dzień w perspektywie Nowego Światu wypatrzyłam mężczyznę w kapeluszu. Wyróżniał się wśród przechodniów. Okazało się, że to St. Olica, który bez tego nakrycia głowy z domu się nie rusza. Powitał mnie serdecznie, uchylając letniego kapelusza.

rys. Maria Terlecka

Usiedliśmy na pogawędkę w kawiarnianym ogródku. Sącząc zimny napój, gawędziliśmy o... nakryciach głowy. Powiedziałam St. Olicy, że jest staroświecki, nieco przedwojenny. Nie zaprzeczył. Rozmowa potoczyła się na temat wyglądu międzywojennej warszawskiej ulicy. Na zdjęciach z tego czasu widać, że mężczyźni nie pokazywali się na mieście bez kapeluszy. Robotnicy i biedota też nie chodzili z gołymi głowami. Przedwojenne kobiety nie paradowały bez fikuśnych kapelusików, toczków, a nawet okazałych kapeluszy. Berety to raczej moda czasu okupacji. Po wojnie kobiety nosiły chustki lub to, co ocalało z dawnych czasów. Mężczyźni donaszali czapki z demobilu, sprzed wojny, dary z zagranicy. Dziś Internet pokładałby się ze śmiechu, gdyby prezydent i ministrowie paradowali w kapeluszach! Jan Rokita nie pokazywał się ludziom bez kapelusza; miał własny, niepowtarzalny styl, wyróżniał się na tle „gołogłowych".

Przechodnie przedwojennej ulicy nosili się szykownie, elegancko, dbali o formę. Modna była laseczka – atrybut wytwornego pana. Dziś z laseczką chodzi ten, kto ma kłopoty z chodzeniem. No, chyba że jest Jackiem Dehnelem! Jest takie zdjęcie, chyba z ulicy Nowy Świat: siedzą goście przy kawiarnianym stoliku, kobieta w toczku, mężczyźni w kapeluszach, obok, na chodniku, stoi chłopak bosy, za to... w czapce. Wieś chodziła boso, ale nigdy bez nakrycia głowy. Są fotografie z targowisk: okutane w chusty baby, handlarze czapkach, kapeluszach. Mogło zabraknąć na buty, ale nigdy na nakrycie głowy!

Kiedyś w USA kapelusz na głowie to był szyk, ważny atrybut męskości. Na obrazach amerykańskiego malarza Edwarda Hoppera kobiety i mężczyźni siedzą w barach w kapeluszach. Za oceanem sztuka filmowa opierała się w dużej mierze na tym właśnie rekwizycie: zdejmowanie, zakładanie, wieszanie, zsuwanie na tył głowy albo strzelanie doń z colta...

Wracamy do Warszawy. St. Olica stwierdził, że obecnej warszawskiej ulicy brakuje formy. Na starych fotografiach nie widać nerwowości, jakby nikomu donikąd się nie spieszyło. Sposób poruszania się, ubierania, noszenia kapeluszy, laseczek, małych torebeczek, kapelusików był w opozycji do pośpiechu. Na przedwojennej ulicy nie widać ludzi z tobołami, siatami, torbami. Nie robili zakupów? Przecież nie wszyscy mieli służące! Na starych fotografiach widać koncentrację przechodniów na tym, co właśnie trwa, jakby ważna była ta chwila, ten spacer, ta okoliczność. W lokalach kobiety nie zdejmują kapeluszy, mężczyźni siedzą z gołymi głowami, ich kapelusze wiszą na wieszakach, w szatni.

Wojna przeorała dawny szyk, sposób ubierania się. Miasto w gruzach, ludzie donaszają, co ocalało, przerabiają stare na nowe, wszystko jest byle jakie, szare. I raptem w tej nędzy pojawiają się w latach 50. Starsi Panowie Dwaj – z przedwojennym szykiem, dowcipem, elegancją – i przenoszą ludzi w dawny czas. Kabaret Starszych Panów im starszy (jak dobre wino), tym „smaczniejszy".

Gdy opuściliśmy kawiarniany ogródek, lato nadal trwało, kobiety w sukienkach, spodniach, upstrzonych najmodniejszymi dziurami, leginsach, które St. Olica porównał do... kalesonów. Niech pan nie przesadza! – powiedziałam. St. Olica uchylił ronda kapelusza i wtopił się w uliczny tłumek. ■

Ach, bo przed wojną...

Jacek Fedorowicz

J. Roqueblave

Jak wyglądało życie codzienne przedwojennych warszawian? Ooo, na pewno nie tak, jak sobie wyobrażałem przez wiele lat na podstawie domowych opowieści. Polska międzywojenna była w nich mocno przeidealizowana, co było naturalną reakcją na potężną traumę, jaką dla przeciętnej inteligenckiej rodziny stała się gwałtowna i niespodziewana utrata niepodległości. Na całe pół wieku, jak obszył. Łatwo mi było uwierzyć w opowieści o utraconym raju. Szczególnie że władza ludowa od początku obrzydzała całe przedwojnie, a skoro obrzydzała, znaczyło, że przed wojną musiało być wspaniale. Po Gomułkowskim przełomie 1956 przedwojnie na chwilę wróciło do łask i w wielu głowach utrwalił się obrazek beztroskiej rozbawionej Warszawy, pełnej kabaretów, dancingów, teatrów, kin i wspaniałych restauracji. „Paryż wschodu". W miarę jak doroślałem, obrazek zaczynał nabierać nieco właściwszych proporcji. Dotarło do mnie, że nie wszystkim mogło być wesoło i że II RP niedługo przed swym tragicznym końcem nie była wzorem demokracji. O moim przypadku zechciejcie pamiętać, dzisiejsi młodzieńcy, gdy będziecie za pół wieku wspominać z sentymentem lata 2015-2020.

rys. Jacek Fedorowicz

Wiele elementów życia codziennego Warszawy przedwojennej mogłem oglądać na własne oczy w Warszawie przedpowstaniowej, a i po wojnie też, bo wiele z tego, co stare, trwało jeszcze długo. Różnice między dawniej a dziś, wynikające z rozwoju cywilizacji, są dość oczywiste, ale dorzuciłbym jeszcze dwa rzadko wspominane drobiażdżki: 1. Pardon, ale smród i 2. Fitness wymuszony.

Ad. 1. Niemiłych zapachów nikt nie wspomina, bo pewnie wszyscy byli przyzwyczajeni i nie odczuwali ich boleśnie. A one były z całą pewnością. Konie, wszechobecne w komunikacji miejskiej, nie uczęszczały do toalet. Rynsztoki wzdłuż ulic były z reguły głębokie i płynęło nimi wszelkie świństwo. Rzeźnie były w mieście, a nie poza miastem. I tak dalej. Pamiętam patroszenie drobiu, któremu towarzyszył smrodek dobiegający z kuchni, to nie były czasy „odpostaciowionego" mięska, grzecznie zapakowanego w szczelne folie. No i wreszcie papierosy. Plus fajki, cygara, cygaretki i skręty. Palili wszyscy i wszędzie. Chmury dymu w każdej kawiarni, w biurze, na ulicy. Chyba że wiało. Nikt nie podejrzewał (włącznie z lekarzami!), że to może komuś zaszkodzić. Tytoń był podstawowym artykułem spożywczym, a amerykańskie papierosy szczytem luksusu. Pamiętam rozpacz Dziadka, któremu bezmyślnie zgniotłem ćwiartkę amerykańskiego papierosa odłożoną przy popielniczce na później.

Ad. 2. Rano trzeba napalić w piecu, w lecie przynajmniej w kuchni, przedtem przynieść węgiel z piwnicy, windy nie są zjawiskiem masowym. Zakupy lub walizy trzeba dźwigać, bo nikt rozsądny nie próbowałby toczyć czegoś na malutkich kółkach po warszawskich kocich łbach. W pracy biurowej co chwila odkładamy pióro, wstajemy, by wziąć z półki ciężkie papierzyska. Dziś całe biuro można nosić w kieszeni w pendrivie, ułatwienia cywilizacyjne zastępują nam naturalną gimnastykę, którą kiedyś uprawialiśmy codziennie, nie zdając sobie sprawy z tego, że uprawiamy. Dopiero niedawno zauważyliśmy, że nadmiar ułatwień jest groźny dla zdrowia i rzuciliśmy się na siłownie. Z obowiązkowym dojazdem na rowerze.

Wspomnę jeszcze charakterystyczny widoczek, który trwał dość długo po wojnie. Otóż na Marszałkowskiej, Nowym Świecie i na innych chodnikach w centrum uwijali się fotografowie, przed którymi trzeba było uciekać, jeżeli się nie miało pieniędzy lub ochoty na pamiątkowe zdjęcie. O! Zdjęcia przypomniały mi jeszcze Fotoplastikon w Alejach Jerozolimskich. Przetrwał do dziś. Nie przetrwała tylko jego wysoka pozycja w krainie warszawskiej rozrywki. Bo dawniej o tym, co akurat wyświetla Fotoplastikon, informowały gazety codzienne w rubryce *Repertuar kin...* ■

Grochoturystyka

Przemysław Śmiech

Staliśmy sobie z mojem sąsiadem, panem Benkiem Baryłko, przy trzepaku, rozmawiając się apropos warunków atmosferycznych, czyli że skwar, jak również gorąc, i że z związku z tem może by jakieś pifko, gdy oto przed naszem zwrokiem ukazał się inny nasz sąsiad, pan Ambroży Keks. Był galanto odstawiony pod względem garderoby zwierzchniej, a jego facjate spowijał uśmiech.
– Szaconek! Co pan taki zadowolniony? – zagaiłem.
– Za byznesmenta się zostałem – odpowiedział z dumą pan Ambroży.
– Kolumne Zygmunta pan opyliłeś?
– Skąd.
– Trzy karty i inne rozrywki umysłowe?
– W życiu.
– Pokątna produkcja ankoholiczna?
– No co pan.
– To co to za jenteres, mów pan, bo mie coś trafi! – uniósł się pan Benek.
– Grochoturystyka! – odpowiedział pan Ambroży.
– Czyli że co? – zapytałem.
– Czyli że klawe przechadzki po Grochowie.
– Po Grochowie? A co pan tej stonce u nas pokażesz? – zagaił pan Benek.
– Życie – odpowiedział pan Ambroży i uśmiechnął się całem przerzedzonem garniturem.
– Ale jakie życie, sąsiedzie złociutki? – tem razem mie już nerwy opuścili.
– Prawdziwe. Z mordobiciem, pyskówkami, nadużywaniem monopolowem!
– I to ludzie chcą oglądać? Mają takie występy na co dzień! – zawołałem.
– Niektórzy nie mają. Na ten przykład krakusy – odpowiedział pan Ambroży. – W taki sposób krakowiaki przyjeżdżają do nas! Zobaczyć, jak wygląda surowa grochoska rzeczywistość. I grube forse za to zapłacić.
– A kiedy te krakowiaki przyjeżdżają? – zapytał pan Benek.
– Dziś wieczorem zjawi się pierszy klejent. Profesorek z uniwerka gajelońskiego – powiedział pan Ambroży i oddalił się do swego lokalu.
Popatrzyliśmy sobie z panem Benkiem we zwrok nawzajemnie.
– Sąsiedzie ukochany! Daj pyska! – powiedział ze łzamy w okach pan Benek i wycisnął usta na moim ogorzałem policzku. – Nie będzie tłuczenia forsy na starożytnych naszych ludowych obyczajach! Chodź pan! Mam plan jak ta lala! – dodał pan Benek, objaśnił mnie co i jak, po czem wdrożyliśmy procedury...
Wieczorem zjawiła się krakoska osobistość. No i de fakto profesorek: niedwabne krawatto, lakierosy, pantaliony w kancik, bryle na cyferblacie. Pan Amroży skakał naobkoło drogiego gościa jak fatygant koło narzeczonej. Zwiedzanie zaczęło się od wizyty w Grochowni.
– A oto proszę sianownego pana nasza ulubiona placówka gastronomiczna. Wzracam zwłaszcza uwagie, skoro jeżeli chodzi o personel latający. Oto nasza piękna Helenka. Młode dziewczę z Podlasia, o podrywającej urodzie i oczkach brązowych jak ta sarenka. Podaje klejenteli ankohol, a kiedy osobnik staje się namolny apropos spraw sercowych, zostaje natychmiast dany po mordzie ścierom. Jeśli to nie pomaga, Helenka upuszcza typowi skrzynkie piwa na nóżkie. W ostateczności ładuje gościa taborecikiem w makówkie.
Profesorek otrzymał piewczność, chwilkie ponawijał Helence makaron na uszy, obcmokał jej rączki, za co nic złego go nie spotkało, oraz usiadł. Wypili z panem Ambrożym złocisty nektar i ruszyli na nasze podwórko. Tam spotkali panią Teresę Baryłko oraz panią Apolonię Wądorek. Pan Ambroży chwycił krakoskiego gościa za łokieć i zaanonsował, że za chwilunie odbędzie się pyskówka sąsiedzka. Rozmówka pań mniała nieco zaskakujący przebieg:
– Dobry wieczór się z panią, pani Wądorkowa.
– Dobry wieczór, pani Baryłkowa.
– Jak pani dzisiaj spędziła dzionek, pani Apolonio kochana?
– Oddawałam się lekturze Heidegiera, pani Tereniu.
– Co za jeden?
– Figlozof.
– I o czem pisał książkie?
– Akonto bytu i niebytu.
– I co z tem bytem?
– Jest.
– A z niebytem?
– Nie ma.
– Co pani powiesz?
– Jak Boga kocham! A pani co robiła, pani Tereniu słodziutka?
– Sztuką się napawałam.
– O! A jaką, mnianowicie?
– Mnianowicie abstrankcyjną. Pikasy i reszta tej ferajny.
– I co pani mniemasz apropos Pikasów?
– Zachwyt odczuwam po prostu.
Słysząc te drętwe mowe pan Ambroży zaciągnął swego żądnego wrażeń gościa na pogranicze. Konkretnie na pogranicze Grochowa i Kamionka. Jak wiadomo, grasuje tam od lat banda Krzywego Heńka. Uszkodzenia ciała, zabór mienia, zakłócanie pod wpływem i tem podobne zdarzenia. I tych właśnie artystów spotkał pan Ambroży i jego krakoski gość. Profesorek na widok takich zakazanych buziek niezwłocznie wyjął pugilares, zdjął zegarek i podał je Heńkowi. Krzywy Heniek się skrzywił:
– A pan co? Z byka pan spadłeś? Po co mnie te precjoza?
– Jak to? – zdziwił się profesor.
– Przecież pan jest miejscowym przestępcą?
– Ja? Kiedyś tak, teraz obecnie wyszłem z koleżkami na przechadzkie w celu patrzenia się w niebo i w gwiazdy.
– Nie jesteście panowie bandytami?
– Skąd! Cała śmietana towarzyska, którą masz pan zaszczyt widzieć, to mniejscowe kółeczko astronomiczne. Filujemy na Łysego, czyli na Księżyc! Mie to porusza, a was, panowie? – zapytał Heniek swoich kompanów.
– Bardzo! – odpowiedział kwiat kamionkoskiej bandyterki.
– Aha – zmartwił się krakowiak. – Może w takim razie napiją się panowie ze mną wódki?
Heńkowi i jego brygadzie na chwile zaświecili się oczki, jednak odpowiedział:
– Ślicznie dziękujemy, ale nie. Panu też odradzamy. Kieliszek niejednego już wykoleił, dobranoc! – powiedział Krzywy Heniek i zniknął w ciemnej nocy wraz ze swojem demimondem.
Pan Ambroży i jego gość stali w milczeniu. W końcu cisze przerwał profesor.
– Nagadał mi pan, że Kraków jest nudny jak flaki z olejem. A za to Warszawa, a zwłaszcza Grochów, to dziki zachód i dżungla. Mordy, krew i trupy. Obiecywał pan dreszczyk emocji. Spacer grozy. Niestety, czuję się w obowiązku wyrazić najwyższe niezadowolenie i rozczarowanie. Oraz poprosić o zwrot honorarium.
Pan Ambroży westchnął i zwrócił.
Nazajutrz oczywiście skoczył na nas z pyskiem:
– Panowie, coście zrobili! Macie zapalenie na mózgu chyba jeden z drugiem! Grochów mniał szanse za szalone antrakcje się zostać! Grube forse na stonce turystycznej tłuc, a tak co?
Pan Benek splunął przez zęby. Poczem zaznaczył:
– Sąsiedzie złoty. My tu jesteśmy porządni obywatelowie. Skroimy gościa, obsobaczymy i uskutecznimy mordobicie przez czystą uprzejmość i dobrotliwość serca. Natomniast za mamone – nigdy! – powiedział pan Benek i odszedł, sącząc pifko. ■

PIERWSZA MONOGRAFIA PLACU I SZCZEGÓŁOWA HISTORIA PAŁACU SASKIEGO

Książka nominowana do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy

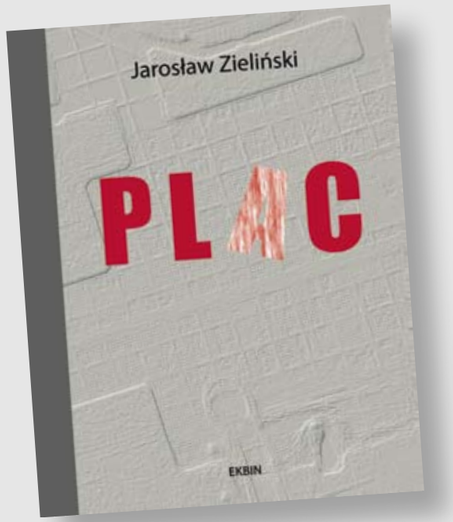

Warszawski plac Piłsudskiego jako zwierciadło losów i duchowej kondycji narodu

Plac Piłsudskiego z Grobem Nieznanego Żołnierza jest miejscem o znaczeniu symbolicznym, ważnym dla całego narodu. Od przeszło dwustu lat jego przestrzeń pozostaje zarówno scenerią manifestacji patriotycznych, jak i polem starć ideowych oraz politycznych. Ich wyrazem są wielokrotne zmiany nazwy placu oraz los wznoszonych tu pomników i gmachów. Budowane wbrew woli większości mieszkańców stolicy, z czasem znikały z przestrzeni placu, choć miały istnieć przez setki lat.

Książka Jarosława Zielińskiego, znakomitego badacza dziejów warszawskiej architektury, jest pierwszą tak skrupulatnie przeprowadzoną opowieścią o przeszłości tego miejsca. Jest też rzetelną analizą problemów związanych z urbanistyką placu. Praca, będąca rezultatem wieloletnich badań, odsłania wiele nieznanych dotąd tajemnic, a autor stara się dociec istoty *genius loci* placu.

Opowieść o placu Saskim, dziś Piłsudskiego, nie ogranicza się wyłącznie do historii. Jest też ważnym, popartym mocnymi argumentami głosem w dyskusji nad odbudową zachodniej pierzei placu z Pałacem Saskim. Dla każdego, kto interesuje się dziejami Warszawy, książka Jarosława Zielińskiego to lektura obowiązkowa. [Jerzy S. Majewski]

Do nabycia w redakcji STOLICY:
tel. 22 / 741 01 30 oraz 603 620 844,
e-mail: miesięcznik.stolica@gmail.com

Uwaga, **małe sarny**!

Arkadiusz Szaraniec

Bardzo się starała. Wychodziła i wyskakiwała ze swojej skóry, pokrytej płową letnią szatą. Czujna, uważna, napięta jak struna w każdej sekundzie, przy każdym kroku, zwłaszcza przez cuchnącą wstęgę jezdni, po której dzień i noc śmigają huczące potwory. Staranie nasłuchiwała, kręcąc głową na smukłej szyi i obracając „łyżkami" we wszystkie strony. Wreszcie po namyśle wybierała najlepszy moment, w którym jej dziecko mogłoby bezpiecznie pokonać tę tak obcą i zawsze niebezpieczną dla wszystkich zwierząt przestrzeń. Nakrapiany sarniuk dopiero na wezwanie matki opuszczał miejsce startu na brzegu szosy i dzielnie tupiąc raciczkami, dreptał po asfalcie, by wreszcie w podskoku pokonywać tak wysoki dla niego krawężnik. Kiedy się urodził, miał zbyt słabe nogi, by podążać za matką – chwiał się na tych swoich długich i chudych „badylkach" we wszystkie strony. Matka (jak wiele innych takich matek przez tysiące lat) „zostawiała" go i powracała, by odnaleźć skulone w trawie maleństwo i nakarmić ciepłym mlekiem tryskającym z nabrzmiałych sutków. On trykał ją pyszczkiem, by mleko szybciej spływało, a ona – zawsze na posterunku – bacznie lustrowała i badała otoczenie. Wielkie miasto nigdy nie śpi, w każdym momencie może pojawić się Człowiek albo Pies – samo obszczekanie z bliska może zabić delikatne maleństwo. Po kilku dniach sarniuk okrzepł i zaczął towarzyszyć matce w wyprawach na drugą stronę szosy, tam, bliżej Wielkiej Rzeki, gdzie jest więcej soczystej, zielonej trawy oraz łąkowych ziół. Matka tak bardzo się starała, a Dziecko też wychodziło ze swojej nakrapianej skórki, by jak najszybciej za nią podążyć. Udawało im się za każdym razem, aż do feralnego dnia, kiedy jednemu z kierowców nie chciało się zdjąć nogi z pedału gazu.

Wojciech Basiński (autor zdjęć): – Wiesz, ten maluch ze zdjęcia jednak nie przeżył. I to nie w miejscu, gdzie auta się rozpędzają, tylko na zakręcie, gdzie każdy choć trochę zwalnia. Przynajmniej powinien. A już myślałem, że im się uda!

Powinien powstać nowy miejski znak drogowy ostrzegający warszawskich kierowców, że jadąc wzdłuż Wisły, na swojej drodze mogą za chwilę napotkać małą, niedawno urodzoną sarnę, która porusza się o wiele wolniej od dorosłych. Nie chodzi mi o znany od wielu lat przydrogowy „portret" koziołka sarny, który w ramach trójkąta krzyczy z daleka „Uwaga, dzikie zwierzęta!" w tysiącach miejsc na terenie całej Polski. Może ten nowy, warszawski zakomponować z tych sylwetek na zdjęciach Wojciecha Basińskiego i ustawić przy Kępie Potockiej (gdzie to się działo) oraz w kilku innych miejscach, gdzie (jeszcze) żyją nasze nadwiślańskie i parkowe sarny. Czy nie należy im się od nas choć trochę uwagi i troski? Jest przecież udany precedens, znak ostrzegawczy „Uwaga, kaczki!" oraz komunikat na wyświetlaczu, który skrzydlatym matkom z czeredą puchatych piskląt pomaga pokonywać ruchliwą ulicę Myśliwiecką i przedostać się z Łazienek do Matki Wisły.

Zdjęcia: W. Basiński

Ukwiecona po raz 37.!

Rozstrzygnięto 37. konkurs *Warszawa w kwiatach i zieleni*. Prace jury i uroczystą galę wręczenia nagród poprzedziły liczne spotkania dla uczestników, prowadzone w tym roku online. O miano najpiękniejszego ogrodu, osiedla czy balkonu stanęło 359 osób. Rywalizacja odbywała się w trzech głównych kategoriach: *Człowiek*, *Firma* i *Sąsiedzi*. Była też nowa kategoria: *Ekoogród/ogród nowoczesny*. Przyznano także Nagrody im. Stefana Starzyńskiego. Przegląd prac konkursowych pokazał, że w tym roku warszawiacy skupili się na walce ze zmianami klimatu. Pierwsze miejsca w poszczególnych kategoriach zajęli: Izabela Dutkiewicz (*Balkon, loggia lub okno*), Monika Mika (*Ogródek przy budynku wielorodzinnym*), Monika i Witold Zapaśnikowie (*Ogród lub ogródek przy budynku jednorodzinnym*), Wspólnota Mieszkaniowa „Żoliborz Artystyczny" (*Tereny spółdzielni, wspólnot mieszkaniowych, budynków komunalnych*), Urząd Dzielnicy Ursus m.st. Warszawy (*Ekoogród/ogród nowoczesny*), Centrum Pomocy Społecznej Dzielnicy Śródmieście im. prof. A. Tymowskiego – Dział Wsparcia Społecznego (*Inne formy zieleni miejskiej*). Nagrodą im. Stefana Starzyńskiego uhonorowany został Zamek Królewski w Warszawie – Rezydencja Królów i Rzeczypospolitej, a nagrodę im. Zofii Wójcickiej uzyskała Monika Mika. Konkurs organizowało Miasto Stołeczne Warszawa, ze współorganizatorem – Towarzystwem Przyjaciół Warszawy.

Przypomnijmy, że konkurs zainicjowany został przez prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego oraz ogrodnika i pianisty Leona Danielewicza. Pierwsza edycja odbyła się w 1937 r. Po wojnie konkurs powrócił w 1971 r. – zorganizowało go Towarzystwo Przyjaciół Warszawy Oddział Powiśle.

REKLAMA

Smolna na rewersie

Jarosław Zieliński

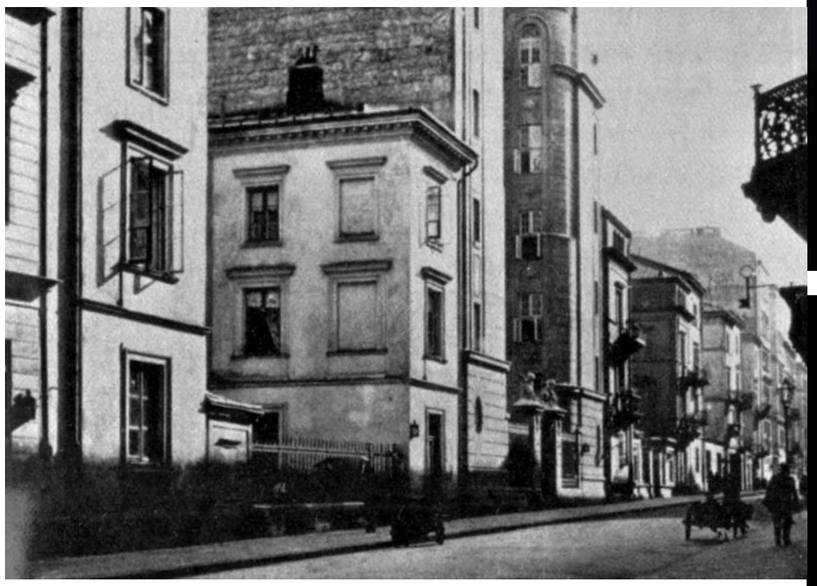

Muzeum Warszawy

Uczciwa śródmiejska ulica w XIX-wiecznym mieście musiała mieć zwarcie zabudowane obie pierzeje i na zdjęciach wyglądała najczęściej jak korytarz. Pierzeje bywały podobne albo różniły się od siebie i w tym drugim wypadku obiektyw fotografa skupiał się, rzecz jasna, na tej ładniejszej. W Warszawie na Marszałkowskiej była to jej wschodnia strona, a na Nowym Świecie – zachodnia. Smolna była fotografowana dość rzadko, ukryta na zapleczu Alej Jerozolimskich i szczelnie od nich odseparowana rzędem kamienic. Zazwyczaj uwieczniana na zdjęciach była strona północna, gdzie pyszniły się zachowane do dziś kamienice Branickich, gmach gimnazjum Chrzanowskiego i potężne czynszówki przy odnodze ulicy zwanej za carskich czasów Wysoką (dziś ul. Smolna 14-20).

Aleje Jerozolimskie i Smolna biegną równolegle, ale na bardzo różnych poziomach. Skutkowało to niecodziennym układem kamienic, które od strony zwróconej ku Alejom stały początkowo na wale, z czasem zniwelowanym podniesieniem spadzistej jezdni do poziomu wiaduktu mostowego. Smolna jednak biegła na jeszcze wyższym tarasie, toteż domy od jej strony miały o jedną lub nawet dwie kondygnacje mniej niż od frontu! Posesje były płytkie. Chęć wyciśnięcia jak największego dochodu z działki zachęcała kamieniczników do budowy od strony ulicy Smolnej krótkich skrzydeł bocznych oficyn. Te utylitarne segmenty czynszówek, w normalnych warunkach ukrywane w szczelnie odizolowanych podwórzach, tu znalazły się w linii Smolnej.

Zamiast zwartej pierzei został stopniowo wyhodowany poszczerbiony ciąg zabudowy o bardzo zróżnicowanej wysokości. Nie oznaczało to jednak, że zamożni najemcy wielopokojowych mieszkań unikali zaplecza domów, tu bowiem właśnie znajdowały się wejścia na posesję, często z dekoracyjną oprawą i ogrodowym otoczeniem. Hol łączył się z najlepszymi lokalami na drugiej czy trzeciej kondygnacji, a do tych nieco gorszych, doświetlonych jedynie od strony ruchliwych i hałaśliwych Alej Jerozolimskich, trzeba było zejść w dół, jak do piwnicy. Innego wejścia w niektórych budynkach po prostu nie było! Tak więc reprezentacyjny „awers" domów nie do końca był tak prestiżowy jak wyglądał i lepszym wyborem był lokal z oknami sypialni od strony „rewersu", czyli spokojnej Smolnej. Niemiecka fotografia wykonana w 1916 r. z narożnika dawnej ulicy Wysokiej należy do unikatowych ujęć Smolnej, ukazuje bowiem właśnie ów mało estetyczny „rewers" domów przy Alejach Jerozolimskich, które na tym odcinku były przed 1939 r. częścią alei Trzeciego Maja.

Do chwili wybuchu II wojny światowej sporo się tu zmieniło w zakresie wymiany części zabudowy na domy nawet o kilka pięter wyższe albo nadbudowy starszych budynków. Dwa z nich (Al. Jerozolimskie 4 i 6 – ul. Smolna 11, 13) przetrwały do dziś i tuż przed wojną zastąpiły widoczną na pierwszym planie dwupiętrową kamieniczkę oraz czynszówkę fragmentarycznie uchwyconą przy lewym skraju kadru. Przy ul. Smolnej 15 wyrastają szczególnie wysokie oficyny nowoczesnej kamienicy Jana Fruzińskiego (słynnego cukiernika) i Józefa Wernera, ukończonej w 1913 r. na podstawie projektu Juliusza Nagórskiego. Jakieś dwa lata później ten sam architekt wzniósł podobną czynszówkę Augusta Iwańskiego (ul. Smolna 17), ale na jej tyłach pozostały stare, niskie oficyny. Oba wczesnomodernistyczne domy o siedmiokondygnacyjnych frontach uzyskały wysokiej klasy neorokokową ornamentykę w duchu Beaux Arts. Paryż przywodziły na myśl także dachy o zaokrąglonej połaci frontowej i taką samą ich formę byli zmuszeni zastosować twórcy sąsiednich kamienic (stojących do dziś). Od Smolnej dom nr 15 uzyskał eleganckie ogrodzenie z bramą, na filarach której osadzono figury puttów. Najwyraźniej nie było to wejście przeznaczone dla służby! ■

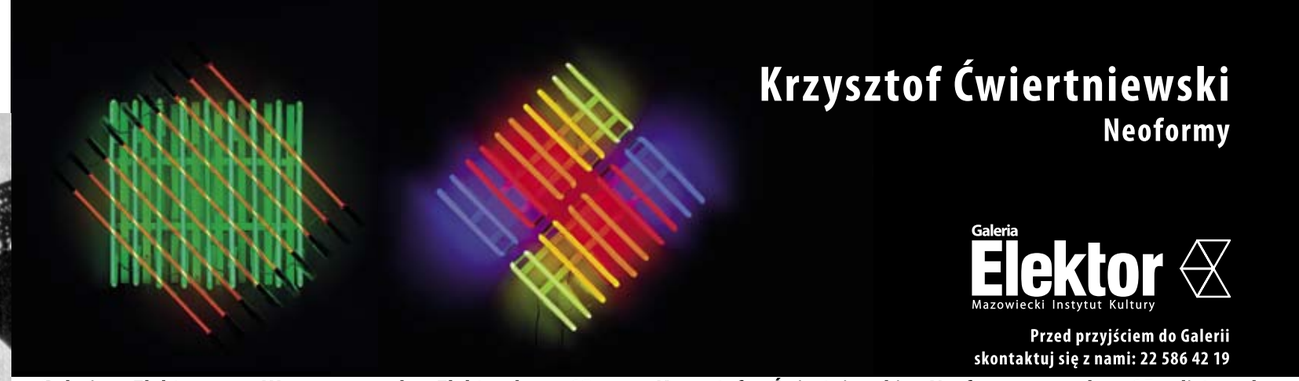

Galeria Elektor • Warszawa, ul. Elektoralna 12 • Krzysztof Ćwiertniewski *Neoformy* • do 15 listopada

Galeria Foksal • Warszawa, ul. Foksal 1/4 • Dominika Kowynia *Wąskie przejście* • do 30 października

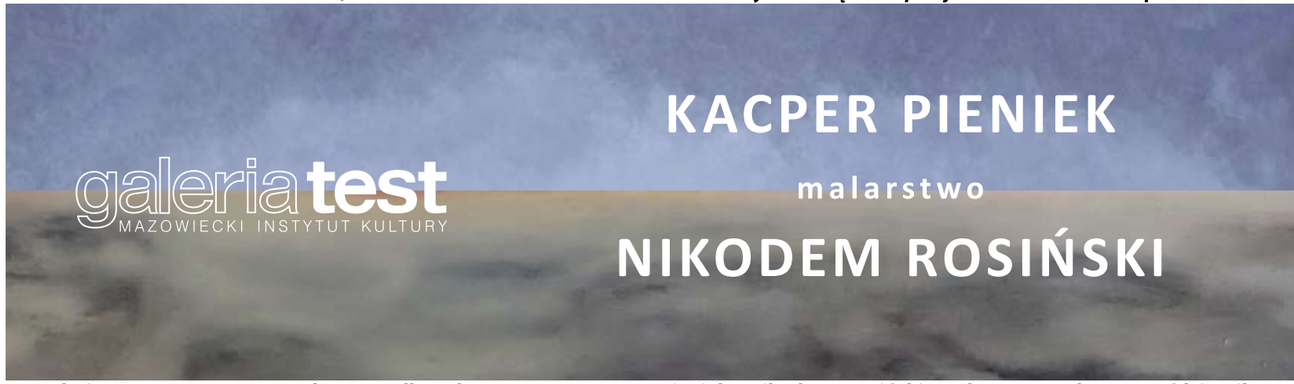

Galeria Test • Warszawa, ul. Marszałkowska 34/50 • Kacper Pieniek, Nikodem Rosiński *Malarstwo* • do 23 października

Galeria XX1 • Warszawa, al. Jana Pawła II 36 • Waldemar „Major" Fydrych *Wczoraj i dziś – fragmenty* • 8–30 października

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY
JEDNOSTKA ORGANIZACYJNA SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO
Mazowsze. serce Polski

W związku z występowaniem stanu epidemii uczestnicy wydarzeń artystycznych i rozrywkowych są zobowiązani do przestrzegania rozporządzeń Rady Ministrów w zakresie zachowania dystansu społecznego, w tym obowiązku zakrywania ust i nosa oraz dezynfekcji rąk przy wejściu do obiektu.

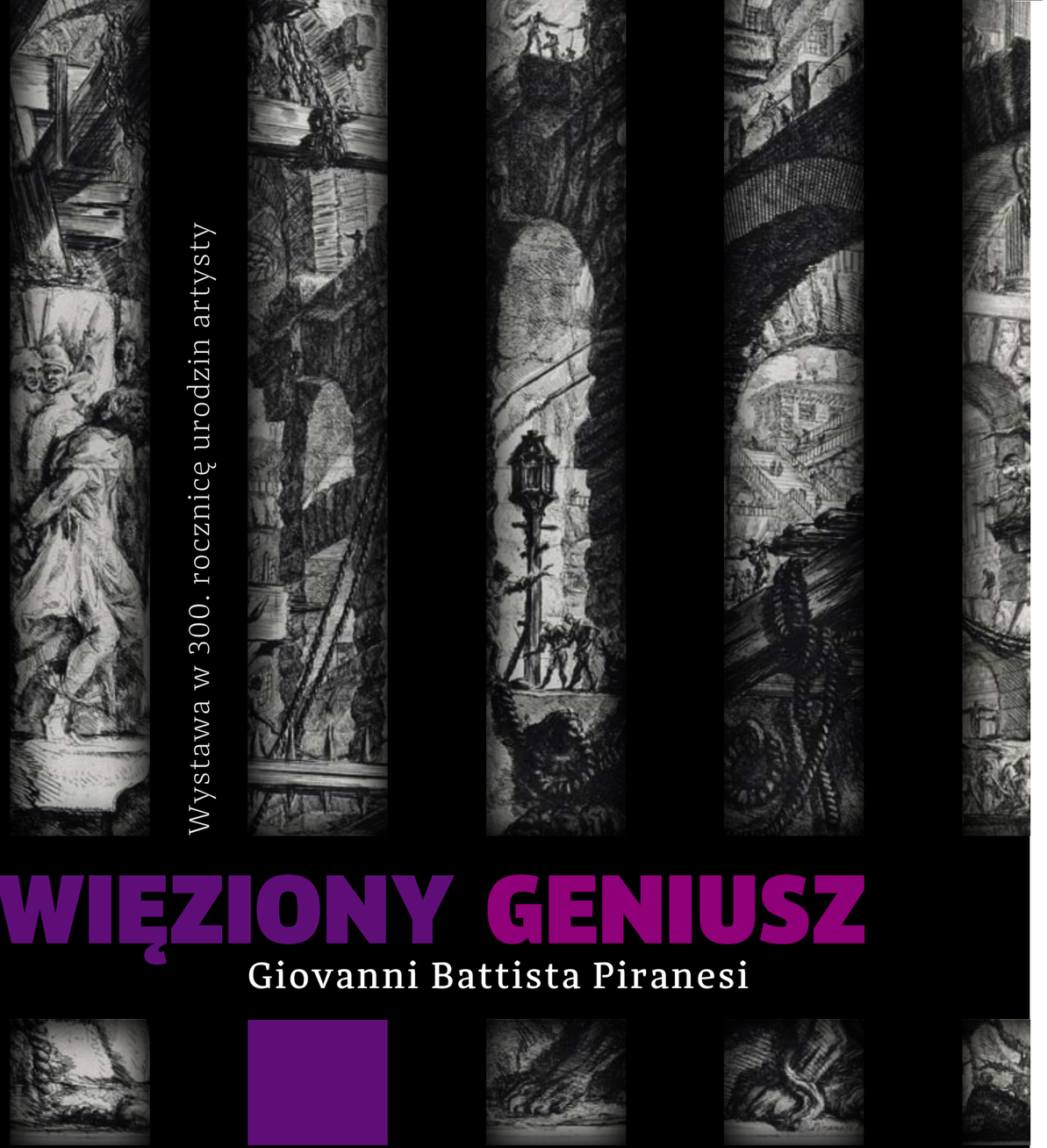

Wystawa w 300. rocznicę urodzin artysty

UWIĘZIONY GENIUSZ

Giovanni Battista Piranesi

28 IX 2020 – 5 I 2021

Zamek Królewski w Warszawie – Muzeum

Giovanni Battista Piranesi, Carceri V, Płaskorzeźby z lwami, akwaforta, 1761, Gabinet Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie

Organizator

Partnerzy wystawy

Mecenas

Partnerzy

Patroni medialni